

Kronika miasta Łodzi

3-4 / 2003

Ulica Moniuszki w duchu Goethestraße

Już pobieżny rzut oka na archiwalne zdjęcia zabudowy ulicy Goethego w Stuttgarcie pozwala na zauważenie wyraźnych analogii, tak w kompozycji całego zespołu, jak i w architekturze willi mieszkalnych, z łódzkim Pasażem Meyera. Oczywiście są i różnice. Ulica Goethego została zabudowana w sposób bardziej ujednoczony na

całej długości, łącznie z narożnikami. Pozwoliło to na pomieszczenie przy niej łącznie 11 domów, położonych blisko siebie. Większa przestrzeń jaką dysponowano umożliwiła niewielkie odsunięcie ich od ulicy. Podobieństwa są jednak na tyle duże, że trudno tutaj mówić o przypadkowej zbieżności.

Między oportunizmem a przyzwoitością

Jako pierwsi w Łodzi weryfikacji poddani zostali dziennikarze prasy, radia i telewizji. Niezależnie od internowania w dniu 13 grudnia 1981 roku pięciorga przedstawicieli tego środowiska, już następnego dnia – a więc na trzy tygodnie przed rozpoczęciem oficjalnych przesłuchań weryfikacyjnych – nie dopuszczono do pracy 32 łódzkich dziennikarzy uniemożliwiając im nawet wejście do lokali redakcyjnych. W pierwszej dekadzie stycznia 1982 roku

zespoły weryfikacyjne (dziennikarze cieszący się pełnym zaufaniem partyjnego pionu propagandy) przeprowadziły przesłuchania 80 % czynnych zawodowo dziennikarzy wydając tajne opinie o swoich kolegach. Stały się one podstawą poufnych werdyktów wojewódzkiej komisji weryfikacyjnej (złożonej z przedstawicieli pionu partyjnej propagandy, wojskowej administracji stanu wojennego i Służby Bezpieczeństwa).



I-106678/04



EX LIBRIS
WOJEWODZKIEJ (MIEJSKIEJ)
BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ
IM. MARZAŁKA
JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO
W ŁODZI

PR

Kronika miasta Łodzi



3-4/2003

Łódź 2003

REDAKCJA:

Gustaw Romanowski - redaktor naczelny
Małgorzata Golicka-Jabłońska - sekretarz redakcji
Mieczysław Gumola
Marek Strąkowski - redaktor prowadzący

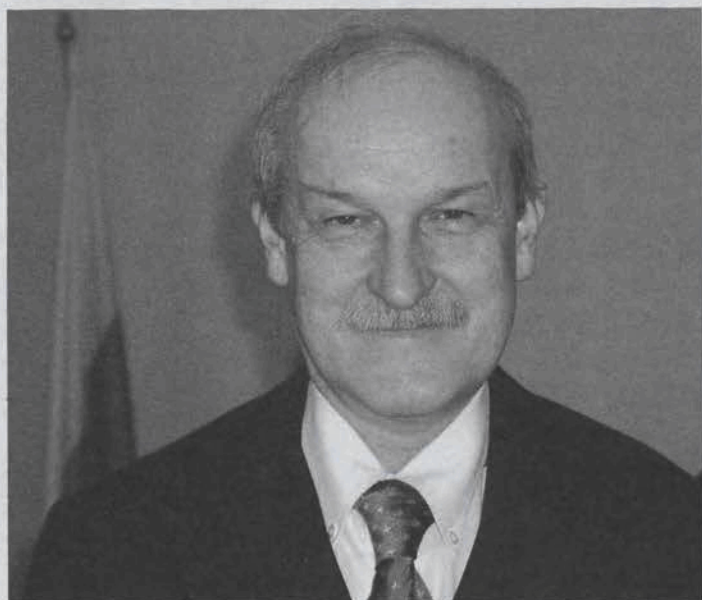
Projekt typografii i okładki - Andrzej Chętko
Skład - Paweł Kawiński

Druk i diapozytywy: BiK Zakład Poligraficzny Spółka Jawna,
90-353 Łódź, ul. Kilińskiego 169

Wydawca: Urząd Miasta Łodzi

Adres redakcji: Biuro Prasowe UMŁ
Kronika Miasta Łodzi 90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 110 (wejście od Al. Schillera)
tel. (42) 638-44-39
e-mail: kronika@uml.lodz.pl

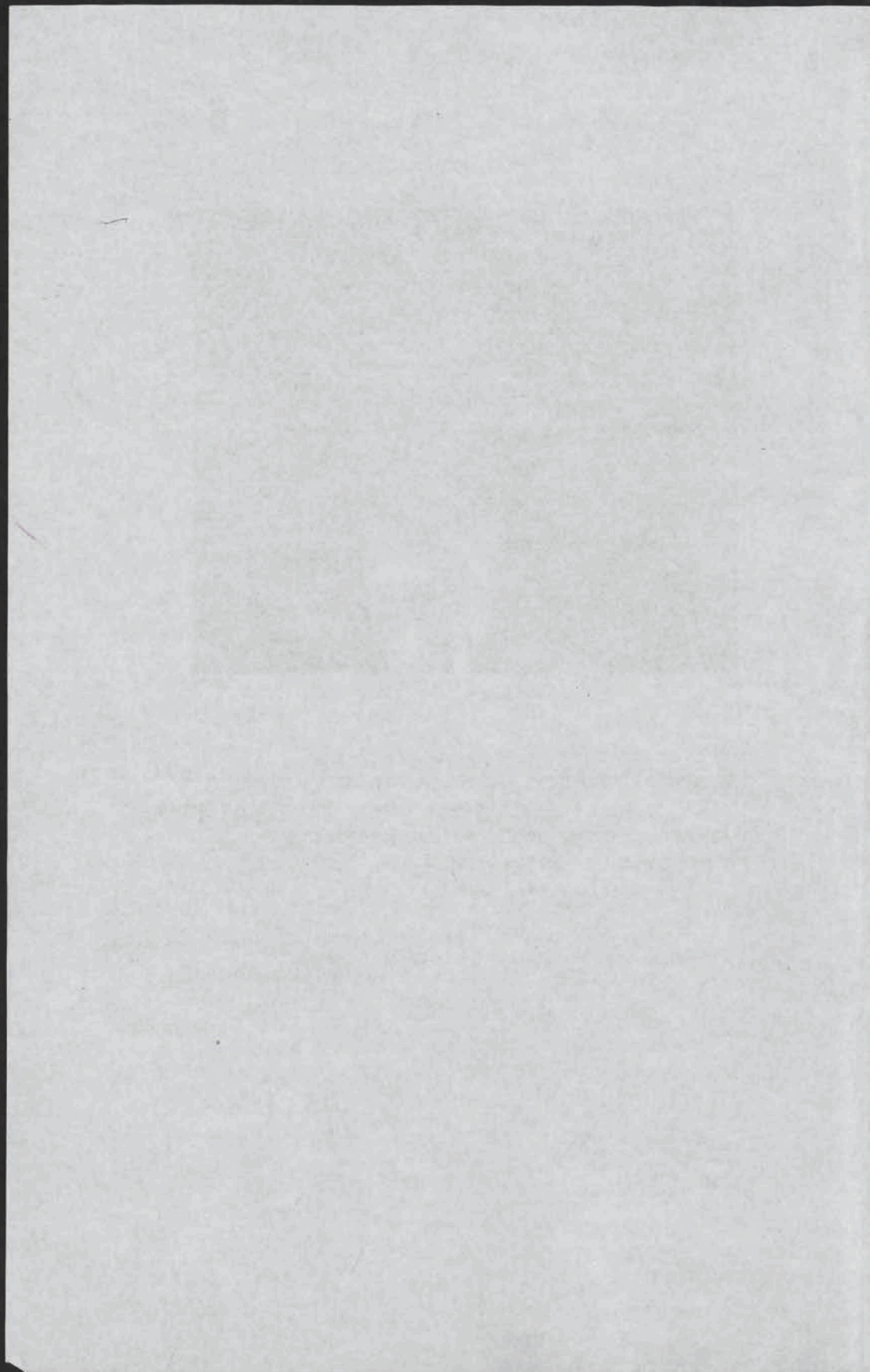
ISSN 1231-5354



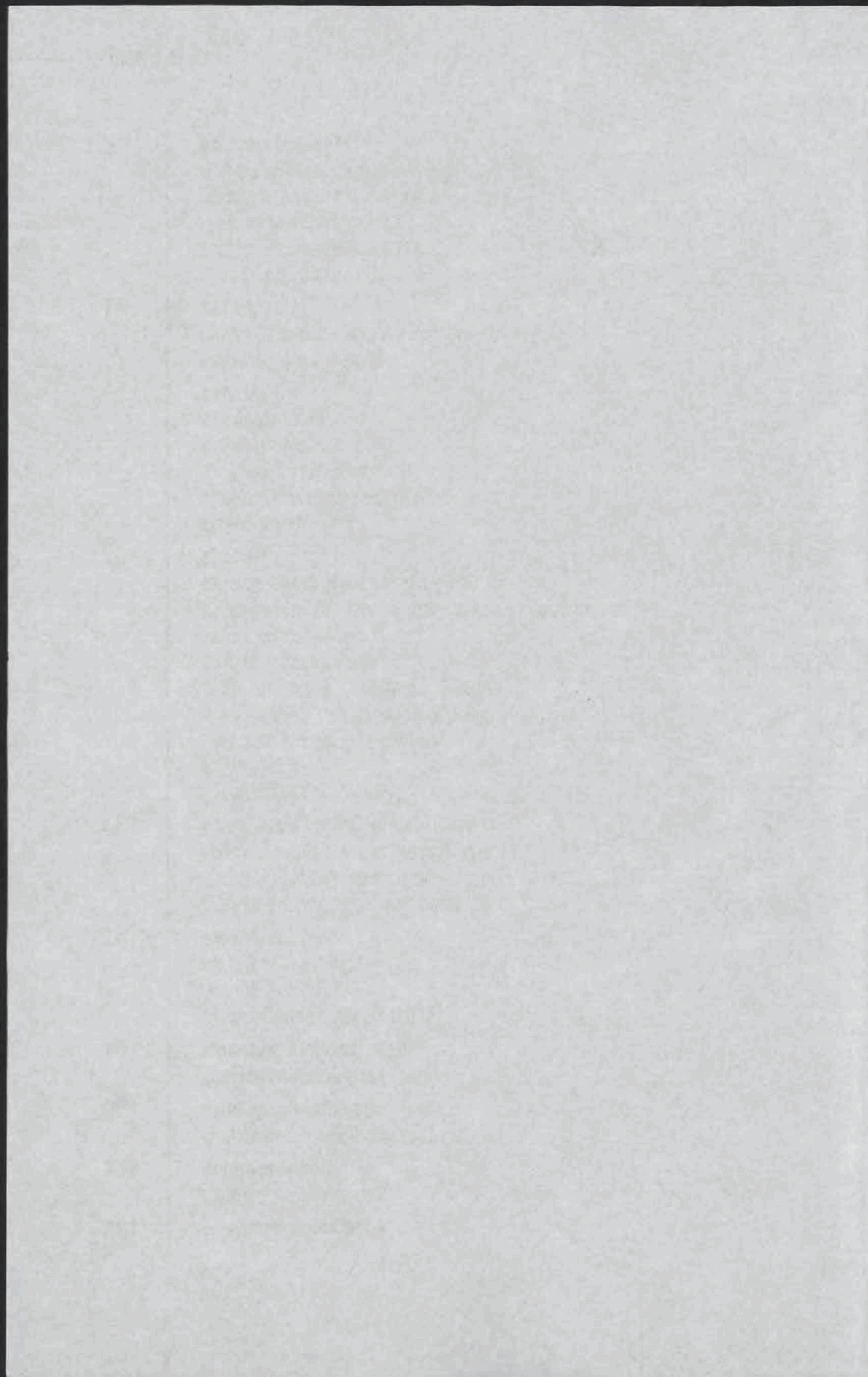
Wszystkim Łodzianom - współmieszkańcom naszego miasta,
a także rozsiyanym po Polsce i świecie rodakom łódzkiej „Małej Ojczyzny“
– życzę dużo zdrowia, błogosławieństwa Bożego i spełnienia
oczekiwanych nadziei w Nowym 2004 Roku.

*Prezydent Miasta Łodzi
Jerzy Kropiwnicki*

A handwritten signature in black ink, which appears to read "Kropiwnicki". The signature is written in a cursive style and is positioned below the printed name.



Pierwsze kolumny	5
<i>Bogactwo kultur, języków, tradycji</i>	
<i>Nie ma czarodziejskiej różdżki</i>	
<i>Zaprzepaszczone tradycje</i>	
<i>Od pomysłu do odsłonięcia</i>	
<i>To było 22 lata temu ...</i>	
Nauka	41
<i>Indywidualność artystyczna - siła autentyzmu</i>	
<i>Pamiętajmy o ogrodach</i>	
Kultura	59
<i>Kadry pamięci</i>	
<i>Pofestiwalowe refleksje</i>	
<i>Historia kultury i tolerancji</i>	
<i>Wielkie studio małych form</i>	
<i>Moda.com.pl</i>	
Historia	89
<i>Ofiary niemieckiego barbarzyństwa</i>	
<i>„Nit zux mix, zu di feigel zingen, gefinst mix dortn nist ...“</i>	
<i>Porzucili fabrykę i dom</i>	
<i>Duch porusza materię</i>	
<i>„Kuriery“, „Zeitungi“, „Expressy“ /cz.2/</i>	
<i>Od chłopskiej sukmany do miejskiej apaszki</i>	
<i>Takiej szkoły się nie zapomina</i>	
<i>45 lat tradycji</i>	
<i>„Warikoff i Kwaśniewski“</i>	
Z cyklu: czarne dziury, białe plamy	133
<i>Między oportunizmem a przyzwoitością</i>	
<i>Zniszczenie socrealistycznej maskary</i>	
<i>Dokumenty - Informacja nr 6/82</i>	
Łodzianie	151
<i>Leokadia Jurdzińska</i>	
<i>Andrzej Borucki</i>	
<i>Maria Dowbor-Lewandowska</i>	
Religie, kościoły, wyznania	161
<i>Prekursorzy religijnej tolerancji</i>	
Osiedla, domy, ulice	169
<i>Łódź, Stuttgart i Juliusz Jung</i>	
Kroniki rodzinne	177
<i>Szlachecka progenitura</i>	
Z łódzkiego raptularza	188



pierwsze kolumny

Bogactwo kultur, języków, tradycji

Miasto - ogniwem społeczeństwa informatycznego

Dominika Ostrowska

str. 8

Nie ma czarodziejskiej różdżki

Samorządowe strategie rozwoju Łodzi w nowych warunkach ustrojowych

- próba refleksyjnej oceny

Tadeusz Markowski

str. 11

Zaprzepaszczona tradycja

W poszukiwaniu nowego wizerunku idealnego Łodzermenscha

Antoni Szram

str. 25

Od pomysłu do odsłonięcia

Pomnik Armii „Łódź”

Mieczysław Gumola

str. 31

To było 22 lata temu ...

13 grudnia 1981 roku ogłoszono stan wojenny

str. 37

Bogactwo kultur, języków, tradycji

Miasto – ogniwem społeczeństwa informatycznego

Prezydent **Jerzy Kropiwnicki** był na początku grudnia gościem mera Lyonu **Gerarda Collomba** i organizowanego przez miasto Lyon w dniach 4-5 grudnia 2003 światowego szczytu miast i władz lokalnych na temat społeczeństwa informacyjnego. Po trzech spotkaniach kontynentalnych: dla mieszkańców Azji w Szanghaju, Ameryki w brazylijskiej Kurytybie i Afryki w Nuakszot w Mauretanii, szczyt europejski w Lyonie postawił sobie za cel skupienie przedstawicieli gmin i wspólnot lokalnych wokół tej problematyki i wypracowanie ich postulatów, które miałyby pomóc w lepszym przygotowaniu szczytu światowego z udziałem głów państw w Genewie. Odbył się on tydzień później.

Miejsce spotkania prezydentów, burmistrzów, członków rad regionalnych wielu miast i regionów z całego świata nie zostało wybrane przypadkowo. Miasto Lyon i jego aglomeracja są pod wpływem rozwijanych tu konsekwentnie wielu centrów doskonałości, które obok biotechnologii, mody, edukacji koncentrują się także na elektronicznych technologiach informacyjnych.

Komisarz EU ds. przedsiębiorczości i społeczeństwa informacyjnego – Erkki Liikanen jest zdania, że technologie powinny ogarnąć wszystkie narody w ślad za demokracją. UE była bardzo aktywna w całym procesie przygotowawczym do szczytu światowego i projekt przygotowany na szczyt w Genewie był mocno wspierany przez UE. Unia Europejska chce: dostępu do informacji dla wszystkich, regulacji korzystnych dla inwestycji w nowe technologie, odpowiedniego prawodawstwa i sposobu zarządzania. Zostało to ujęte w postaci planu e – Europa 2005, gdzie podstawą jest założenie, że stosowanie technologii informacyjnych stymuluje rozwój ekonomiczny. Plan rozdziela się na trzy poziomy: e – zarządzanie, e – zdrowie i e – edukacja, gdyż te usługi mają dla obywateli największe znaczenie. Dotykają bezpośrednio ich codziennego życia i to na nie jest przeznaczana największa część domowych i państwowych budżetów. Proces wprowadzania w życie założeń planu e – Europa 2005 jest wieloletni i wymaga ustandaryzowania usług. Nowoczesne techniki umożliwiają w medycynie konsultację na odległość i wzrost poziomu leczenia,

w edukacji – lepszy dostęp do materiałów i zrozumienia innych kultur. Bardzo ważne są prawa jednostki ludzkiej, w tym wolność wypowiedzi. Muszą być one zachowywane i wzmacniane poprzez rozwój społeczeństwa informacyjnego.

Mercedes Bresso – przewodnicząca CAMVAL (stowarzyszenia miast), przyrównała rewolucję informatyczną do wprowadzania energii elektrycznej. Poprzez rewolucję informacyjną dokonuje się decentralizacja kompetencji, władze lokalne są partnerem tej rewolucji. Inwestycje w tej dziedzinie nie muszą być konieczne pokrywane wyłącznie przez budżet miast i władz lokalnych.

Według mera Genewy, Christiana Ferrazino trzeba postawić na relację między miastami nie zaś między państwami. Daniel Biau – zastępca dyrektora UN – HABITAT – agencji ONZ ds. miast przypomniał, że dziś 1 miliard ludzi żyje w miastach. Tylko jedna trzecia ludzkości ma dostęp do bazowych, podstawowych usług. Powstał urząd obserwatora światowego ds. rozwoju miast. Większość miast nie posiada wiarygodnych danych o sobie samych. Informacja łączy się z wolnością wypowiedzi i wolnością do pozyskiwania informacji. Należy faworyzować demokrację partycypatywną, walczyć z korupcją, podawać w Internecie wszystkie ważne informacje – sieć musi być otwarta dla każdego.

Uczestnicy konferencji mieli możliwość wzięcia udziału ośmiu seminariach tematycznych. Poruszano na nich szerokie spectrum tematów – od problematyki infrastruktury, modelu rozwoju ekonomicznego, użytkowania nowych technologii do rozwoju wiedzy, kultury i dostępu do informacji, poprzez zagadnienia kształcenia umiejętności użytkowania technologii, równego dostępu do niej (zastosowania nowych technologii w szkole, zarządzania miastem i rozwijanie demokracji na szczeblu lokalnym za pomocą nowych technologii w lokalnych mediach, korzystanie z kolektywnej inteligencji), a na zdecentralizowanej kooperacji skończywszy.

Merowie, burmistrzowie i prezydenci miast z pięciu kontynentów, jak również przedstawiciele kręgów gospodarczych, finansowych i środków komunikacji społecznej wypracowali postulaty i wnioski, a następnie została przyjęta i podpisana – przez reprezentację uczestników szczytu – wielopunktowa deklaracja, nazwana „lyońska”. Przesłano ją sekretariatowi Organizacji Narodów Zjednoczonych w Genewie.

Prezydent Łodzi przysłuchiwał się debacie. Spotkał się z tej okazji z wieloma samorządowcami – swoimi odpowiednikami. Nawiązał także kontakty z wystawiającymi swe produkty i usługi firmami telekomunikacyjnymi jak: ALTACEL, CAP GEMINI, zachęcając je do inwestowania w Łodzi i regionie.

Najważniejsze tezy lyońskiej debaty zawierają się w apelu zarządzających miastami i regionami, aby w społeczeństwie informacyjnym respektowane były prawa człowieka, również w dostępie do informacji, szacunek do różnorodności kulturalnej, zapewniony wspólny sposób komunikacji. Zgodzono się, że najważniejsze jest to,

co osiąga się za pomocą nowych technologii: propagowanie wiedzy, edukacji, lepszą kooperację miast i wspólnot lokalnych oraz wspólne działania nad znośaniem dysproporcji geograficznych w dostępie do nowych technologii. Należy także stworzyć fundusz na rzecz solidarności informatycznej w świecie – podobnie jak część opłat za wodę z krajów bogatych jest przesyłana do biednych krajów Afryki, tak i tutaj kraje bogate wspierałyby rozwój nowych technologii w krajach biednych. Szykują się nowe inicjatywy: konferencja paryska w maju 2004, spotkanie w Turynie w 2004, w 2005 szczyt w Tunisie.

Jerzy Kropiwnicki spotkał się z merem Lyonu, by zaprosić go do Łodzi. Odbył też dłuższą rozmowę z szefem departamentu stosunków zagranicznych **Michelem Daclin**. Poruszano kwestie współpracy Lyonu i Łodzi w zakresie promocji mody i jej twórców, oraz wspólnych projektów dofinansowywanych przez środki unijne. Prezydent Kropiwnicki prezentował również projekt obchodów 60 – lecia likwidacji getta w Łodzi, wraz z projekcją filmu o getcie. Przekazał zaproszenie dla mera Lyonu, jako miasta partnerskiego Łodzi, aby wziął on udział w Komitecie honorowym obchodów tej rocznicy zaplanowanych na sierpień 2004 r.

Zamykając obrady szczytu, mer Lyonu – pan Gerard Collomb powiedział, że trzy cele konferencji zostały osiągnięte: zaprezentowanie wyzwań społeczeństwa informacyjnego, uzgodnienie jaka jest rola społeczeństwa informacyjnego; dbanie o bogactwo kultur, języków, tradycji, dostęp do wiedzy, edukacji, osiągnięcie wymiaru ludzkiego w technologiach – zapewnienie etyki, równości oraz umocnienie więzów przyjaźni między decydentami a społeczeństwami. Gwarantuje to pokój na świecie.

*Opracowała Dominika Ostrowska
– asystentka prezydenta Jerzego Kropiwnickiego*

Nie ma czarodziejskiej różdżki

Samorządowe strategie rozwoju Łodzi w nowych warunkach ustrojowych – próba refleksyjnej oceny

pierwsze kolumny

Między nadziejami mieszkańców a aspiracjami polityków

Łódź należy do miast szczególnych. Jako pierwsze miasto w Polsce najsilniej odczuło zmiany ustrojowe jakie dokonały się w Polsce i w krajach byłego bloku wschodniego. To właśnie w Łodzi najsilniej dało się odczuć załamanie rynków zbytu dla przemysłu tekstylnego w byłym Związku Radzieckim. Drugim czynnikiem silnie wywołującym zmiany gospodarcze było otwarcie gospodarki na globalną konkurencję, a w tym przede wszystkim tani import towarów z Dalekiego Wschodu. Z okresu szokowych zmian Łódź wyszła jednak zwycięsko dzięki przedsiębiorczości mieszkańców i rozwojowi drobnej przedsiębiorczości. Ta faza spontanicznej restrukturyzacji skończyła się około 1997 roku i rozpoczął się proces powolnych i kosztownych społecznie zmian dostosowawczych. Łódź oczekuje ciągle na swoją wielką szansę wynikającą z planowanej budowy autostrad i stworzenia w okolicach Strykowa wielkiego skrzyżowania autostrady A1 i A2. Materializacja planów może być wielkim zewnętrznym impulsem rozwojowym dla obszaru metropolitalnego Łodzi. Ale na razie zmiany, jakie zachodzą w mieście, nie odpowiadają ani nadziejom mieszkańców, ani aspiracjom polityków. Miasto, którego struktura gospodarcza jest słaba, mało dynamiczna, wymaga zdecydowanego zewnętrznego wsparcia procesów przemian oraz prowadzenia konsekwentnej polityki prorozwojowej ze strony władz lokalnych. Oczekiwana pomoc zewnętrzna nie nadchodzi, lokalne zaś partie i ugrupowania polityczne nie były dotąd zdolne do zbudowania konsensusu wokół samorządowego programu rozwoju gospodarczego.

We współczesnym świecie, coraz bardziej otwartym na globalną konkurencję gospodarczą, jakość pracy lokalnej administracji i wiarygodność układu politycznego jest traktowana jako ważny czynnik lokalizacyjny. Dotyczy to przede wszystkim dużych miast, a miast, które przeżywają kłopoty strukturalne w szczególności. W przypadku konkretnego miasta trudno jednakże udowodnić rozmiary i skutki tego wpływu bez systematycznego prowadzenia badań empirycznych. Tym bardziej, iż wiele kosztów związanych

ze złym funkcjonowaniem systemu politycznego i decyzyjnego można rozważać w kategoriach kosztów alternatywnych. A te jak wiadomo są trudno uchwytnie lub wręcz nierealne z chwilą, kiedy została już podjęta taka a nie inna decyzja. Wydaje się, iż badania wpływów lokalnych systemów politycznych na rozwój gospodarczy, szczególnie w naszym mieście, powinny być prowadzone. Być może ich rezultaty wywołają określone refleksje ze strony lokalnych polityków.

Jednym z większych grzechów głównych władz naszego miasta była niezdolność do przejścia od fazy ogólnego formułowania strategii do planowania operacyjnego, tj. do fazy konkretnego i konsekwentnego wdrażania wypracowanego programu. Jest to zjawisko typowe dla większości samorządów w Polsce. Gminy zatrzymały się na etapie ogólnego formułowania strategii i bronią się przed wprowadzaniem prorozwojowego budżetowania i wprowadzania jako zasady wieloletniego programowania inwestycyjnego. Również dużą przeszkodą jest niechęć lokalnych polityków i administracji samorządowej do podejmowania decyzji w oparciu o rachunki i analizy społeczno - ekonomiczne. Jest to zrozumiałe, gdyż racjonalizacja procesu decyzyjnego pozbawia lokalnego polityka „samodzielności” i ogranicza swobodę i bezkarność jego decyzji. Czasem jest to narzędzie wręcz groźne dla słabego merytorycznie polityka, gdyż może być wykorzystane przez opozycję do rozliczenia prezydenta miasta czy burmistrza z planowanych efektów.

Nie zamierzam w tym artykule prowadzić pełnej analizy przyczyn takiego a nie innego stanu rzeczy w zakresie lokalnej polityki rozwoju naszego miasta. Chcę natomiast dokonać pewnej prospektywnej diagnozy planowania rozwoju Łodzi i na podstawie zebranych doświadczeń zarysować dalsze kierunki działań na rzecz wypracowania użytecznego programu rozwoju miasta. Być może wreszcie po 13 latach podejmowanych częściowych prób, jakaś z nich zakończy się sukcesem. Nie ma bowiem już więcej czasu na połowiczne eksperymenty. Stajemy u wrót Unii Europejskiej. Pojawiająca się na tym tle szansa na udaną restrukturyzację i rozwój miasta, w dużej mierze zależeć będzie od jego programu rozwoju, jakości przygotowanych projektów prorozwojowych i skutecznej zintegrowanej lokalnej polityki pobudzania rozwoju. Wybory bezpośrednie prezydenta miasta jesienią 2002 roku i radnych do władz miasta spowodowały nowe dyskusje nad przyszłością Łodzi. Nowy prezydent miasta **Jerzy Kropiwnicki**, rozpoczynający 18 listopada 2002 roku czwartą, szczególną pod względem dokonanych zmian ustrojowych w wyborach samorządowych kadencję¹, także podejmuje próbę zbudowania autorskiego programu rozwoju. Miejmy nadzieję, iż jego program uwzględni pozytywne doświadczenia poprzedników.

Historia tworzenia lokalnego programu rozwoju miasta Łodzi ma już długą tradycję, chyba najdłuższą w Polsce. Pierwszy plan rozwoju gospodarczego opracował w 1992 roku zespół dawnego Zakładu Ekonomiki Rozwoju Miasta UŁ², na zlecenie ówczesnego prezydenta **Grzegorza Palki**.

Program „strategia biedy”

Równoległe z nim powstał „Program restrukturyzacji regionu łódzkiego” (1992-93 r.) opracowany przez grupę ekspertów, wraz z ówczesnym wicewojewodą **Bogusławem Grabowskim**. Program wojewody w dużym zakresie odnosił się do dominującego miasta województwa. Z uwagi jednak, iż w tym okresie niejasna była rola wojewody jako podmiotu regionalnej polityki, znaczenie tego programu dla samorządowego miasta trudno jest jednoznacznie oceniać. Były to bowiem działania niezależne od samorządu miasta, podejmowane ze strony rządowej administracji działającej w terenie, która miała aspiracje prowadzenia autonomicznej polityki i lobowania na rzecz udzielenia pomocy finansowej właśnie poprzez opracowanie programu restrukturyzacji przemysłu i budowy nowoczesnej infrastruktury. Program zawierał takie kierunki działań jak:

- „stworzenie wokół Łodzi „sfer przedsiębiorczości“, a także parków technologicznych i inkubatorów przedsiębiorczości,
- rozbudowa infrastruktury komunikacyjnej, która oparta będzie na skrzyżowaniu dwóch autostrad międzynarodowych, budowie TGV – szybkiej kolei Paryż-Moskwa i realizacji projektu międzynarodowego lotniska w Łasku (efektem tych wszystkich zadań byłby „łódzki węzeł komunikacyjny“),
- dążenie do pełnienia przez region łódzki ośrodka pośredniczącego we współpracy gospodarki krajów Europy Zachodniej i zamorskich z państwami Europy Wschodniej (w tym głównie państw powstałych po rozpadzie ZSRR).

Ponadto proponowano także:

- łamanie dominacji dużych uspołecznionych zakładów przemysłowych,
- pozbycie się przez przedsiębiorstwa przemysłowe zbędnego majątku produkcyjnego i nieprodukcyjnego,
- sukcesywne, konsekwentne dokonywanie procesów prywatyzacji,
- tworzenie dogodnych warunków dla napływu zagranicznego kapitału.

W dokumencie oszacowano wstępnie koszty i źródła finansowania głównych przedsięwzięć i całego programu. Jako główne źródło finansowe wskazywano budżet państwa, następnie Bank Światowy, MEN, środki Biura do spraw Restrukturyzacji, fundusze pomocowe. Wysokość nakładów, uznanych jako niezbędne, wynosiła w cenach z 1992 r. ponad 14 bln złotych (1,4 mld w nowych złotych, co przy przeliczeniu na ceny bieżące sięgałoby ca 6-7 mld zł, i dla małego ówczesnego województwa było kwotą rzeczywiście bardzo znaczącą).

Projekt restrukturyzacji województwa łódzkiego zawierał przede wszystkim odpowiedź na pytanie, jak wielkie są opóźnienia z zakresu infrastruktury społecznej i technicznej, które elementy infrastruktury wymagają w najbliższym czasie modernizacji, jakie urządzenia i obiekty infrastrukturalne winny zostać wybudowane w najbliższym czasie i perspektywie kilku lat. Program Grabowskiego był typowym programem roszczeniowym zasadzającym się na strategii biedy. W rzeczywistości spowodował raczej zablokowanie

procesów restrukturyzacyjnych niż ich inspirację. Był programem ukierunkowanym na pozyskanie środków na infrastrukturę, wywodzącym się z przesłanek logicznych, że rozwój jest uwarunkowany wysokiej jakości infrastrukturą techniczną, a Łódź ma pod tym względem duże zaległości. Program został upolityczniony przez „Solidarność” i stał się przedmiotem rozgrywek i walki o pozyskanie środków. Nie chcę oceniać, czy była wówczas szansa na wyegzekwowanie deklarowanych w polityce regionalnej środków pomocowych, czy też nie. Uważam jednak, iż program zahamował inne rodzaje inicjatyw związanych z poszukiwaniem wewnętrznych źródeł finansowania rozwoju, mobilizacji lokalnego kapitału czy też promocji regionu na zewnątrz poprzez ukazanie atrakcyjności miasta. Polityczna „strategia biedy” województwa przyniosła więcej szkody niż pożytku. Program ten bowiem oddawał skalę potrzeb, natomiast nie zaprezentowano w nim działań operacyjnych, ponieważ nie miał on przełożenia na konkretny wieloletni plan inwestycyjny, ani konkretne środki budżetowe.

Program „30 celów”

Inaczej od strony podmiotowej wyglądał „Program rozwoju ekonomicznego”, opracowany dla łódzkich władz samorządowych. Był on próbą spojrzenia na rozwój gospodarczy od strony tworzenia uwarunkowań zewnętrznych dla samodzielnych jednostek gospodarczych. W tym ujęciu w programie nie znalazły się roszczeniowe zapisy wobec rządu dla restrukturyzacji przemysłu. Cele rozwoju i priorytety opracowano na podstawie analizy strategicznej SWOT, która w tym okresie była nowością w lokalnym programowaniu rozwoju. Do zhierarchizowania celów opracowano i wykorzystano macierzową analizę potencjalnych synergicznych efektów rozwojowych z ich realizacją. W wyniku przeprowadzonych analiz zespół opracowujący projekt strategii rozwoju ekonomicznego (Markowski i wsp. 1992) zaproponował następującą misję miasta:

„Miasto Łódź, bazując na istniejących tradycjach produkcyjnych i przemysłowych, winno zachować funkcje miasta przemysłowego. Zmianie uleg powinna struktura przemysłu łódzkiego (odejście od monokulturowej struktury zdominowanej przez przemysł włókienniczy, na rzecz struktury zdywersyfikowanej, opartej na przemysłach nowoczesnych). Wykorzystując dotychczasowy dorobek, Łódź powinna pełnić funkcję krajowego ośrodka nauki i szkolnictwa. Ze względu na położenie geograficzne, jak i zdobyte już doświadczenia, Łódź ma realne szanse stania się istotnym centrum targowo - handlowo - wystawienniczym w obsłudze obszaru Europy Środkowej, jak i pośredniczącym w handlu Wschód-Zachód. Dla podtrzymania atrakcyjności Łodzi i utrzymania już zdobytego przez miasto w tej dziedzinie prestiżu, Łódź powinna pełnić funkcję ośrodka kultury i sztuki o znaczeniu ponadkrajowym. W ten sposób określona misja miasta daje podstawy do analiz możliwości wykorzystania istniejącego zagospodarowania, jego przekształceń, a także nowych inwestycji, które sprzyjałyby jej realizacji”.

Sformułowano 30 celów kierunkowych w podziale na cele ekonomiczne (cele I rzędu), cele strategiczne (cele II rzędu), określające bieguny rozwoju, oraz cele operacyjne (cele III rzędu).

Podstawowe cele rozwoju gospodarczego – (cele I rzędu)

1. Utworzenie zrównoważonej i zróżnicowanej struktury działalności produkcyjnej i usługowej.
2. Wzmocnienie i poszerzenie bazy dochodowej miasta.

Cele strategiczne – bieguny rozwoju – (cele II rzędu)

3. Stworzenie w Łodzi centrum mody na bazie istniejącego potencjału tekstylno-odzieżowego, wzorniczego i artystycznego.
4. Wykorzystanie potencjału medycznego (ośrodki naukowe, szpitale specjalistyczne).
5. Wzmocnienie funkcji krajowego i regionalnego ośrodka obsługi ekonomicznej, kulturalnej, naukowej (stolica regionu).
6. Wzmocnienie i dalszy rozwój funkcji targowych miasta.
7. Wzmocnienie i wykorzystanie Łodzi jako ośrodka naukowego i szkolnictwa wyższego.

Cele warunkujące rozwój i osiągnięcie celów strategicznych – (cele III rzędu)

8. Przyspieszenie procesów prywatyzacji i porządkowania stosunków własnościowych na obszarach decydujących dla rozwoju miasta.
9. Tworzenie uwarunkowań dla lokalnych inicjatyw gospodarczych, w tym:
 - inicjowanie powstawania instytucji wspierających ich rozwój, tj. towarzystw gospodarczych, agencji i fundacji, inkubatorów przedsiębiorczości, itp.;
 - promocja miasta, firm i produktów, doradztwo, informacje;
 - pomoc finansowa lokalna, regionalna, pożyczki, gwarancje kredytowe, udostępnianie terenów.
10. Mobilizacja lokalnego kapitału.
11. Aktywne kształtowanie rynku pracy pod kątem celów restrukturyzacji regionu.
12. Pobudzanie solidarności terytorialnej w zakresie gospodarki.
13. Zintensyfikowanie i wzmocnienie więzi pomiędzy nauką i gospodarką lokalną.
14. Zdyskontowanie potencjału wynikającego z naturalnego położenia miasta w centralnym punkcie kraju i Europy.
15. Poprawa przestrzennego zagospodarowania miasta i przebudowa systemów komunikacyjnych z punktu widzenia podtrzymania i intensyfikacji procesów rozwojowych.
16. Wytworzenie więzi i współpracy między sektorem publicznym i prywatnym, szczególnie w dziedzinie wspólnych przedsięwzięć inwestycyjnych.
17. Nawiązanie dobrej współpracy z sąsiednimi gminami w zakresie wspólnych przedsięwzięć.

18. Zabieganie o lokalizację siedzib organizacji rządowych, międzynarodowych stowarzyszeń, fundacji itp. działających w układach ponadlokalnych.
19. Wykorzystanie i pobudzenie zainteresowania inwestorów zagranicznych lokalizacją w Łodzi.
20. Wykorzystanie procesów polaryzacji społeczeństwa w przestrzeni pod kątem społecznych inicjatyw gospodarczych.
21. Budowa pozytywnego obrazu funkcjonowania władzy samorządowej w skali lokalnej, regionalnej, a także międzynarodowej.
22. Wykorzystanie reprezentacji Łodzi w parlamencie i administracji rządowej dla celów rozwoju miasta.
23. Pozyskanie mass mediów na rzecz promocji rozwoju miasta.

„Program rozwoju ekonomicznego Łodzi“, mimo że przyjęty jako wewnętrzny dokument dla działania władz samorządowych, nie został przetworzony na dalsze szczegółowe programy operacyjne. Być może był to program i sposób rozumowania, który wyprzedził czas, w jakim przyszło działać młodym władzom samorządowym. Mimo to można jednoznacznie stwierdzić, iż zapisane w nim poszczególne cele – wyprowadzone zgodnie z metodologią analizy SWOT – są samorealizowalne. Realizowane przez różne podmioty, niezależnie od toczących się rozgrywek politycznych wewnątrz rady miejskiej, paraliżujących proaktywną politykę samorządu.

Strategia ośmiokartkowa

Z innych oficjalnych dokumentów, jakie powstały w Łodzi, należy wymienić program „Strategia dla miasta“ opracowany za kadencji Marka Czekalskiego – prezydenta Łodzi w latach 1994-1998. Mimo nadania mu nazwy „Strategia“, byłyby duże trudności z uznaniem tego dokumentu jako rzeczywistej strategii użytecznej dla zarządzania rozwojem miasta przez władze samorządowe II kadencji 1994-98. Program sformułowano zaledwie hasłowo na ośmiu stronach. Posłużył przede wszystkim jako tło do dyskusji i opowiadania się grup politycznych za lub przeciw ówczesnemu prezydentowi. Mimo podejmowanych prób nadania temu programowi znaczenia merytorycznego, a nie politycznego, „Strategia...“ przysporzyła Czekalskiemu więcej przeciwników niż zwolenników i spowodowała rozłam i konflikty w samej koalicji, którą w tym czasie podtrzymywał bardziej silny przeciwnik (SLD) niż wspólne idee programowe.

Strategia Czekalskiego zawierała trzy główne wartości:

1. Zbudowanie klimatu współpracy i zaufania wszystkich sił politycznych.
2. Zarządzanie majątkiem gminy.
3. Przyciąganie kapitału.

Z tych trzech wartości właściwie tylko 3 punkt znajduje rozwinięcie w postaci zarysu programu, gdzie podzielono działania na tzw. przedofertowe z wyznaczeniem pewnych zadań. W okresie II kadencji politycy podjęli próbę obalenia ustaleń planu zagospoda-

rowania przestrzennego (opracowanego i uchwalonego w I kadencji), bo nie przewidywał on ekspansji supermarketów, a tym samym stał się niewygodnym instrumentem ambitnych władz miasta poddawanych silnej presji zagranicznych koncernów handlowych. To właśnie w tym okresie przesądzono większość lokalizacji łódzkich hipermarketów i rozpoczęto procedury zmiany przeznaczenia terenów dla potrzeb pojawiających się inwestorów. Przystąpiono do opracowywania Studium uwarunkowań i kierunków zagospodarowania przestrzennego, które miało być podstawą do opracowania nowego planu miejscowego (wymagała tego Ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym, która weszła w życie w 1994 roku).

Strategia wymaga kompromisu politycznego

III kadencja 1998-2002 rozpoczęła się od rządów SLD. Działający do tej pory w opozycji SLD, nie sformułował w okresie swojej konsolidacji programu rozwoju miasta. Nowym prezydentem został Tadeusz Matusiak. Euforia ze zwycięstwa sprawiła, iż nowy zarząd chciał wyjść jak najszybciej z własnym i nowym programem rozwoju miasta. Powołano zespół konsultacyjny przy prezydencie, który miał za zadanie przygotować założenia do długofalowej strategii oraz program działania dla III kadencji rady miejskiej³.

W czasie III kadencji ciągle trwały prace nad Studium zagospodarowania przestrzennego, które miało być zintegrowanym planem istotnym także dla stymulowania rozwoju przestrzennego i gospodarczego. Opóźnianie prac nad „Studium“, a przede wszystkim ciągły brak zapisów polityki przestrzennej miasta (czego wymagała między innymi ustawa o zagospodarowaniu przestrzennym) powodowało, iż „Studium“ nie mogło być uchwalone zgodnie z przyjętym harmonogramem. W tej sytuacji miasto zleciło opracowanie strategii rozwoju przestrzennego, która miała sformułować cele polityki przestrzennej. Strategia taka opracowana przez zespół pod kierunkiem **Aleksandry Jewtuchowicz**, niestety, nie spełniała pod tym względem oczekiwań architekta miasta. Dokument programowy oparty na założeniach rozwoju gospodarczego, opracowanych przez zespół, którego przewodniczącym był autor tego artykułu – o szerokim ujęciu problematyki miasta – został potraktowany jako strategia zarządu i miasta i uchwalony przez radę miasta zdominowaną przez SLD.

W rozdziale wprowadzającym do tego programu napisano m. in.:

„(...) Sensem działania władz miasta jest z jednej strony dostarczanie usług publicznych i obsługa mieszkańców, z drugiej zaś kształtowanie warunków dla rozwoju i szeroko pojmowanej przedsiębiorczości. Rola organów miasta polega na zapewnieniu sprawnego funkcjonowania miasta oraz budowie realnych przesłanek stabilnego rozwoju i zapewnienia przewagi konkurencyjnej na szeroko pojmowanym rynku. W związku z tym wskazane jest rozpowszechnienie modelu rynkowego – regulacyjnego w dziedzinie świadczenia usług publicznych i modelu pośredniego w kreowaniu warunków rozwoju lokalnego.“

Władze miasta powinny działać strategicznie, innowacyjnie i być zorientowane na ciągłe rozwiązywanie kluczowych problemów. Intencją koncepcji rozwoju miasta jest preferowanie wielostronnego rozwoju, nawiązującego z jednej strony do dziedzictwa przemysłowego, z drugiej zaś nakierowanego na sukces w dziedzinach uznanych za konkurencyjne i warte modernizacji.

Zaś w diagnozie prospektywnej zwrócono uwagę:

„Przekształcające się funkcje miasta i ewidentna potrzeba ich dynamizacji będą przyczyniały się do utrzymywania w Łodzi relatywnie wysokiego bezrobocia, które ma charakter strukturalny i odznacza się wyjątkowo niekorzystnymi cechami. Wymaga to zaktywizowania działań miasta i opracowania trwałych zasad rozwiązywania kwestii bezrobocia w dłuższej perspektywie. Udział władz miasta w przeciwdziałaniu bezrobociu i zwalczaniu jego skutków jest wręcz oczekiwany przez mieszkańców Łodzi.

(...) Sposoby realizacji celów strategicznych i sprawne zarządzanie miastem wymaga akceptacji społecznej i kompromisu politycznego. Treścią zasady partnerstwa, tak potrzebnej w Łodzi, jest tworzenie konsensusu i zbudowanie koalicji możliwie wszystkich liczących się sił wokół działań na rzecz rozwoju miasta. W praktyce oznacza to współdziałanie organów miasta z szerokim gronem partnerów i promowanie atmosfery współpracy oraz porozumienia.

Gospodarka łódzka wymaga zdecydowanego wsparcia procesów restrukturyzacji. Dynamika zmian strukturalnych wynika bowiem z upadku wielu przedsiębiorstw państwowych, a nowe dziedziny wytwórczości nie weszły jeszcze w pełną fazę rozwoju. Docelowo miasto powinno zmierzać do nowoczesnej i zróżnicowanej struktury gospodarczej. Tworzenie warunków wielofunkcyjnego rozwoju wymaga obok zaangażowania władz miasta, także aktywnego uczestnictwa państwa i władz centralnych i dobrych programów inwestycyjno-strukturalnych, w tym pomocy finansowej i politycznej. Jak pokazuje doświadczenie innych krajów, restrukturyzacja i modernizacja gospodarki miast o monokulturze przemysłowej nie jest możliwa do rozwiązania tylko siłami lokalnymi.

Istotną funkcją w mieście, silnie związaną z funkcją przemysłową, jest działalność naukowa i badawcza. Obecnie funkcje przemysłowa i naukowa nie są zintegrowane. Rzutuje to na słabość lokalnego i regionalnego systemu innowacji. Tylko konsekwentna polityka władz miasta, wspólne lobowanie na jego rzecz, proaktywna promocja w poszukiwaniu inwestorów i przestrzeganie zasady koncentracji działań pozwoli na przełamanie i odwrócenie negatywnych trendów społeczno-gospodarczych w mieście“.

W założeniach, biorąc pod uwagę misję miasta i elementy diagnozy stanu istniejącego, sformułowano następujące cele (priorytety strategiczne):

1. Wzmocnienie i rozwój funkcji metropolitalnych miasta.
2. Zróżnicowanie struktury gospodarczej i wzmocnienie lokalnego systemu produkcji miasta i polifunkcyjny jego rozwój.
3. Rozwój kapitału ludzkiego.
4. Poprawa wewnętrznej i zewnętrznej dostępności miasta.
5. Ochrona i wzmocnienie ekologicznego systemu miasta.
6. Budowanie konsensusu i porozumienia między ugrupowaniami politycznymi wokół strategicznych działań ważnych dla rozwoju miasta i interesów społeczności lokalnej.

Obszary prestiżu miasta

Autorzy programu zaproponowali władzom lokalnym skoncentrowanie działań inwestycyjnych na tzw. obszarach prestiżu miasta.

Za główne obszary prestiżu miasta proponowano uznać następujące rejony:

- ul. Piotrkowską wraz z zapleczem (ulice sąsiednie i pasaże).

Uznając wysoki walor ulicy Piotrkowskiej oraz znaczenie handlu, gastronomii i usług jako ważnych działalności centrotwórczych, miasto opracuje zasady polityki handlowej tak, aby ta funkcja mogła być nadal realizowana w podstawowych jednostkach strukturalnych miasta.

- rejon Dworca Fabrycznego.

Jest to miejsce najbardziej dostępne w stosunku do stolicy, a rejon ten może się rozwijać pod warunkiem dobrych połączeń do Warszawy. Obszar ten może pozytywnie wpływać na rozwój Łodzi i jest predestynowany do lokalizacji centrum kongresowego.

- tereny, na których znajdowały się obiekty byłej „Fali” i Stawy Stefańskiego
- Są to obszary, które powinny stać się miejscem szeregu skoncentrowanych usług rekreacyjnych i wydarzeń sportowych.

- historyczne zespoły posiadłości wodno-fabrycznych, takich jak: Księża Młyn, czy Pałac Poznańskiego. Zespoły te mogą decydować o tożsamości miasta i być główną atrakcją turystyki i archeologii przemysłowej.

- okolice skrzyżowania ul. Piotrkowskiej i al. Piłsudskiego. Obszar ten już jest i nadal powinien być traktowany jako centrum biurowo-handlowo-hotelowe“.

Zapał się wyczerpał

Jednak po uchwaleniu Strategii i dokonaniu niewielkich zmian w strukturach organizacyjnych, niezgodnych *de facto* z intencją programową, zapał do strategicznego zarządzania rozwojem wyczerpał się. Postulowanych programów szczegółowych, spójnych z założeniami wyjściowymi już nie opracowano. Konflikty wewnątrz SLD doprowadziły

do zmiany na stanowisku prezydenta miasta. Kolejnym został Krzysztof Panas. Nowy prezydent podjął decyzję, że i on musi być także autorem strategii. W zespole roboczym ponownie znalazł się autor niniejszego artykułu. Idea prezydenta nawiązywała do rozpoczętych prac przez Unię Metropolii Polskich i prezydentów Łodzi – M. Czekalskiego i Warszawy – M. Święcickiego, dotyczących budowy szybkiego kolejowego połączenia Łodzi z Warszawą. Projekt ten wylansowano tuż przed wyborami samorządowymi do III kadencji. Można powiedzieć, iż istota strategii Panasa polegała na wylansowaniu, trochę jak gdyby już zapomnianego w środowisku miasta Łodzi, flagowego projektu infrastrukturalnego, który zjednoczyłby wysiłki twórcze i inwestycyjne, a także polityczne nad przekształceniem newralgicznej strefy miasta w rejonie Dworca Fabrycznego. Tym flagowym projektem miała być, obok szybkiej kolei, budowa wielofunkcyjnego budynku portalowego dla łódzkiego dworca. Inwestycje te dawałyby Łodzi poprawę dostępności komunikacyjnej do stolicy oraz do lotniska na Okęciu. Panas powołał zespół konsultacyjny, który miał pomóc w opracowaniu strategii. Prezydent zgodził się z propozycją zespołu konsultacyjnego, aby tym razem strategia powstała przede wszystkim wysiłkiem zarządu oraz pracowników dobranych z najważniejszych wydziałów Urzędu Miasta. W skład zespołu konsultacyjnego, obok członków zarządu, weszli: Stefan Krajewski – przewodniczący zespołu konsultantów, Tadeusz Markowski – zastępca przewodniczącego, Eugeniusz Wojciechowski, Andrzej Bogus, Włodzimierz Mielczarek – członkowie zespołu konsultacyjnego.

Zespół konsultacyjny sformułował następującą wyjściową koncepcję:

Misja – „Łódź – Ziemią Przyszłości“

„Fenomen przeszłości „Łodzi jako Ziemi Obiecanej“ nie może być barierą dla przyszłości tej ziemi. Wygranie przeszłości historycznej Łodzi jako najbardziej dynamicznego miasta z przełomu XIX i XX wieku, dla przyszłości jej mieszkańców zakłada rozwój bazujący na jej przemysłowym dziedzictwie, unikalnej kulturze materialnej wynikającej z tego dziedzictwa, wciąż silnym duchem przedsiębiorczości i szansami związanymi z centralnym położeniem w Kraju. Taka misja oznacza konsekwentne działania na rzecz rewaloryzacji, rewitalizacji i rozwoju zasobów miasta pod kątem współczesnych wymagań mieszkańców i inwestorów.

W świetle zaś zarysowanej wizji rozwoju Łodzi, zdyskontowanie wewnętrznych atutów miasta jest uwarunkowane szybką budową autostrad i kolei tak, aby zgodnie z potwierdzonymi programami inwestycyjnymi stworzono z Łodzi miasto o największej dostępności komunikacyjnej w Europie Centralnej i dynamicznie rozwijające się w ramach metropolitalnego układu Warszawa – Łódź o randze Europolu.

Atuty i słabości Łodzi są związane z jej historycznym, przemysłowym dziedzictwem oraz zmianą struktury społeczno-gospodarczej jaka dokonała się po drugiej wojnie światowej.



10671-A

Na atuty Łodzi składają się:

1. Tradycje przemysłowe, a w tym przedsiębiorczość spontaniczna (oddolna)
2. Akademickość
3. Bliskość Warszawy
4. Dziedzictwo tradycji i kultury materialnej z końca XIX i XX wieku czterech kultur: polskiej, żydowskiej, niemieckiej, rosyjskiej
5. Unikalność w skali europejskiej ulicy Piotrkowskiej i związanej z nią funkcji handlowej i rozrywkowej (Łódź miastem rozrywki).

Słabości Łodzi to:

1. Zła zewnętrzna dostępność miasta w skali krajowej i międzynarodowej
2. Nadal dominująca rola coraz mniej konkurencyjnego przemysłu lekkiego
3. Mało innowacyjny przemysł (brak powiązań sieciowych i zatowarowanie drobnej wytwórczości)
4. Brak silnych związków między nauką i praktyką
5. Znaczna skala zaniedbania i niska jakość substancji mieszkaniowej w strefie centralnej miasta
6. Nie uporządkowane stosunki własnościowe – szczególnie na najatrakcyjniejszych pod względem lokalizacyjnym terenach i nieruchomościach
7. Niedopasowanie pomiędzy walorami dostępności komunikacyjnej terenów z wyposażeniem w infrastrukturę techniczną
8. Starzejące się społeczeństwo
9. Przyspieszona dezurbanizacja w porównaniu do innych wielkich miast w Polsce.

Szanse

Łódź ma jednak bardzo duże szansę rozwoju wynikające z krajowych uwarunkowań rozwoju i decyzji związanych z Długofalową Strategią Rozwoju Polski, a także uchwalonej przez Sejm Koncepcji Polityki Przestrzennego Zagospodarowania Kraju. W tych dokumentach Łódź jest sytuowana jako międzynarodowy węzeł komunikacyjny oraz ośrodek wspomagania aglomeracji warszawskiej w systemie sieci miast europejskich i globalnych. Potencjalne możliwości rozwoju miasta związane są jednak z silnym lobowaniem władz miasta Łodzi i Urzędu Marszałkowskiego w centralnych ośrodkach decyzyjnych na rzecz przyspieszenia programów inwestycyjnych i konsekwentnej realizacji priorytetów ogólnokrajowych związanych z polityką regionalną Rządu i UE.

Zagrożenia

Zagrożenia rozwoju Łodzi wynikają z szybszej dynamiki pozytywnych zmian w największych polskich aglomeracjach, które przechwytyją inwestorów i wykształconą młodzież (Łódź w różnego typu rankingach atrakcyjności uzyskuje coraz niższą pozycję), hamując szanse na dynamizację rozwoju.

Bliskość Warszawy może być także zagrożeniem. Wynika ono z psychologicznych zachowań polityków, które można określić jako Warszawocentryzm i niechęć do międzyaglomeracyjnej współpracy władz dwóch największych miast w Polsce

Na tym tle zarysowano następujące **STRATEGICZNE KIERUNKI DZIAŁAŃ**

A Działania związane z szansami zewnętrznymi

- A.1. Przekonanie władz rządowych do jak najszybszego zdynamizowania rozwoju bipolarnej metropolii warszawsko-łódzkiej wraz z poprawą zewnętrznej dostępności aglomeracji łódzkiej.
- A.2. Dynamizacja programu budowy autostrad
 - przede wszystkim priorytetowe traktowanie budowy autostrady na odcinku Łódź-Warszawa
 - modernizacja drogi Łódź-Rawa Mazowiecka
 - przenoszenie niektórych instytucji centralnych z Warszawy do Łodzi
- A.3. Tworzenie w Łodzi nowych instytucji centralnych (w tym związanych z integracją z UE)
- A.4. Połączenie kolejowe Łodzi z lotniskiem na Okęciu (wspólny interes Warszawy i Łodzi)
- A.5. Lotnisko w okolicach Skierniewic (w dalszej perspektywie)

B Strategiczne cele związane z układem wewnętrznym to m. in.:

- B. 1. Rozwój nowoczesnej struktury gospodarczej miasta poprzez:
 - włączenie wyższych uczelni do aktywizacji młodzieży na rynkach pracy, rozwój postaw przedsiębiorczych, doksztalcania i doskonalenia zawodowego pod kątem potrzeb pracodawców
 - przygotowanie czystych ekologicznie terenów pod nowoczesny przemysł, promowanie technologii przyjaznych środowisku, tworzenie enklaw wysokiej jakości warunków bytowych dla mieszkańców miasta
 - utworzenie Parku Naukowo-Technologicznego
 - prowadzenie przez władze lokalne aktywniejszej polityki udzielania gwarancji i pożyczek
 - aktywniejsza polityka czynszowa (możliwość ustalania elastycznych, niskich czynszów)
 - realizacja programu: Łódź – Zdrowe Miasto
 - rozwój infrastruktury społecznej dla zagranicznego biznesu (kluby, hotele, świątynie różnych wyznań, szkoły z językiem obcym jako podstawowym)
- B. 2. Poprawa dostępności wewnętrznej

- B. 3. Dalszy rozwój wyższych uczelni w Łodzi
- przekazywanie uczelniom budynków (lokali) po likwidowanych szkołach, fabrykach szpitalach itp.
 - opracowanie wspólnego (władz miasta i szkół wyższych) programu promocji Łodzi
 - prowadzenie badań dla potrzeb miasta
- B. 4. Odnowa zabytków i promocja dziedzictwa materialnego miasta czterech kultur
- utworzenie konsulatów honorowych Izraela, Rosji, Ukrainy
 - organizowanie imprez nawiązujących do kultury żydowskiej, niemieckiej i rosyjskiej
 - ochrona zabytków związanych z kulturą żydowską, niemiecką, rosyjską
 - lepsza informacja turystyczna w językach obcych (np. kiosk informacji turystycznej na Dworcu Fabrycznym)
- B. 5. Wykorzystanie bliskości Warszawy dla rozwoju funkcji metropolitalnych
- budowa szybkiej kolei relacji Łódź - Warszawa
 - budowa Portalu Łódzkiego (kompleks biurowo-handlowo-dworcowy na stacji Łódź-Fabryczna)

W zakończeniu tej wstępnej propozycji zapisano, iż „warunkiem skutecznego wdrażania ogólnej strategii rozwoju Łodzi jest m. in.:

- powiązanie wieloletniego planu inwestycyjnego z celami strategii i wprowadzenie do bieżącej praktyki zarządzania rozwojem miasta budżetu zadaniowego.” Złe notowania stylu rządzenia Krzysztofa Panasa w łódzkich mediach, ale i także w ramach SLD, spowodowały zmianę na stanowisku. Kolejnym prezydentem został Krzysztof Jagiełło. Zmiana ta oraz zbliżające się wybory w październiku 2002 z oczywistych względów zahamowały prace nad kontynuacją strategii. Trzeba jednak oddać honor prezydentowi Panasowi, który po raz pierwszy w historii planowania rozwoju Łodzi zaangażował do prac nad strategią cały zarząd miasta, który pracował wspólnie z grupą konsultantów zewnętrznych. W ten sposób zaistniała szansa pełnego identyfikowania się zarządu z opracowaną strategią. Czy udałoby się taki program rzeczywiście opracować, trudno jest obecnie ocenić, gdyż nastąpiła radykalna zmiana u sterów we władzach miasta.

Nadzieja na poprawę

Wydźwięk tego artykułu nie napawa nadmiernym optymizmem. Można jednak zdecydowanie wskazać, iż widać stopniową poprawę i zmieniający się stosunek do strategicznego zarządzania rozwojem miasta i że idzie on w korzystną stronę. Na przeszkodzie jednak, aby to narzędzie stało się rzeczywiście skutecznym instrumentem zarządzania, stoją zwalczające się ugrupowania polityczne. Pozostaje mieć nadzieję, iż te pozytywne i negatywne doświadczenia rządzących ostatecznie zostaną wykorzystane z pożytkiem

dla przyszłości miasta i jego mieszkańców. Zarządzanie miastem polega na konsekwentnej realizacji strategicznych dzieł poprzedników, poszukiwanie zaś czarodziejskiej nowej różdżki mija się z celem. Nic nie zwalnia polityków z organicznej pracy i stałego doskonalenia aparatu administracji lokalnej. Każda zmiana władzy powoduje, iż procesy samodoskonalenia lokalnej administracji są gwałtownie burzone, mimo że wszystkim nowym reformatorom w Urzędzie przyświeca światła idea znalezienia i zatrudnienia „najlepszych” fachowców. Wówczas ciągłość planowania i zarządzania zostaje zaburzona a następcy rozpoczynają prace planistyczne od początku, tracąc to, co jest we współczesnym świecie najcenniejsze – społeczny czas.

1. Do podstawowych zmian, jakie wprowadziła nowa ordynacja wyborcza, to bezpośrednie wybory szefów lokalnej administracji oraz zmniejszenie liczby radnych. W Łodzi poprzednia liczba radnych wynosiła 80 osób a obecnie 43.
2. T. Markowski, A. Jewtuchowicz, P. Bury, J. Kot, M. Horbaczewska, D. Stawasz
3. W zespole pracowali: T. Markowski -przewodniczący, E. Wojciechowski, M. Górski oraz w początkowej fazie M. Koter i M. Zalewski

LITERATURA

1. Program rozwoju ekonomicznego Łodzi, 1992, maszynopis.
2. Markowski T., 1994, Aktualna strategia rozwoju regionu łódzkiego, Koncepcja restrukturyzacji gospodarczej regionu łódzkiego, [w:] Studium wiedzy o regionie łódzkim. ŁTN, Łódź.
3. Grabowski B., Krajewski St., Mielczarek W., 1994, Koncepcja restrukturyzacji gospodarczej regionu łódzkiego, [w:] Studium wiedzy o regionie łódzkim. ŁTN, Łódź 1992-1993, maszynopis powielany.
4. M. Czekalski, „Strategia miasta”, 1994, maszynopis.
5. Założenia do strategii rozwoju miasta III Kadencji Rady Miejskiej, 1998, maszynopis powielany.
6. Krajewski St., Bogus A, Markowski T., Mielczarek W, Wojciechowski E, 2002, Założenia do strategii rozwoju Łodzi, maszynopis.

Tadeusz Markowski
– prof. dr hab. nauk ekonomicznych,
działek Wydziału Zarządzania Uniwersytetu Łódzkiego.

Zaprzepaszczona tradycja

W poszukiwaniu nowego wizerunku idealnego Lodzermenscha

pierwsze kolumny

Czy stare słowo Lodzermensch – określenie obywatela, mieszkańca Łodzi – łączone sto lat temu z kosmopolityzmem przez środowiska narodowo – katolickie w jeden ciąg epitetów – nie przynosi ujmy dzisiejszym obywatelom Łodzi?¹ Wszak elity biznesu – jak wiemy z mediów – owi aktywni członkowie Klubu Kapitału Łódzkiego – uwikłali się szybko w różne skandale. Dlatego dziś wymaga to poważnego wyjaśnienia, bo nie pragnę się pastwić nad kapitalistami i ich prawdziwą, naturalną pasją zdobywania majątku. Kapitał z racji swojego uniwersalizmu i obiektywizmu, łączył się przecież z patriotyzmem lokalnym w budowie i rozwoju miasta Łodzi.

Dziś procesy integracji i globalizacji postępują szybko, a będący od niedawna ich uczestnikami łodzianie mają zrozumiałe kłopoty z autoidentyfikacją i poczuciem tożsamości. Zwłaszcza, że ich świadomość i tożsamość historyczna pozostają wciąż pod wpływem etnocentryzmu i osadzone są tradycyjnie w perspektywie narodowej.

Czy można zatem określenie Lodzermenscha przenieść na obecny grunt i nazwać tak nowych łódzkich kapitalistów? Nie jest to możliwe, ale warto zastanowić się, dlaczego. Sięgnijmy zatem do łódzkiej sztuki, łódzkiej architektury. Monokulturowe miasto dziewiętnastowieczne – Łódź kapitalistyczna – mogło dość szybko znaleźć odzwierciedlenie w łódzkiej sztuce XIX w. Architektura fabryk i pałaców Łodzi, mająca wartość ze względu na jakość kulturową tych szybko wnoszonych budowli oddziaływała na świadomość społeczną.

Architektura należy do zjawisk kultury, do wielkiej domeny, która stanowi „całokształt zobiektywizowanych elementów dorobku społecznego”. Jest dziełem stworzonym przez człowieka, określającym jego społeczne zwyczaje, tradycje, narzędzia i sposoby myślenia.

Architektura Łodzi przemysłowej ma wymowę światopoglądową i ideologiczną. Może być więc podłożem społecznej identyfikacji dla dziedzictwa sztuki. Historia łódzkiej architektury to historia inwestycji włókienniczych i wynik procesów budownictwa przemysłowego, które uczą historii Łodzi przemysłowej.

Okres rewolucji przemysłowej może być granicą w klasyfikacji zabytków przemysłowych Łodzi, głównie dlatego, że upowszechnia się zwyczaj murowania przemysłowych budowli ceglanych w Europie. Było to podyktowane względami praktycznymi, chodziło o trwałość i odporność materiału na ogień. Budynek służyły za pomieszczenia dla ciężkich maszyn, stropy dźwigały często stalowe urządzenia do transportu ciężarów wewnątrz hal lub wały przenoszące moc silnika na maszyny robocze, typowe dla łódzkiego przemysłu włókienniczego². Pod okiem XIX-wiecznego Lodzermenscha powstaje, więc mnóstwo budowli specjalistycznych – przędzalnie, tkalnie, kotłownie, wieże ciśnień, zbiorniki cieczy, farbiarnie, elektrownie – wszystko to dzięki zainwestowaniu zaczyna stwarzać nowoczesny krajobraz industrialny³.

Ideologia kapitalizmu manifestuje się w stylu budownictwa przemysłowego. Styl ten podporządkowuje się zasadzie funkcjonalizmu, przyozdabia się w stosowne detale architektoniczne; w pierwszej połowie XIX wieku wykorzystuje klasycystyczne układy pałacowe i fasady budowli sakralnych, w drugiej połowie XIX wieku posługuje się architekturą gotycką. To przez neogotyckie elementy przemawiała klasa zwyczajna, zainteresowana stabilizacją systemu i dlatego odwołująca się do motywów uswięconych odwieczną funkcją w służbie wartości materialnych. Chodziło o oddziaływanie wychowawcze na masy pracujące za pomocą współczynników środowiska materialnego⁴.

Łatwo to sprawdzić z pomocą kierunków filozoficznych tej epoki, a nawet konkretnych poczynań organizacyjnych. Jeden z apostołów ideologii burżuazyjnej Tomasz Carlyle twierdził, że „w gruncie rzeczy wszelka szczerza praca jest religią, każda religia, która nie jest pracą może iść precz”. Inny angielski pastor John Trevor założył w Manchesterze „Kościół pracy” i odprawiał nabożeństwo w hali fabrycznej.

Neoromantycy niemieccy w rodzaju H. Ardelta dopatrywali się w kominach fabrycznych ramion wyciągniętych w modlitwie ku niebu, a zgiełk maszyn kojarzył się im z „Te deum laudamus”. Trzeba przypomnieć raz jeszcze, że Łódź w XIX w. nie znała zjawiska TRADYCJI, ani zjawiska opozycji: sztuka arystokracji – sztuka mieszczaństwa. Powstała natomiast za sprawą technologii, filozofii, religii i kapitalizmu osobliwa „kultura Lodzermenscha” (kultura łódzkiego obywatela). Spuściznę po tej kulturze – architekturę łódzką – pragniemy dziś podnieść do rangi dzieła sztuki XIX w. Zatem architektura łódzka, zarówno, jeśli chodzi o tworzywo i kształt budowli gotowej, jak i jej percepcję, wydaje się wyraźniej odzwierciedlać realną rzeczywistość życia społecznego Łodzi. Poza tym architektura ta stanowi adekwatny zapis własnej genezy, będącej wyrazem działania inwestycyjnego obcego przybysza – Lodzermenscha – łódzkiego burzua własną energią zdobywającego majątek i kapitał. Zasadniczą cechą architektury łódzkiej jest jej identyfikacja „narodowa” owa, odyseja do *Ziemi obiecanej*, stanowiąca przekątnik pewnych treści kulturowych, związanych często z określonym momentem historycznym.

Z inicjatyw przemysłowców powstały w Łodzi fabryki wyposażone w programy technologiczne – oraz architektoniczno-techniczne. Pałace i wille, choć wzorowane na pomysłach arystokratycznych, stanowiły wyraz osobistych poglądów tu-tejszych fabrykantów i kupców – Lodzermenschów. Dodajmy jeszcze, że inaugurują ów prawdziwy dialog komunikacji kulturalnej Scheibler i Poznański, coraz powszechniejsze staje się zrozumienie, że przede wszystkim fabryka może być dziełem architektury, a jej powstanie przypisuje się czynnemu zaangażowaniu inżyniera oraz fundatora. Tworzy się mit Lodzermenscha.

Nie tylko artystyczny dyletant Izrael Poznański ingeruje w sprawy projektów Majewskiego, Chełmińskiego czy Zeligsona; także i inni przemysłowcy – słusznie lub nie, przypisują sobie zasługę powstania funkcjonalnego i pięknego gmachu fabryki (dzieła techniki). Wzmianki w korespondencji z gubernatorem piotrkowskim mówią o dużym nieraz zainteresowaniu, czasem wprost pochłonięciu sprawą budowy fabryki, nadają im autorytatywność i komunikatywność. Architektura łódzka została stworzona w ramach ideologii burżua – Lodzermenscha i doktryny artystycznej określonych budowniczych, którzy w większości pokończyli petersburskie uczelnie. Interpretacja przekazu architektonicznego (fabryki, kościoła, pałacu, kamienicy) i ideologii burżua prowadzi nas do oceny, w myśl, której należy przeciwstawić oficjalną architekturę łódzką architekturze historycznej w Polsce. Unaocznia ona li tylko odmiennność statusu kapitalisty – w stosunku do wyższych oraz niższych warstw społecznych. Większość architektury Łodzi stanowią dzieła budownictwa przemysłowego, realizacje użytkowe, które są przede wszystkim odbiciem aktualnych stosunków ekonomicznych i społecznych, a których echa przetrwały do dziś. I one dzisiaj fascynują turystów zagranicznych.

Architektura łódzka, dokonując nobilitacji inwestora – Lodzermenscha, stała się jednocześnie symbolem nowego rodzaju władzy wobec niższych warstw społecznych tworzących się w ramach społeczności miejskich – łódzkiego proletariatu.

Łódzki kapitalistyczny porządek społeczny nie posiadając rodowodu mieszczańskiego obciążonego tradycją, właśnie dzięki akumulacyjnym zabiegom gospodarczym osiągnął efekty najbardziej kreatywne w XIX w. Świadczy o tym architektura przemysłowa i ona stanowi w moim przekonaniu fragment najbardziej oryginalnej struktury kultury miasta. **Bo „estetyzm Lodzermenscha” jako kategoria „ideалу i piękna”, faktycznie stanowi oryginalną wersję idei ponadhistorycznych.** Łódź stanowiła środowisko miejskie wyraźnie wyodrębnione z obszaru całego Królestwa, gdzie istniały specyficzne warunki bytowania, określona produkcja włókiennicza, struktura społeczna i charakterystyczny rozwój gospodarki oraz kultury. Była, bowiem Łódź w II połowie XIX w. miastem wielkich przedsiębiorstw. Do największych należały fabryki Scheiblera, Rossenblatta, Heinzla, Geyera, Hentschla, Kunitzera, Poznańskiego, Grochmana (wszyscy przedsiębiorcy z wyjątkiem Poznańskiego i Rosenblatta byli Niemcami i mieszkańcami Łodzi od kilkudziesięciu lat). Właściciele tych zakładów posiadali

przywileje polityczne, sędownicze i ekonomiczne. Stąd też bez znaczenia była tutaj młoda i nieliczna inteligencja polska, a miasto zupełnie podporządkowane było władzy carskiej. Natomiast już od połowy XIX w. pojawiła się w Łodzi nowa warstwa społeczna – proletariat.

Ale to Lodzermensche otwierają banki, szpitale i szkoły a inauguracja szkoły handlowej Zgromadzenia Kupców przy ul. Dzielnej 41 stała się wydarzeniem politycznym w Łodzi. Przejęcie się sprawami nauki znajduje też wyraz w tym, że Lodzermensch Poznański utrzymuje kontakty z wybitnymi członkami komitetu budowy warszawskiej politechniki. Poprzednio, angażował się w staraniach o założenie Instytutu Politechnicznego w Łodzi. Wiadomo, że „5% z osiągniętych czystych zysków w roku 1898 przeznaczył „na rzecz uzupełnienia funduszy” uczelni warszawskiej.

Niezależnie od tego ofiary na rzecz politechniki zadeklarowały firmy I. L. Bary w Łodzi, Henryk Birnbaum w Łodzi, Fitzner i Gramper w Siedlcach i Dąbrowie, M. Silberstein w Łodzi i dom handlowy K. H. Schoe w Sosnowcu”. Od Poznańskiego i Scheiblera – Lodzermenschów, pochodzi praktyka udostępniania osiągnięć technicznych własnej firmy uczniom szkół zawodowych. Praktyka wizyt kurtuazyjnych i dydaktycznych na terenie kombinatu bawełnianego była popularną formą kontaktów handlowych.

Wykorzystywano każdą okazję, by reklamować przemysł włókienniczy a temat łódzki wkraczał stopniowo do prasy i literatury. Wraz z postępującym (między 1870 a 1892 r) uprzemysłowieniem miasta wzmacnia się również upolitycznienie życia towarzyskiego burżuazji. Doskonalące się formy towarzyskie – jak to zauważył ówczesny publicysta „Rozwoju” Ludwik Przedborski – „stłumiają, zwalczają wady parweniuszowskie z obawy przed ogólnym szyderstwem i ośmieszeniem, łatwiej utrzymują w korbach posłuszeństwa”. Pojawia się także wysoki poziom samoorganizacji przedsiębiorców. Np. projekty założenia resursy kupieckiej datują się od 1855 r.; na liście członków założycieli nie było wówczas jeszcze Lodzermenscha Poznańskiego.

Jedno jest pewne – nowa tendencja organizacji społeczeństwa łódzkiego uwydatniła się najbardziej uderzająco nie w misjonarstwie resursy, a w zrzeszeniach handlowych świadczących określone użyteczności materialne dla zainteresowanych członków.

„Łódź, mimo iż nie stanowi ani kraju, ani państwa, ma swoją własną narodowość” – stwierdza Stefan Gorski – „są to z niemiecka zwani Lodzermensche”. „Pierwszą ich ojczyzną były Niemcy” pisze dalej Gorski – „dłuższe, od kilku pokoleń przebywanie w kraju naszym przeobraziło w końcu ich patriotyzm germański, lecz nie pociągnęło do narodowości polskiej. Są to ludzie przeważnie bez zasad politycznych – ojczyznę znaleźli na gruncie łódzkim, tu zdobyli byt i stanowiska, przywiązali się do miasta i dzisiaj są bardzo patriotycznymi Lodzermenschami”. Mit Lodzermenscha, łódzkiego burżua, narodził się w Łodzi popowstaniowej wśród dymów „czerwonych fabryk”, pożarów, kryzysów na giełdzie, „Gospodarczego korsarstwa i fortun”, pałaców parweniuszy

i ulicy Piotrkowskiej. Komponentami tego mitu były idole dawniejsze, przekazane zarówno przez tradycję emigrantów niemieckich, tkaczy i prządków, jak i przez tradycję ziemiaństwa i kupców.

Jakie jest źródło powstania perspektywy społeczeństwa Lodzermenschów? Sięgnijmy raz jeszcze do szkiców publicystycznych Gorskiego: „Gdyby zapytać o właściwą narodowość ogół mieszkańców Łodzi, jest rzeczą pewną, że znaczny procent nie umiałby powiedzieć, do jakiego społeczeństwa ma się zaliczyć. W życiu potocznym sami nazywają się Lodzermenschami i to najzupełniej wystarcza“. W innym miejscu: „mimo wszystko, w pośród wielu tych <ludzi łódzkich> daje się zauważyć zwrot ku dość szybkiej z nami symilacji, a dzieci Lodzermenschów, niekiedy otwarcie nazywają już siebie Polakami“. Interesująca asymilacja Niemców i Żydów wyniknęła zdaje się dopiero z przyczyn popularyzujących społeczność miejską na innych zasadach i zachodziła wśród obywateli proletariatu, oraz wyłaniającej się inteligencji łódzkiej, uprawiającej wolne zawody. W organizowanych ruchach socjalnych w Łodzi często przedstawiciele różnych narodowości stawali ramię przy ramieniu. Kręgi plebejskie, a ściśle proletariackie, jeśli nie stały na zawadzie czasem uporczywie podtrzymywane przez gminy wyznaniowe, bariery rasowe, językowe i stosunek do zaborcy, szybciej zlewały się z żywiołem miejscowym. W tym procesie indywidualnego awansu formowała się łódzka burżuazja i warstwa inteligencji o horyzontach przekraczających partykularne interesy macierzystych środowisk. Tak więc, pomimo odrębności wyznaniowej, rozumianej jako wspólne posiadanie zasad, prawd i języków, nadal rozwijała się wspólnota środowiska miejskiego. Polegała ona na wymianie nie tyle treści, co stylów działania, na nowej urbanizacji, gdzie religia, kultura i architektura są jedynie pomostami prowadzącymi do nowej ideologii tożsamości miasta natury łódzkiej; gdzie na równi ważne, jak kapitał, są środki jego skonstruowania i weryfikacji.

Moim zamiarem było zburzenie popularnego w XIX w. – i do dziś istniejącego stereotypu, że dziewiętnastowieczni mieszkańcy Łodzi (Lodzermensche) stali na bardzo niskim stopniu rozwoju intelektualnego i kulturalnego. Pogląd taki nie znajduje uzasadnienia w większości dobrze udokumentowanych badań historii rozwoju przemysłu tekstylnego oraz ilustrującej ten „boom fabryczny“ architektury miasta. Wydaje się, że „ludzie Łodzi“ (Lodzermensche) byli lepiej przygotowani do życia w grupach narodowościowych w niewoli caratu, „dzikiego“ kapitalizmu, aniżeli wielu ich dzisiejszych „krewniaków z Klubu Kapitału Łódzkiego“. Troszczyli się o chorych, słabszych, dzieci (kolonie letnie) i starszych (szpitale i cmentarze łódzkie), czuli się odpowiedzialni za członków gmin wyznaniowych (Poznański – gmina żydowska, Scheibler – społeczność niemiecka), wspierali się w kłopotach (założono Oddział Tow. Kredytowego w Zgierzu – I. K. Poznański). Urządzali wspólne rauty – zabawy w Helenowie. Pod tym względem byli Lodzermensche jako obywatele Łodzi w pełni dojrzały do promowania miasta.

Łódź w PRL była miastem przerwanej tradycji, nie dającej się już reanimować i wykozystać dla współczesności⁵ Nie wiadomo, ilu jeszcze żyje w tym mieście prawdziwych Lodzermenschów, którzy – niekoniernie wskutek osobistego doświadczenia, ale choćby na zasadzie rodzinnego przekazu – dziedziczą jakiś spadek moralny po dawnym mieście „trzech kultur”: polskiej, żydowskiej i niemieckiej. „Stereotypy i kategorie”, za pomocą których próbujemy przedstawić portret „Lodzermenscha” mają w Łodzi to do siebie, iż są wyjątkowo kłopotliwe.

Czy wszyscy urodzeni w mieście Łodzi będą w nowej Polsce nazywać siebie „Lodzermenschami”? Nazwa ta jest dzisiaj pusta.

Myślę, że niektóre stereotypy i ich klisze składają się na zbiorową świadomość Łodzi i mają złe konotacje w samych procedurach „odczytania tożsamości miasta”.

Antoni Szram

– historyk sztuki; inicjator i pierwszy dyrektor muzeów:

Historii Miasta Łodzi i Kinematografii.

Twórca służby konserwatorskiej w Łodzi.

1. por. literatura tematu[w:] A. Szram, Inicjatywy budowlane I. K. Poznańskiego jako wyraz mecenatu artystycznego łódzkiego przemysłowca, Łódź 1998.
2. por. CGIAL, fond 789, op. cit., s. 18, 36.
3. cyt. Za: I. Popławska, Architektura przemysłowa Łodzi w XIX w. „Studia i Materiały do Teorii i Historii Architektury i Urbanistyki”, T. XI, Warszawa 1973, s. 131-132.
4. I. Popławska, op. cit., s. 59, 68.
5. por. A. Majer, Odczytanie miasta [w:] „Kronika Miasta Łodzi” 1998, z. 1.

Od pomysłu do odsłonięcia

Pomnik Armii „Łódź”

Nadszedł długo oczekiwany dzień – w Parku Helenowskim, naprzeciw ulicy Sterlinga, w poniedziałek 10 listopada 2003 r. odsłonięto pomnik Armii „Łódź”. Mszę świętą połową odprawił ks. arcybiskup Władysław Ziółek. Stały przy pomniku w jednym szeregu poczty organizacji kombatanckich, instytucji mundurowych, organizacji młodzieżowych i szkół. Przemawiał prezes Stowarzyszenia Budowy Pomnika – Feliks Milan, pochylały się sztandary, zabrzmiała komenda wojskowa, rozległa się salwa honorowa, w niejednych oczach pojawiły się łzy. Pomnik został poświęcony i przekazany mieszkańcom miasta. Armia „Łódź”, doczekała się upamiętnienia, na które czekała od lat.

Prehistoria

Pomysłodawcą wzniesienia pomnika była w 1988 r. grupa działaczy Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, tzw. ZBOWiD-u, w większości dawnych żołnierzy września 1939 r. Ideę przejął PRON, czyli powołany w okresie stanu wojennego Patriotyczny Ruch Odrodzenia Narodowego. Później, pod tą osłoną, utworzony został Społeczny Komitet Budowy Pomnika Budowy Chwały Żołnierzy Armii „Łódź”. Jak przy wielu tego rodzaju przedsięwzięciach wszystko zaczęło od końca, czyli dyskusji, gdzie ma stanąć pomnik. Wskazywano park im. Adama Mickiewicza przy ul. Zgierskiej, osiedle Radogoszcz, centrum miasta przy skrzyżowaniu ulic Piotrkowskiej z aleją Mickiewicza, Bałucki Rynek, Plac Hallera. Na dyskusjach się kończyło, nie było bowiem projektu pomnika ani pieniędzy na jego wzniesienie. Postanowiono szukać funduszy bijąc medal, wydając okolicznościowy znaczek i uruchamiając sprzedaż tzw. „cegiełek”. Chociaż wszystkie zamierzenia udało się zrealizować to uzyskany efekt finansowy był mizerny. Ze względu na wysokie koszty zrezygnowano z ogłoszenia konkursu na projekt pomnika i zlecono jego wykonanie łódzkiemu artyście – plastykowi Kazimierzowi Karpińskiemu. Zaproponowana przez niego wersja uczczenia Armii „Łódź” wzbudziła mieszane uczucia – koń pochylony nad martwym ułanem, nie był w odczuciu wielu osób, obrazem bohaterstwa a symbolem klęski. Zapół członków Społecznego Komitetu Budowy Pomnika po dwu latach zupełnie się wypalił. Spośród 21 członków prezydium Komitetu kluczowe decyzje o dalszym prowadzeniu prac podejmowały w maju 1991 r. tylko cztery przybyłe na posiedzenie osoby – inż. Jerzy Jabłkiewicz – przewodniczący, inż. Jerzy Lorens – jego zastępca, Eugeniusz Duch – sekretarz, Edward Opalski – skarbnik.

pierwsze kolumny



Na wniosek Jerzego Lorensa postanowiono zawiesić działalność Komitetu – na dwa, trzy lata. Było to przyznanie się, że zadanie przerosło siły pomysłodawców. Armia „Łódź”, jako jedyna z armii Września 1939 r. nadal nie miała swojego pomnika i wiele zapowiadało, że sytuacja w najbliższych latach się nie zmieni.

Żołnierze i oficerowie Armii „Łódź” od pierwszego dnia agresji hitlerowskiej bohaterstwo walczyli z atakami armii niemieckiej. Do legendy przeszedł bój pod Mokrą, walki odwrotowe, udział w obronie Modlina i Warszawy. Dowódca Armii „Łódź” gen. Juliusz Rómmel napisał w rozkazie pożegnalnym do 28 Dywizji Piechoty: „Obecnie, kiedy zabrakło nam amunicji i żywności, musimy przerwać walkę, lecz wojna z Niemcami trwa nadal i przyjdą czasy, kiedy żołnierz polski weźmie udział w zwycięstwie nad Niemcami”.

Nowy rozdział, stare kłopoty

Okazało się jednak, że pesymistyczne przewidywania się nie sprawdziły. O pomnik zaczęli dopytywać kombataneci nie tylko z Łodzi, ale różnych stron kraju. Podjętymi działaniami interesował się wojewoda łódzki Waldemar Bohdanowicz. Uśpiony Komitet Budowy Pomnika zmuszony został do odpowiedzi na napływające listy i zapytania. Z odpowiedzi jaką Lucjan Sikorski ze Zgierza otrzymał 27 grudnia 1993 r. wynikało że pomnik, zgodnie ze wcześniejszymi ustaleniami, ma być monumentalny, miastotwórczy, dobrze widoczny a przyległy teren powinien umożliwiać organizację patriotycznych manifestacji. Przez następne dwa lata nic nie przybliżyło realizacji tego rodzaju założeń. Dokonała się jednak znacząca zmiana organizacyjna – Sąd Wojewódzki w Łodzi, w osobie sędziego Ryszarda Rotkiewicza, zarejestrował w dniu 8 marca 1995 r., Wojewódzkie Stowarzyszenie Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź. Z wnioskiem w tej

sprawie wystąpili Jerzy Jabłkiewicz, Jerzy Lorens i Henryk Siemiński – dyrektor Muzeum Tradycji Niepodległościowych przy ul. Gdańskiej 13. W tym to gmachu znalazło siedzibę świeżo zarejestrowane stowarzyszenie. W trzy miesiące później – 29 czerwca 1995 r. udzielono absolutorium zarządowi Społecznego Komitetu Budowy Pomnika i po jego rozwiązaniu powołano, zgodnie z dokonaną wcześniej rejestracją, Wojewódzkie Stowarzyszenie Budowy Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź. Na jego prezesa powołano Feliksa Milana – przewodniczącego Związku Sybiraków w Łodzi. Ustępujący zarząd zostawił go przed trudnymi do rozwiązania zadaniami, których wcześniej nie potrafił dokończyć. Projekt pomnika, mimo że jego autor uwzględniając zgłoszone uwagi, dokonał kilku modyfikacji, spotykał się z coraz szerszą i ostrzejszą krytyką. Kasa Stowarzyszenia pozostawała pusta. Odsunęli się od działań inicjatorzy wzniesienia pomnika, nowi członkowie zarządu potrzebowali czasu na zgłoszenie propozycji, które nadałyby stowarzyszeniu nowe impulsy do działania. Prezes Milan tak naprawdę mógł liczyć przede wszystkim na pomoc kilku członków zarządu – głównie skarbnika Władysława Tomaszewicza. Prezes nie dawał za wygraną – odwiedzał urzędy, organizacje, firmy, informował co robi się dla wzniesienia pomnika, prosił o pomoc. Wysłuchiwano go grzecznie, odpisywano chwając inicjatywę, ale nic z tego praktycznie nie wynikało. Zanosilo się na powtórzenie scenariusza sprzed czterech lat. Lata upływały, wzniesienie pomnika pozostawało pobożnym życzeniem w realizację którego, poza prezesem, mało kto wierzył.

Jednostki Armii „Łódź” w kampanii wrześniowej 1939 r. toczyły walki na obszarze między innymi następujących miast i wsi: Mokra, Praszka, Załęcze, Bolesławiec, Kepno, Ostrzeszów, Wieruszów, Aleksandrów Łódzki, Głowno, Kębliny, Konstantynów Łódzki, Łódź, Pabianice, Stryków, Zgierz, Bełchatów, Borowa Góra, Dłutów, Kamieńsk, Piotrków Tryb., Rozprza, Szczerców, Tuszyn, Wadlew, Wola Krzystoporska, Żelów, Żeromin, Błaszki, Działoszyn, Konopnica, Lutomiersk, Rossoszyca, Sieradz, Szadek, Warta, Widawa, Wieluń, Złoczew, Brzeziny, Jeżów, Krosnowa, Maków, Mszczonów, Puszcza Mariańska, Żyrardów, Błonie, Grodzisk Mazowiecki, Ożarów, Pruszków, Warszawa, Zaborów.

Nowe pomysły i decyzje

W 2000 r. Stowarzyszenie rozpoczęło nową ofensywę. Najpierw zwróciło się o poparcie budowy pomnika do wojewody, prezydenta miasta, marszałka województwa. Nikt nie odmawiał. Wojewoda Michał Kasiński przyjął honorowe członkostwo w Komitecie Budowy Pomnika i spotkał się z przedstawicielami Prezydium Stowarzyszenia. Przełom nastąpił za sprawą Wojewódzkiego Sztabu Wojskowego i osobiście generała brygady Macieja Żyteckiego. 30 marca 2000 r. w Wojewódzkim Sztabie Wojskowym odbyło się zebranie Stowarzyszenia na którym zapadły dwie decyzje, które otworzyły drogę pomnikowi. Zrezygnowano z projektu pomnika autorstwa Kazimierza Karpińskiego

i postanowiono zwołać zebranie sprawozdawczo – wyborcze, które miało rozstrzygnąć o dalszych losach Stowarzyszenia. W dniu 6 czerwca 2000 r. przyszło na nie tylko 26 osób. Mimo braku quorum, zebranie zwołane w drugim terminie, było ważne. Dokonano na nim wyboru nowego Zarządu. Godzi się wymienić jego skład – Feliks Milan – prezes, Marian Papis – wiceprezes, Antoni Dziekański – sekretarz, Władysław Tomaszewicz – skarbnik oraz członkowie: Barbara Abramowicz, Czesław Klimecki, Marian Kowalik, Łukasz Lepa, Lucjan Sadowski. Przewodniczącym Komisji Rewizyjnej został Jan Głąbski, członkami: Stefan Frenkel i Edward Jabłonka. Z czasem coraz czynniejszą rolę w Zarządzie przypadać zaczęła jako łącznikowi z Muzeum Tradycji Niepodległościowych, kustoszowi tego muzeum – Konradowi Czernielewskiemu. Po nim tę ważną funkcję, połączoną z sekretarstwem zarządowi, przejął inny pracownik tego samego muzeum – kustosz Grzegorz Wróbel.

Konkurs

W grudniu 2000 r. Stowarzyszenie Budowy Pomnika przy współpracy Akademii Sztuk Pięknych im. Władysława Strzemińskiego ogłosiło konkurs architektoniczny – rzeźbiarski na „Pomnik Chwały Żołnierzy Armii Łódź”. Zrezygnowano z monumentalizmu, w założeniach zaznaczono, że pomnik ma mieć prostą oprawę plastyczną i niewielkie rozmiary: do 5 m wysokości, podstawa miała się zamykać w 5 m długości i 3 m szerokości. Usytuowanie pomnika było ściśle określone od 1989 r.: Park Helenowski, przy ulicy Północnej, na wysokości ulicy Sterlinga w miejscu, gdzie wcześniej wmurowany był kamień węgielny pod pomnik. Konkurs zaadresowany został do ściśle określonej grupy: studentów ASP im. Wł. Strzemińskiego w Łodzi. Zakładano, że warunkiem rozstrzygnięcia konkursu będzie zgłoszenie najmniej 12 projektów z tym, że każdy uczestnik konkursu miał prawo przedłożyć dowolną ilość prac. Nagrody, ufundowane przez Zarząd Województwa Łódzkiego, dla zdobywcy pierwszej nagrody, dwu nagród drugich, jednej nagrody trzeciej i dwu wyróżnień wynosiły 10.000 zł.

Na konkurs, rozstrzygnięty 19 czerwca 2001 r., przekazano tylko 7 prac zgłoszonych przez 5 studentów. Nie przyznało żadnej nagrody a jedynie dwa wyróżnienia po 500 zł. Otrzymały je Agnieszka Gawlak, która zaprojektowała obelisk z żywicy epoksydowej zwieńczony trzema orłami z koronami oraz Małgorzata Makarewicz, za projekt granitowego pomnika przedstawiającego stylizowaną grupę czterech żołnierzy. Jury pod przewodnictwem prof. Włodzimierza Ciesielskiego stwierdziło, że konkurs nie spełnił pokładanych w nim nadziei i zgodnie z regulaminem należy go powtórzyć a do udziału w nim zaprosić również studentów innych uczelni artystycznych. Wicemarszałek Województwa Łódzkiego – Marian Łabędzki uznał natomiast, że realizacji pomnika nie należy odkładać. – Krytykowaliśmy poprzedni projekt, więc teraz weźmy odpowiedzialność za nowy – powiedział redaktorze lokalnej gazety. Trzy dni później Zarząd Stowarzyszenia Armii Łódź jednogłośnie przyjął projekt Agnieszki Gawlak.

Szczęśliwy finał

Lokalizacja pomnika nie budziła dyskusji. W Akademii Sztuk Pięknych w pracowni prof. Jana Grodka na początku 2002 powstał gipsowy model rzeźby w skali 1: 3. Na jego podstawie można było rozpocząć prace w kamieniołomach i realizację pomnika. Trzeba było tylko zdobyć potrzebne fundusze a tych na koncie Stowarzyszenia nie było. Stowarzyszenie skierowało list do władz miasta i województwa. 15 kwietnia 2002 r. Rada Miejska podjęła uchwałę następującej treści:... „W celu upamiętnienia żołnierzy Wojska Polskiego, którzy walczyli w ramach Armii „Łódź“ w obronie Ojczyzny, wyraża się zgodę na wzniesienie w Łodzi Pomnika Chwały Żołnierzy Armii Łódź, według projektu Agnieszki Gawlak. Wzór projektu pomnika określa załącznik do uchwały”. W budżecie Wydziału Kultury i Ochrony Zabytków znalazło się około 100.000 zł na wzniesienie pomnika. Dysponentem pieniędzy, odpowiedzialnym za właściwe ich wydatkowanie, stał



się Wojciech Szygendowski – Miejski Konserwator Zabytków. Urząd Marszałkowski w Łodzi przekazał na budowę pomnika 30.000 zł. Prośba o finansowe wsparcie budowy pomnika powędrowała do Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa na ręce sekretarza Andrzeja Przewołnika. Uchwała Rady Miejskiej i przyznane przez nią środki stanowiły silny argument przemawiający za wsparciem łódzkiego wniosku. Warszawa dała na wzniesienie pomnika kwotę 30.000 zł. Na dotacjach nie poprzestano. Na prośbę Stowarzyszenia kanclerz Kurii Archidiecezjalnej ksiądz dr Andrzej Dąbrowski skierował 31 maja 2002 r. list do księży proboszczów o udzielenie pomocy w zorganizowaniu

zbiórki pieniężnej na cele budowy pomnika. Szukano pieniędzy w różnych miejscach i znajdowano je. Zebrano, jak na realizację pomnika nie tak wiele, ale wystarczająco dużo, aby zamierzenie rozpoczęte w 1989 r. stało się rzeczywistością.

I ten pomnik, podobnie jak projekt poprzedniego pomnika, budzić będzie różne reakcje i wywoływać często odmienne opinie. Oto jedna ze zgłoszonych telefonicznie i zaprezentowanych 5 marca 2002 r. przez lokalną gazetę: „Projekt pomnika Armii Łódź jest absurdalny. Pomnik powinien być zrozumiały dla wszystkich, a projektantka wyprodukowała jakąś dziwną wizję.“

Dzień wcześniej na łamach tej samej gazety można było przeczytać: „(...) Chodziło o to, by wyeliminować problemy jakie towarzyszą realistycznym projektom. Dlatego wybrano projekt abstrakcyjny, pomnik jako symbol“.

Chciałam, żeby pomnik formował się z czegoś nieokreślonego, jak Polska po wojnie. Trzy orły symbolizują wolność – powiedziała autorka projektu, Agnieszka Gawlak.

Andrzej Wilczkowski, którego zdanie niezwykle cenię, autor kilku książek, w tym o Wrześniu 1939 r., powiedział mi: Nie warto dzielić włosa na cztery. Ten pomnik jest Łodzi potrzebny. Gdyby nie było Feliksa Milana a realizację pomnika przesunięto na stępne lata, nigdy by w Łodzi nie stanął. Najważniejsze – że jest.

Mieczysław Gumola

To było 22 lata temu ...

*13 grudnia 1981 roku
ogłoszono stan wojenny.*

Stan wojenny oprócz szoku wywołanego tym aktem skierowanym wprost przeciwko niepodległościowym aspiracjom narodu – wśród wielu form oporu, zrodził także poezję śpiewaną. Anonimowe wiersze – pieśni stanu wojennego, przepisywane ręcznie, lub drukowane w małych, zszywanych kącikach krążyły po Polsce. Dodawały otuchy, bawiły, wyszydzały.

DZIWNY STAN

Dziwny stan - jakby ktoś zabił ptaka,
A ty w uszach masz ciągle jego śpiew,
Oczy pieką, lecz nie będziesz płakał,
„Bo od śmierci silniejszy jest gniew”.

To już rok? Cały długi rok krótki!
Kiedyś wreszcie wniósł kark, ruszył w tan,
Świat wirował pijany - bez wódki,
Skąd więc dzisiaj ten kac - dziwny stan.

Wyjąc przemknął radiowóz na Wilczą,
Znów za ścianą ktoś Chopina gra,
Nie odzywa się nikt, wszyscy milczą,
Żona, dzieci, telefon i ja.

W kuchni ogień już zgasł, cieknie kran,
Patrzę w ekran milczący i senny,
Ale nie chcę iść spać - dziwny stan,
Spiker mówi, że to stan wojenny.

(niedziela , 13 XII 1981, wieczorem)

PYTANIA DZIECKA

Powiedz mammo, co to jest Polska?
Powiedz mammo, jak ona się śni?
Drogi synku, to jest taka ziemia,
W której często płyną krew i łzy.

Powiedz mammo, co to jest honor?
Powiedz mammo, co to jest ojczyzna?
Jest to ciało, a na tym ciele,
Jedna wielka rozszarpana blizna.

Powiedz mammo, co to jest wolność?
Powiedz mammo, co to jest prawda?
Mój maleńki, to jest ręką czarownic,
Ugaszona najjaśniejsza gwiazda.

Powiedz mammo, co to są układy?
Powiedz mammo, co to są sojusze?
To są synku takie kajdany,
Co pętają nam serca i dusze.

Powiedz mammo, co to jest *Solidarność*?
Powiedz mammo, co to jest wiosna?
To mój mały, choć teraz jest zima,
O tej wiosnie zapomnieć nie można!

PIEŚŃ INTERNOWANYCH KOBIEC

Trzynastego grudnia roku pamiętnego,
Podjechała „suka” do domu mojego.
A kiedy stanęła przed moim domem,
To drzwi wyważyli swym potężnym łomem.

Nie uchroni kobiet nawet stan brzemienny,
„Wstawaj, do cholery, mamy stan wojenny.
Zostaw męża, dziatki ” – tak krzyczeli w złości,
„Dość tych wolnych związków, dość *Solidarności*.

Dość już KPN-u, całej opozycji,
Od dzisiaj będziecie w naszej dyspozycji ”.
Używali czołgów i sprzętu ciężkiego,
Ażeby przestraszyć ducha związkowego.

W okularach jaszczur rzucił siły zbrojne,
I *Solidarności* wypowiedział wojnę.
Ale społeczeństwo wcale się nie boi,
Przy *Solidarności* całym sercem stoi.

PIOSENKA KOLPORTERA BIBUŁY

Słowa prawdy na wagę złota,
Myśl prawdziwa na wagę pamięci,
Gdy kolporter wyrusza z bibułą,
Trzymaj kciuki, niech mu się poszczęści.

Na wolność to wkrótce wymienisz.
Przeczytaj. Przepisz. Nie niszczy.

Z dużą torbą wyrusza na miasto,
Gdzieś za sobą zostawił drukarnię,
Nie oglądaj się, nie spiesz, patrz patrol,
Jeśli skrewisz, drukarnia też wpadnie.

Na wolność to wkrótce wymienisz.
Przeczytaj. Przepisz. Nie niszczy.

Kiedy idzie z bibułą na punkt,
Jak bombowiec, odwrotu już nie ma,
Co za ulga, otwiera ktoś drzwi,
Hasło-odzew, bibułę odbiera.

Na wolność to wkrótce wymienisz.
Przeczytaj. Przepisz. Nie niszczy.

SB szcześnie i ZOMO zaginie,
Generałów przegonią do koszar,
Do historii zaś przejdzie na zawsze,
Bibuła i wojenny kolportaż.

Na wolność to wkrótce wymienisz.
Przeczytaj. Przepisz. Nie niszczy.

Wiersze ukazały się poza zasięgiem cenzury, nakładem „Solidarności Walczącej” i „Naszego Głosu” w broszurce zatytułowanej „Anonimowa poezja stanu wojennego.” Łódź, maj 1982.

nauka

Indywidualność artystyczna - siła autentyzmu

Wpływ osobowości i systemu pedagogicznego

prof. Władysława Strzemińskiego na podstawy twórcze jego uczniów

Krystyna Krygier

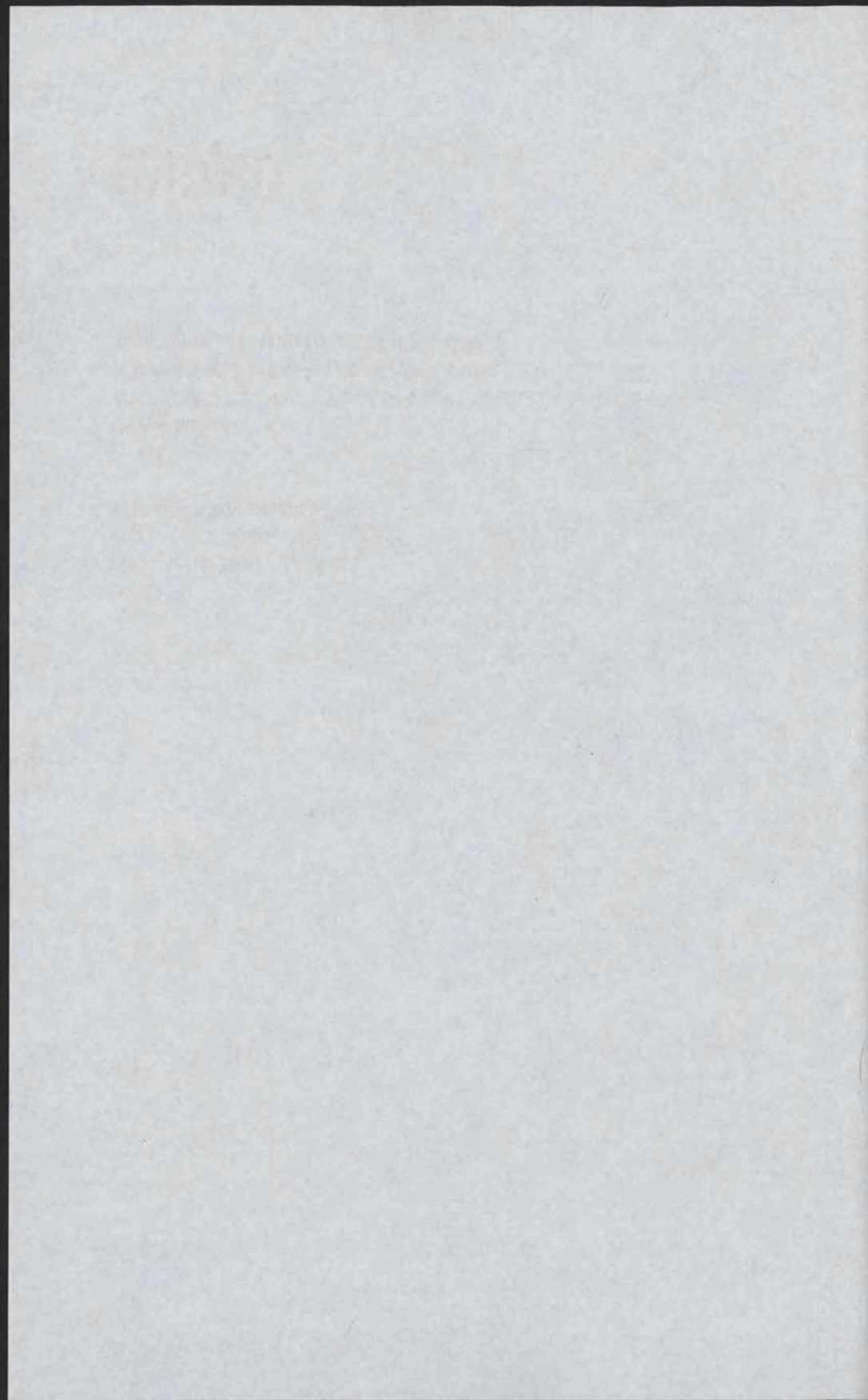
str. 43

Pamiętajmy o ogrodach

Ogród Botaniczny w Łodzi

Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 53



Indywidualność artystyczna – siła autentyzmu

*Wpływ osobowości i systemu
pedagogicznego
prof. Władysława Strzemińskiego
na postawy twórcze jego uczniów*

nauka



Początki uczelni

Z prof. Władysławem Strzemińskim zetknęłam się w 1946 r. na Wydziale Plastyki Przestrzennej w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych.

Byłam drugim rocznikiem, bo początek uczelni to rok 1945. Studenci tego czasu byli ludźmi w różnym wieku i z różnych środowisk, z bardzo zróżnicowanym bagażem wiedzy i z różnymi umiejętnościami w zakresie rysunku i malarstwa. Część z nich uprawiała „sztukę” od dość dawna. Był to raczej rodzaj sztuki amatorskiej, często z trwałymi nawykami wątpliwej estetyki, techniki i oceny działań plastycznych. Stanowiło to dodatkową trudność w relacji profesor – student. Ta różnorodność tworzyła specyficzną atmosferę w uczelni – dodatkowo

wzbożoną obecnością wielu pięknych studentek. Adres Narutowicza 77 – siedziba PWSSP / na ostatniej kondygnacji mieściła się stomatologia / znany był wówczas w mieście dużo bardziej niż organizujące się równolegle różne wydziały Uniwersytetu Łódzkiego.

Strzeмиński – pedagog w PWSSP – lata 1945 – 49.

Władysław Strzeмиński zaangażowany na uczelnię w 1945 roku tworzył koncepcję Wydziału Plastyki Przestrzennej i szczegółowego programu studiów.¹ Wprowadził do programu elementy zastosowane w niemieckim Bauhausie, powoływał się też często na działalność architektoniczną i urbanistyczną Le Corbusiera. Do szczegółowego programu wydziału należała historia sztuki, kompozycja, planowanie przestrzenne i grafika użytkowa.

Z czasem dołączone zostały również przedmioty z zakresu architektury, filozofii, matematyki itp. Studia w ówczesnej PWSSP, mimo skromnego lokalu były niesłychanie atrakcyjne. Od początku osobowość Strzeмиńskiego okazała się dla nas – studentów pierwszoplanowa.

Strzeмиński nie prowadził pracowni malarstwa. Mimo to uderzało, że wszyscy studiujący przychodzili do niego po ocenę swych prac rysunkowych i malarzkich. Uwagi profesora były zwięzłe, często złośliwe, ale zawsze rzeczowe i pełne troski o artystyczne losy studenta. Będzie jeszcze o tym mowa niejednokrotnie, bo właśnie przy tych ocenach kształtowały się indywidualności artystyczne. Profesor przez cały dzień przyjmował do korekty prace studentów z całej uczelni. Można powiedzieć, że ten wydział i osoba Strzeмиńskiego stanowiły wówczas centrum PWSSP. Tu, w ogniu nieskończonych dyskusji kształtowały się indywidualności artystyczne, oraz formował się i rozwijał program Wydziału Plastyki Przestrzennej.

Formowanie świadomości wzrokowej studentów.

Najważniejszymi przedmiotami kształtującymi charakter wydziału były kompozycja i planowanie przestrzenne. Kompozycja obejmowała zadania na płaszczyźnie i w przestrzeni trójwymiarowej. Ćwiczenia z kompozycji miały na celu uwrażliwienie studentów na wszystkie zjawiska towarzyszące sztuce; odczytywanie jak największej gamy koloru, waleru i temperatury barwy, a także wydobywanie kontrastu. W 1946 roku Strzeмиński w ramach kompozycji przeprowadził ćwiczenie dla poszerzenia świadomości wzrokowej studentów. Na tle okna mocno oświetlonego słońcem umieścił sylwetę profilu twarzy, wyciętą z czarnego papieru. Zadaniem studentów była wnikliwa obserwacja wyciętej sylwety. Profesor polecił zwrócić szczególną uwagę na obserwację kolorów lokalnych i powstające powidoki, nawarstwianie się kształtów i barw powidokowych wokół sylwety. Ćwiczenie to przeznaczone było dla drugiego roku studiów, ale każdy kto był zainteresowany mógł brać w nim udział. Służyło ono analizie świadomości wzrokowej i poparte było przygotowaniem teoretycznym wykładów Strzeмиńskiego z historii



nauka

sztuki. Głębsze rozważania związane z istotą tego ćwiczenia, odbywały się już tylko z niektórymi studentami w prywatnym mieszkaniu profesora. Ich śladem jest powstały w 1946 roku obraz studenta Stefana Krygiera pt. „Okno”, będący mocno zindywidualizowaną ilustracją rozwiązywanych wówczas problemów koloru, formy i kompozycji.²

Program świadomości wzrokowej został przez Strzemińskiego rozwinięty w „Teorii widzenia”. W praktyce rozwinięcie teorii następowało poprzez formowanie na wydziale programu malarstwa. Jak już wspomniałam Strzemińskiemu nie dano prowadzić pracowni malarskiej. Przedmiot ten prowadzili m. in. Stefan Wegner, Roman Modzelewski, Adam Rychtarski i Tadeusz Byrski, ale zasady pedagogiczne dla nauczania malarstwa formowały się głównie w oparciu o historię sztuki wykładaną przez Strzemińskiego. Jego przekonanie, że dojście do osiągnięć artystycznych prowadzi – poza talentem – przez wiedzę i umiejętności techniczne przekazane przez artystów tworzących historię sztuki – prowokowało właśnie taki system nauczania malarstwa.

Historia sztuki – Teoria widzenia

Historię sztuki Strzemiński prowadził w sposób specyficzny, nie praktykowany na uniwersytecie, gdzie kilkoro z nas studiowało równolegle m. in. u profesora Mieczysława Wallisa. Były więc możliwości porównania i oceny tych wykładów.

Wykłady w PWSSP wyglądały następująco: Strzemiński (stojąc na jednej nodze) rysował kredą na tablicy fragmenty dzieł, przeprowadzał ich analizę podkreślając grubszą linią konstrukcję obrazu charakterystyczną dla danego stylu.

Objaśniał dzieło w aspekcie historycznym, wielką wagę przywiązywał do tak zwanej „architektoniki dzieła”. Zwracał uwagę na występowanie tych samych elementów konstrukcyjnych w obrazie, rzeźbie i architekturze.

Pamięć o „architektonice” w sztuce dyscyplinowała studentów – późniejszych twórców i pedagogów. Padały liczne pytania ze strony studentów, wywiązywała się dyskusja.

W trakcie tych rozmów padały często krytyczne uwagi dotyczące uznanych artystów. Dzieła prezentowane podczas wykładu i analizowane przez Strzemińskiego były przez niego akceptowane. Ale np. kolorysty czy Witkacy nie znajdowali już uznania. Studenci zobowiązani byli do opracowywania referatów i wygłaszania ich na wykładach. Bardziej interesujące opracowania dyskutowano w uczelni, niekiedy stawały się one przedmiotem dyskusji z profesorem w jego mieszkaniu przy ulicy Kołłątaja. Tak rodziły się artykuły profesora i studentów. Np. esej „Widzenie gotyku”, opublikowany w „Przeglądzie Artystycznym” w 1948 roku – był wspólnego autorstwa Strzemińskiego i Krygiera.

Rysunki opracowane przez Krygiera do tematów „Egipt” i „Gotyck” zostały wykorzystane w „Teorii widzenia”. W publikacji tej Strzemiński wykorzystał również rysunki innych studentów – Lecha Kunki i Krystyny Burzanki. Przykłady rysunków z okresu paleolitu zgromadziła Lena Kowalewicz, a do rysunków dziecka wykorzystał Strzemiński rysunek wykonany w dzieciństwie przez jego córkę Nikę.

Być może i inni studenci brali udział w wykonywaniu rysunków i analiz do „Teorii widzenia”, np. Jerzy Mackiewicz, Bolesław Utkin czy Konrad Świnarski, ale tego nie jestem w stanie stwierdzić z całą pewnością. Większość opracowań i analiz do tej książki robił Strzemiński sam.³



Jest rzeczą charakterystyczną, że Strzemiński w ogóle nie prezentował na wykładach swego malarstwa. Dyskusje dotyczące historii sztuki opierały się na dziełach artystów już znanych i utrwalonych w historii sztuki. Swoje prace pokazywał nam tylko w swoim domu. Oczywiście był ciekaw oceny. Trzeba przyjąć, że wszystko co przekazał Strzemiński na wykładach znalazło się potem w „Teorii widzenia”.

Kontakty profesora Władysława Strzemińskiego ze studentami w uczelni i poza nią

Strzemiński opuszczając przymusowo uczelnię na przełomie 1949/50 nie doczekał się swych absolwentów, ani dyplomantów.⁴ Wielu z jego studentów wyszło z uczelni z dużym bagażem wiedzy o sztuce zawdzięczając to tylko jemu. Niektórzy zrobili też wybitne kariery artystyczne. Muszę więc wspomnieć kilku z nich.

Stanisław Fijałkowski

Na kilku spotkaniach w pracowni Strzemińskiego Stanisław Fijałkowski prezentował rysunki z kubizmu analitycznego. Pokaz ten wzbudził nasze duże zainteresowanie i silną emocjonalną reakcję. Strzemiński obserwował twarze obecnych, badał jakby stopień naszych reakcji. Fijałkowskiego znałam już z internatu szkół artystycznych, w którym mieszkaliśmy. Prezentowana praca mnie nie zaskoczyła, bo wiedziałam, że zgodnie z programem uczelni w malarstwie i rysunku przechodzi on szybko kolejne etapy analizy historii sztuki. Prawdopodobnie u niego cykl kształcenia przebiegał w tempie przyspieszonym. W naszym gronie Fijałkowski uchodził za intelektualistę, mówiącego realiami, działającego efektywnie i efektownie, sprawnego analityka rzeczywistości, stroniącego od sentymentów, choć uczuciowego i koleżeńskiego. Miara czasu była dla niego również miarą wartości. Uwagi Strzemińskiego na jego temat potwierdzały naszą ocenę. Fijałkowski w 1951 r. ukończył uczelnię robiąc dyplom z grafiki u prof. Tyrowicza. Został pedagogiem jeszcze w czasie studiów. Potem pracował w PWSSP aż do emerytury profesorskiej. Wychował liczną grupę artystów. Sam przez ponad 50 lat jest niesłychanie czynny w sztuce. Uprawia od kilkudziesięciu lat grafikę i malarstwo. Brał udział we wszystkich znaczących wystawach zbiorowych, miał również wiele wystaw indywidualnych.

Dziś jako artysta dobrze znany za granicą, i ceniony przez krytyków zrobił chyba najbardziej spektakularną karierę artystyczną z grona jego rówieśników, którzy studiowali u Strzemińskiego w tym samym czasie.⁵

Stefan Krygier

Pierwsze zetknięcie Strzemińskiego i Krygiera miało miejsce jeszcze podczas okupacji. Jadąc do pracy lub z pracy, Krygier spotykał czasami w tramwaju mężczyznę stojącego na tylnym pomoście. Mężczyzna ten – bez ręki i nogi – posługujący się kulami



– wzbudzał jego zainteresowanie, nie tylko ze względu na stopień kalectwa, ale przede wszystkim uderzającym wyrazem pięknej twarzy. W trakcie któregoś z kolejnych spotkań, kiedy Krygier trzymał pod pachą kilka książek o sztuce, wywiązała się między nimi rozmowa – jedna z kilku jakie wówczas przeprowadzili. Po wojnie okazało się, że znajomym z tramwaju był profesor Władysław Strzemiński.

Tak się złożyło, że student Krygier został dość szybko zauwa-

żony przez profesora, nie tyle przez pamięć spotkań w tramwaju, co z powodu zapachu młodego człowieka do studiów i jego zachwyty nad sztuką Egiptu i gotyku. Stało się to nicą wiążącą mistrza i ucznia.

Oprócz malarstwa Krygier uczęszczał też na rzeźbę w pracowni prowadzonej przez Elwirę i Jerzego Mazurczyków. Nie byli oni zwolennikami sztuki nowoczesnej, więc wszelkie odstępstwa od naturalizmu (zwanego elegancko realizmem) tępil dość stanowczo. I tak oto student, który pozwolił sobie na interpretację rzeźbiarską modelu w sposób zbliżony do formizmu nie znalazł zrozumienia u wykładowców. Strzemiński poradził wówczas Krygierowi, aby pojechał ze zdjęciem rzeźby do Xawerego Dunikowskiego z krakowskiej ASP z prośbą o ocenę. Wizyta ta okazała się ekscytująca, bo prof. Dunikowski wystawił pracy bardzo pozytywną ocenę. Tym samym konflikt z prowadzącymi pracownię rzeźby został utrwalony i pogłębiony.

Z czasem poglądy artystyczne Krygiera stawały się coraz bardziej niezależne. I tak na przełomie lat 1946/7 założył on Klub Plastyków i Naukowców z siedzibą w budynku polskiej YMCA w Łodzi, przy ul Moniuszki. Do klubu należeli koledzy ze studiów m. in. Lech Kunka, Lena Kowalewicz, Krystyna Burzanka, Bohdan Mościcki, Krystyna Ney, Roman Orłow, Hanna Orzechowska, Judyta Sobel, Mieczysław Szadkowski, Antoni Starczewski, Halina Zaniewska. Po pewnym czasie udało się zorganizować wystawę pt: „Od Baroku do Kubizmu“, a później pt: „Malarstwo impresjonistyczne“. Na tle tej działalności powstał w uczelni konflikt między grupą należącą do Koła, a pozostałymi studentami. Tych ostatnich poparli pedagodzy o poglądach lewicowych i tak zwany czynnik społeczny. Krygierowi jako organizatorowi klubu groziło wyrzucenie z uczelni. Strzemiński – jako zdecydowany zwolennik poglądów niezależnych – zdołał go przed tym obronić.

Usunięcie Strzezińskiego, połączone z likwidacją w roku 1949 Wydziału Plastyki Przestrzennej, uniemożliwiło absolwentom ukończenie uczelni. Wydział Architektury Politechniki Warszawskiej wyraził zgodę na dyplomowanie kilkuosobowej grupy studentów ze zlikwidowanego wydziału.

Konsekwencją otrzymania takiego dyplomu był przydział pracy do biur projektowych, a co za tym idzie ośmio godzinny dzień pracy. Mniejszą szkodą była eliminacja z wystaw (dyplomanci zostali architektami – nie plastykami), gdyż oficjalną sztuką był wtedy socrealizm i artyści zrzeszeni w ZPAP zmuszeni byli podporządkować swoją twórczość panującemu oficjalnie stylowi.

W roku 1957 rektor PWSSP Roman Modzelewski, zatrudnił Stefana Krygiera w uczelni. Nauczony przez swego mistrza poszukiwań Krygier organizował kolejno i prowadził kostiumografię, grafikę żurnalową, rozwijał przedmiot form przestrzennych, projektowanie graficzne, grafikę użytkową, propedeutykę architektury i informację wizualną. W latach następnych prowadził pracownię opakowań.⁶

Potem tworzone i organizowane przez Krygiera przedmioty przejmowali inni pedagodzy. Sam do końca życia w 1997 r. prowadził tzw. „wybrane zagadnienia plastyczne“, teorię wzornictwa i wreszcie historię sztuki i analizę form na Wydziale Form Przestrzennych PWSSP i Wydziale Architektury Politechniki Łódzkiej.⁷

Stefan Krygier swoją działalność wystawienniczą po studiach zaczął bardzo późno, dopiero po ustaniu konfliktu z łódzkim środowiskiem plastycznym.⁸ Po przyjęciu do ZPAP, w roku 1962, mógł już zacząć wystawiać swe prace, ale nigdy szczególnie nie zabiegał o wystawy.⁹

Dopiero po jego śmierci - w 1997 roku - w ciągu niecałych 5-ciu lat, rodzina z pomocą przyjaciół urządziła pięć dużych wystaw indywidualnych: w Muzeum Historii Miasta Łodzi, w Muzeum im. Dunikowskiego w Warszawie, w Muzeum Architektury we Wrocławiu, w Muzeum Narodowym w Szczecinie i podczas festiwalu EURO-PALIA 2001 w galerii Fundacji Verannemana w Belgii.

Lech Kunka

Kunka był studentem wydziału włókienniczego, zaś na wykłady z historii sztuki i kompozycji przychodził do Strzezińskiego. Tu, tak jak większość studentów prezentował swoje obrazy. Do uczelni przyszedł już z pewnym doświadczeniem plastycznym, więc jego prace prezentowały się bardzo efektownie. Rysunki aktów mocno podkreślały bryłę postaci ludzkiej, Świątłocię otrzymywany uderzeniem węgla jeszcze bardziej efekt ten uwypuklał. Piękne, martwe natury i pejzaże malowane na plenerach budziły nasz zachwyty. Mam tylko dwa zdjęcia tych obrazów Kunki, bo oryginały się nie zachowały.

W 1948 roku Kunka otrzymał stypendium twórcze i został zaproszony do Francji, do pracowni Legera. Po rocznym pobycie w Paryżu wrócił do Łodzi i ukończył studia na wydziale włókienniczym, uzyskując dyplom w 1951 roku.



Jego sztuka po powrocie nosiła przez pewien czas cechy mistrza /Legera/, oczywiście w zakresie formy. Szybko jednak wypracował swój nowy styl. Kunka uprawiał różne dyscypliny. Współpracował z filmem (był m. in. autorem aranżacji przestrzeni do filmu „Milcząca gwiazda”). Za radą Konrada Swinarskiego, w latach 1953-56 był razem z Krygierem doradcą i uczestnikiem katowickiej grupy St-53. Obaj jako, uczniowie Strzemińskiego, stanowili łącznik (w zakresie formy) między młodymi artystami z Katowic a twórczością Strzemińskiego.¹⁰ W latach 60-70 – tych Kunka uprawiał różne formy abstrakcji. Ceniony niesłuchanie pedagog łódzkiej uczelni, prowadził również pracownię malarską. Piastując wiele funkcji w zarządzaniu uczelnią doszedł aż do stanowiska prorektora.

Wiele prac Kunki zakupił dyrektor Ryszard Stanisławski do zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi. Jego prace znajdują się również w wielu muzeach krajowych i zagranicznych. Śmierć w 1978 roku przerwała bardzo twórcze życie tego artysty.

Antoni Starczewski

Pewnego razu przyszedł na spotkanie studentów ze Strzeмиńskim student Antoni Starczewski i przyniósł nieduży obraz. Motywem olejnej pracy był fragment ogrodu – podwórka kamienicy, w której mieszkał. Znałam ten ogród – po prostu banał i prymityw. Ale sposób w jaki ten nijaki obiekt został namalowany przez Starczewskiego po prostu nas powalił. Strzeмиński popatrzył i powiedział krótko – *Proszę o ten obraz, to po prostu Bonard!* I to było pasowanie artysty – malarza, bo od tej pory Starczewskiego nie obowiązywały już ćwiczenia studenckie. Został uznany za artystę, który tworzy i szuka nowych form jeszcze nieobecnych w historii sztuki.¹¹

Dziwna sprawa, bowiem ten akurat obraz Starczewskiego zaginął. Mam jedynie zdjęcie tej pracy.

Trudno mi dzisiaj ocenić czy tak entuzjastyczna opinia profesora na temat pracy studenta nie była na wyrost. Jeśli nawet oceniający nie pomylił się co do talentu młodego człowieka, to Starczewski został doceniony szybko, chyba najszybciej spośród swoich kolegów – dzisiaj uznanych twórców. Uzyskawszy dyplom w roku 1951, zaczął pracę w przemyśle włókienniczym. Od 1955 roku pracował już jako pedagog w PWSSP. Prowadził różne przedmioty od rzeźby po tkaninę. W uczelni miał opinię „Europejczyka” i twórcy niezależnego. Zawsze oryginalny w twórczości i sposobie bicia, stanowiącym nieodłączny składnik jego sztuki.

Ukończył grafikę, ale uprawiał wiele dyscyplin – malarstwo, grafikę, tkaninę, artystyczną ceramikę, rzeźbę. Jednak najbardziej znaczące okazały się płasko-rzeźby projektowane do różnych wnętrz – cudowne w formie, a jednocześnie bardzo zdyscyplinowane i wykonane niesłychanie precyzyjnie. Wiele też podróżował. Podróże nie były dla niego tylko ciekawością oglądania świata, ale najściślej wiązały się z twórczością, wystawami, odbieraniem licznych nagród. Nie założył rodziny. Żył samotnie, lecz w otoczeniu wielu przyjaciół.

Umarł w 2000 roku, po życiu twórczym, znaczącym dla sztuki polskiej.

Wychował artystów niezależnych

Myślę, że to nie przypadek tylko wynik metody pedagogicznej Strzeмиńskiego sprawił, że żaden z jego wybitnych studentów nie był naśladowcą sztuki mistrza. Ci czterej uczniowie to artystyczne indywidualności!

Ceniąc i podziwiając nauczyciela, zdołali stworzyć całkowicie inną sztukę, tak w formie jak i w wyrazie. Przeszli przez sztukę figuratywną, różne formy abstrakcji, konstruktywizmu, ale każdy z nich został sobą. Nazwisko każdego z nich to indywidualny styl. Plastyczna samodzielność myślenia – to właśnie wzór jaki wpoił im Strzeмиński. Jego wielka osobowość kształtowała osobowości a nie naśladowców.

Uczniowie Strzeмиńskiego realizowali się także jako pedagodzy. Tu chyba zostało im najwięcej podobieństw do systemu mistrza. Wszyscy uczyli

studentów patrzeć, myśleć, wyciągać wnioski. Byli jednak bardzo różni usposobieniem. Filozofujący i strofujący Fijałkowski; dowcipny, koleżeński i lubiany Krygier; imponujący rozmachem Kunka i szanowany Starczewski – Europejczyk. Dwaj z nich: Kunka i Fijałkowski piastowali z wyboru różne funkcje w uczelni, natomiast Krygier i Starczewski nie interesowali się nigdy żadnymi stanowiskami administracyjnymi.

Przypomnieć należy, że wszyscy mimo własnych znaczących osiągnięć, zawsze pamiętali kim był ich mistrz i nauczyciel – Władysław Strzemiński. Zawsze przypominali, że studia odbyli pod jego kierunkiem, i że to jemu zawdzięczają swe sukcesy, a przede wszystkim rozumienie wielkiej sztuki.

Krystyna Krygier

– architekt. Zajmowała się projektowaniem urbanistyki i architektury, głównie osiedli mieszkaniowych i obiektów rekreacyjnych. Publicystka z zakresu architektury i plastyki.

PRZYPISY

1. Są różne wersje związane z formowaniem programu PWSSP – np. prof. Roman Modzelewski w swoich wspomnieniach /rękopis/ przedstawia nieco różniący się pogląd na w/w sprawę
2. Obraz jest własnością Muzeum Sztuki w Łodzi
3. Należy podkreślić bardzo duży udział we współpracy ze Strzemińskim przy „Teorii Widzenia” studentów Bolesława Utkina i Jerzego Mackiewicza
4. Wypowiedzenie pracy prof. Strzemińskiemu w trybie natychmiastowym to decyzja min. Włodzimierza Sokorskiego. Dokument powyższy znajduje się w archiwum PWSSP. Równocześnie uległ likwidacji Wydział Plastyki Przestrzennej
5. Uzupełnienie wiedzy o życiu i twórczości St. Fijałkowskiego można uzyskać z licznych katalogów z wystaw artysty
6. Szymon Bojko – „Łódzka Pracownia Opakowań” – Projekt 6/1975, str. 26-29. Reprodukcje. Informacje wzięte z publikacji „50 lecie ASP”
7. W 1948 roku brał udział w wystawie zorganizowanej przez Mariana Bogusza w Warszawie w Klubie Młodych Artystów i Naukowców. W 1980 roku wystawia wraz z Henrykiem Stażewskim w Galerii Współczesnej w Sandomierzu. Obaj artyści wypowiadają swoje poglądy na sztukę aktualnie tworzoną. Katalog.
8. Od 1962 roku, do czasu przyjęcia do ZPAP, bierze udział w wystawach zbiorowych, a także urządza kilka wystaw indywidualnych
9. Istnieje korespondencja pomiędzy ZPAP w Łodzi a S. Krygierem dotycząca podania o przyjęcie go do Związku. Podstawowym argumentem odmowy jest ujawnienie przez Krygiera okoliczności zniszczenia płaskorzeźby przez komisję ZPAP – w jej skład wchodził: Jerzy Grygiel, Romuald Jackowski, Jerzy Mazurczyk, Ignacy Guttman
10. Katalog z wystawy pt. „St-53” zawiera reprodukcje obrazów Lecha Kunki i Stefana Krygiera oraz pozostałych członków grupy
11. Istnieje czarno-białe zdjęcie tego obrazu

Pamiętajmy o ogrodach...

„Pamiętajcie o ogrodach,
przecież stamtąd wyszliście,
żaden beton nie użyczy wam cienia
tylko drzewa, tylko liście”.
(Jonasz Kofta)

nauka

Ogród Botaniczny w Łodzi

W lipcu 2003 roku minęła 30 rocznica otwarcia w Łodzi Ogrodu Botanicznego. Placówka ta jest największą spośród 31 ogrodów w Polsce i jedyną finansowaną przez miasto. Inne ogrody prowadzą uczelnie, lub instytuty naukowe.

Z przeszłości

Projekt powołania ogrodu botanicznego, wraz z palmiarnią w Łodzi został opracowany już w latach trzydziestych XX wieku przez Stefana Rogowicza – naczelnika Plantacji Miejskich. Do realizacji tych planów przystąpiono po zakończeniu wojny w 1945 r. Profesor Jan Muszyński uzyskał wówczas zgodę Zarządu Miejskiego na wydzielenie struktury ogrodu ze Szkółek Miejskich. Odbyło się to 19 września 1946 r. Niedługo potem Zarząd Miejski w porozumieniu z Uniwersytetem Łódzkim i Sekcją Terenów Zielonych Polskiego Związku Ogrodniczego ogłosił konkurs na projekt ogrodu botanicznego.

Pierwszą nagrodę zdobyli inżynierowie: Władysław Niemirski i Alfons Zielonko, ale ich opracowanie nie zostało wprowadzone w życie. Jednocześnie Zarząd Miejski powołał Miejski Ogród Botaniczny w 1953 r. i zwiększył jego teren do 6 ha. Nadzór naukowy nad ogrodem sprawował Zakład Farmakognozji i Upraw Roślin Leczniczych Uniwersytetu Łódzkiego, a później – Zakład Farmakognozji Akademii Medycznej.

W tym czasie kilkakrotnie opracowywano plany zagospodarowania ogrodu botanicznego. Ostatecznie wybrano projekt inżyniera Henryka Tomaszewskiego i w 1967 r. zaczęto plany wprowadzać w życie.

19 lipca 1973 roku, po sześciu latach budowy udostępniono zwiedzającym pierwszą część o pow. 20 ha. Dzień otwarcia ogrodu dla publiczności przyjęto za datę powołania placówki. W lecie 2003 roku łódzki ogród obchodził jubileusz 30-lecia, który zbiegł się w czasie z inauguracją otwarcia przebudowanej palmiarni w parku

Źródliśka. Z tej okazji we wrześniu 2003 r. Łódź gościła pracowników polskich ogrodów botanicznych na ich dorocznym zjeździe, oraz na konferencji naukowej „Udział polskich ogrodów botanicznych w utrzymaniu, ochronie i populacji zagrożonych roślin ze stref klimatu ciepłego”.

Ogród Botaniczny w Łodzi położony w zachodniej części miasta zajmuje obecnie powierzchnię 64 ha. Od północnego zachodu graniczy z 200 hektarowym kompleksem zieleni, na który składają się: Park im. Józefa Piłsudskiego (dawniej Park Ludowy), Ogród Zoologiczny i rezerwat leśny: „Polesie Konstantynowskie”. Od południa ogród ma za sąsiadów sto tysięcy mieszkańców osiedla „Retkinia”. Wraz z palmiarnią ogród stanowi odrębną jednostkę budżetową podlegającą Wydziałowi Ochrony Środowiska i Rolnictwa Urzędu Miasta Łodzi.

Chłuba Ogrodu

Duża powierzchnia pozwoliła stworzyć na terenie ogrodu dziewięć działów tematycznych i liczne kolekcje. Odwiedzający ogród najchętniej zagląдают do alpinarium, oraz do działów: roślin ozdobnych, leczniczych, ogrodu japońskiego i arboretum. Dumą ogrodu w Łodzi jest „narodowa kolekcja róż”. Dlaczego „narodowa kolekcja róż” powstała właśnie w Łodzi?

– *Przez wiele lat okolice miasta słynęły z upraw róż, w latach 50-ych wokół Łodzi przeznaczano duże tereny pod uprawę tych pięknych kwiatów. Znano 300 odmian, m.in. odmiany parkowe, rabatowe, bukietowe. Na wysoki poziom szkółek pracowało wiele pokoleń – opowiada dr Janina Krzemińska-Freda, dyrektor ogrodu, która poświęciła mu 37 lat pracy.*

*Upadek szkółek zaczął się z początkiem lat 80-ych. Ubyło odbiorców, zaczęto przywozić nowe odmiany ze świata. Powstał więc pomysł stworzenia różanej kolekcji w łódzkim ogrodzie. Chcielibyśmy mieć jak najwięcej odmian, zwłaszcza starych. Mamy np. różę **remontankę** pochodzącą z kolekcji z 1901 r., Niestety nie udało nam się znaleźć wszystkich odmian. Na pewno jeszcze występują u prywatnych ogrodników i miłośników kwiatów, jedyna trudność to, czy znajdziemy osoby, które potrafią kwiaty rozpoznać i nazwać – zastanawia się dr Krzemińska-Freda, która o różach opowiada tak ciepło i zajmująco, że można jej słuchać godzinami.*

(Pierwsze róże zaczęto prawdopodobnie uprawiać w Persji już 1000 lat p.n.e., 400 lat p.n.e. te cieszące zmysły kwiaty pojawiły się w Grecji, a stąd rozprzestrzeniły się w krajach leżących w basenie Morza Śródziemnego i trafiły do pozostałych części Europy).

Ulubionym miejscem odpoczynku zwiedzających jest wiosną i latem „Ogród Japoński”, położony w północno-wschodniej części Ogrodu Botanicznego, przy wejściu głównym od ulicy Krzemienieckiej. Stylowe kamienne pagórki, ozdobne stawy, mostki podnoszą atrakcyjność japońskich i azjatyckich roślin.

Można tu się zachwycać najpiękniejszymi odmianami wiśni piłkowanej, magnolii, hortensji oraz perełkowców japońskich – drzew kwitnących późnym latem, pachnących biało-żółtymi kwiatkami. Powodów do satysfakcji dostarcza także Dział Roślin Leczniczych i Przemysłowych. Rośnie tu 230 gatunków roślin pogrupowanych według działania farmakologicznego,

a więc osobno zioła moczopędne, osobno wykrztuśne, regulujące przemianę materii i inne. Oprócz rodzimych ziół uprawiane są w ogrodzie zioła z innych kontynentów, oraz krzewy i drzewa np. kalina koralowa, berberys pospolity, żarnowiec miotlasty, kruszyna pospolita i wiele innych.



Na ratunek przyrodzie

Na konferencji we wrześniu w Łodzi profesor Bogdan Zemanek reprezentujący Ogród Botaniczny Uniwersytetu Jagiellońskiego zadał w tytule swego referatu pytanie:

- *Czy polskie ogrody botaniczne mogą uratować tropikalną florę świata?* I natychmiast sam sobie odpowiedział – *nie, żaden ogród nie może uratować flory świata, ale może uchronić jej cenne gatunki.* Ta odpowiedź wyznacza jeden z podstawowych kierunków działalności ogrodów botanicznych.

Tropikalne rośliny ozdobne i to w liczbie aż 4500 okazów chroni właśnie filia ogrodu – palmiarnia w parku Źródlika. Kolekcję tych roślin, z których najstarsze palmy liczą sobie 130-140 lat zaczęto gromadzić od czasów I wojny światowej. Zarząd m. Łodzi przejął wówczas duże okazy palm od carskich urzędników, którzy oddali je na przechowanie do szklarni miejskich w parku im. S. Staszica.

Kryzys gospodarczy w latach 20-ych przyczynił się do zwiększenia zbiorów, gdyż fabrykanci likwidowali oranżerie przy swoich rezydencjach i przekazywali egzotyczne rośliny miastu. Początkowo kolekcja mieściła się w parku Źródliśka w adaptowanym w 1925 r. budynku kuchni dla bezrobotnych. Podczas II wojny światowej zbiory uratowali z ogromną ofiarnością ogrodnicy miejscy. Po wojnie budynek nieznacznie podwyższono (z wpływem lat palmy sięgały dachu) i w 1956 r. udostępniono publiczności. Bardzo szybko palmiarnia stała się ulubionym miejscem spotkań łodzian. W 1995 r. Rada Miejska w Łodzi zdecydowała o rozpoczęciu niezbędnego już remontu. Budynek starej palmiarni obudowano szklano-aluminiową fasadą na stalowej konstrukcji, a następnie wyburzono stare mury. Ten skomplikowany system prac wynikał z konieczności pozostawienia na miejscu najstarszych roślin z kolekcji, które zakorzeniły się w podłożu. Nowy obiekt przekazano do użytku we wrześniu 2003 r. Poprawiły się optymalnie warunki wzrostu roślin, warunki pracy personelu, oraz komfort przebywania w palmiarni zwiedzających.

Kolekcja roślin egzotycznych w całej palmiarni obejmuje powierzchnię 500 m kw. Grupuje okazy pochodzące z tropikalnych lasów równinowych, sawann, pustyń i półpustyń. Najcenniejsze są palmy reprezentujące 18 gatunków. Niektóre z nich przekroczyły sto lat jak np. *areka Baurera*, *howea Forstera*, daktylo-wiec kanaryjski i palma konopna. Wyjątkowo ciekawe są „żywe skamieniałości” pochodzące z karbonu – sagowce: *Cycas revoluta* i *C. circinalis*, *Stangeria eriopus*, oraz *Zamia* sp.

Zwiedzających urzekają nie tylko wysokie palmy, ale także liczne odmiany roślin ozdobnych charakterystycznych dla tropiku, jak figowce, bananowce, liczne gatunki begonii, storczyków i anturium.

Badania naukowe

Można zaryzykować twierdzenie, że cała działalność ogrodów botanicznych służy nauce i jej popularyzacji. Są jednak zadania o szczególnie priorytetowym charakterze jak np. zakładanie banków genów i kolekcji klonów roślin w celu ich zabezpieczenia przed całkowitym wyginięciem. Od 2001 roku czynne jest na terenie ogrodu laboratorium kultur tkankowych *in vitro*. Jednym z celów laboratorium jest rozmnażanie rzadkich roślin. W tej dziedzinie są już spore osiągnięcia. Mimo zaledwie dwuletniej działalności.

Pracownicy ogrodu spieszą także na ratunek ginącym drzewom w centrum miasta. W parkach zakładanych zazwyczaj w połowie XIX w. rosną do dziś drzewa, których wiek oblicza się na 150 i więcej lat. Dynamiczny rozwój miasta spowodował, że w centrum Łodzi można spotkać pojedyncze, wiekowe egzemplarze drzew, którym nie służą spaliny, kurz i asfalt. Takie okazy dębów znajdziemy w Alejach Kościuszki przy restauracji „Europa”, w parku Sienkiewicza i innych miejscach.

W ogrodzie prowadzi się systematyczne prace nad rozmnożeniem tych drzew, w warunkach miejskich, dzięki którym rzadkie zabytki przyrody nie będą skazane na wymarcie.

Edukacja i popularyzacja

Jednym z głównych zadań ogrodów botanicznych jest edukacja społeczeństwa w zakresie wiedzy przyrodniczej i budzenie potrzeby ochrony środowiska naturalnego. Łódzki ogród botaniczny ze względu na wykwalifikowaną kadrę i różnorodność kolekcji, znakomicie nadaje się do prowadzenia zajęć dydaktycznych dla dorosłych i uczniów wszystkich typów szkół.

– *Poprzez dzieci często trafiamy do rodziców. Spodziewamy się, że uczniowie, którzy poznali ogród na szkolnej wycieczce przyprowadzą do nas na niedzielny spacer rodziców i dziadków. Bez wątplenia młodzież będzie miała swój udział w powolnej zmianie mentalności dorosłych i bardziej świadomym stosunku do otaczającej nas przyrody* – mówi dr Janina Krzemińska-Freda.

Pracownicy ogrodu nie szczędzą starań, aby placówka była atrakcyjna dla uczniów, rozbudzała zainteresowania i inicjatywę.

Najbardziej popularne są wycieczki i zajęcia terenowe w ogrodzie. W 2002 r. pracownicy Ogrodu Botanicznego przeprowadzili aż 250 tego typu zajęć. Dla uczniów, studentów i doktorantów otwarta jest pracownia dydaktyczna, w której odbywają się zajęcia laboratoryjne z morfologii i systematyki roślin. Praktyki w ogrodzie odbywają także studenci Politechniki Łódzkiej, studiujący architekturę lub ochronę środowiska. Kontakty, wymiana katalogów i materiałów botanicznych z muzeami nieomal z całego świata wzbogacają wiedzę i horyzonty praktykantów.

Ogród kontynuuje łódzką tradycję wystaw ogrodnich, popularnych w XIX wieku i organizuje tematyczne wystawy, które weszły już do kalendarza imprez w mieście. I tak w styczniu można podziwiać wystawę pt. „Tajemniczy świat storczyków”, w maju wystawę roślin wrzosowatych, w czerwcu – roślin leczniczych, w lipcu lili. We wrześniu i październiku oglądamy „Kwiaty jesieni”, grzyby, owoce i warzywa.

Łodzianie wiedzą, że w grudniu ogród zaprasza na wystawę i pokaz komponowania stroików świątecznych. Przy organizacji tych imprez placówka od lat współpracuje z łódzkimi uczelniami oraz Ligą Ochrony Przyrody i Polskim Towarzystwem Botanicznym.

Wystawom towarzyszą kiermasze książek, prelekcje i pokazy filmowe. Dodajmy do tego konkursy o tematyce biologiczno – ekologicznej dla młodzieży szkolnej, foldery i broszurki o przepięknej szacie graficznej, i akcję „Zieleń świadectwem kultury”, w ramach której szkoły i instytucje oświatowo- wychowawcze otrzymują z ogrodu rośliny do obsadzenia terenów wokół ich siedzib. Cenną pomocą dla wszystkich zwiedzających ogród są wytyczone trasy wycieczek tzw. ścieżki

dydaktyczne. Można np. udać się na spacer ścieżką nr 1 „Z chwastami za pan brat”, ścieżka nr 2 składa się z 11 przystanków i wytycza szlak wśród drzew liściastych. Ścieżka nr 3 prowadzi przez tajemniczy świat ogrodowych kamieni.

– *Ogród jest żywym organizmem, nieustannie się zmieniającym* – podkreśla dyrektor Janina Krzemińska-Freda. Rozwój placówki wymaga m.in. remontu zbiorników i wodociągów do podlewania roślin. Potrzebne są nowe szklarnie, remont ogrodzenia i pomieszczeń gospodarczych. Ze względu na zbyt duże koszty utrzymania i konieczność prowadzenia prac porządkowych ogród jest zamknięty dla zwiedzających od 31 października do 1 kwietnia.

Opuszczając ogród wiem, że wrócę tu wiosną.

Małgorzata Golicka-Jabłońska



kultura

Kadry pamięci

o swoim widzeniu Camerimage

Darkowi Kędzierskiemu opowiada Marek Żydowicz
str. 61

Pofestiwalowe refleksje

Camerimage 2003

Marek Strąkowski
str. 68

Historia kultury i tolerancji

Teatr żydowski w Łodzi /cz. 1/

Agata Skrzypek
str. 73

Wielkie studio małych form

SeMaFor

Darek Kędzierski
str. 78

moda.com.pl

Z Andrzejem Wrześniem rozmawia Marek Strąkowski
str. 84

1870

1871

1872

1873

1874

1875

1876

1877

1878

1879

1880

1881

1882

1883

1884

1885

1886

1887

1888

1889

1890

Kadry pamięci

- o swoim widzeniu Camerimage
Darkowi Kędzińskiemu
opowiada Marek Żydowicz

kultura

Darek Kędziński:

Co legło u podstaw powołania do życia Festiwalu Camerimage?

Marek Żydowicz:

Dwanaście lat temu, gdy jeszcze wykładałem historię sztuki na Uniwersytecie Toruńskim założyłem fundację „Tumult”, która zajmowała się wystawiennictwem. Zorganizowałem kilka dużych i znaczących wystaw, takich jak „Tumult toruński” czy „Konfrontacje artystyczne”, reprezentujących dorobek europejskiej sztuki lat osiemdziesiątych. Odczuwałem wtedy potrzebę uczestniczenia – czynnie, bądź biernie – w sztuce europejskiej. Tacy artyści jak: Kiefer, Baselitz, Dahn byli poza zasięgiem polskich placówek wystawienniczych. Udało mi się również zaprosić Volkera Schlöndorffa na organizowany w Toruniu przegląd filmowy i prapremierę wystawy „Homo Faber”. Z sugestii Volkera zrodził się ten festiwal. Powiedział, że powinienem wykorzystać swoją pasję do stworzenia takiego festiwalu „jakiego na świecie nie ma”. Będąc historykiem sztuki, z dobrej szkoły analizy formalno – stylowej rozumiałem, że jedynie festiwal sztuki obrazu filmowego może być spełnieniem moich aspiracji. Uważałem – i nadal tak uważam – że jest to sztuka, która bezpośrednio dotyka życia. Przenika życie nie tylko o nim opowiadając, ale jednocześnie je kreując. Wpływa na mody, na nasze myśli i postawy. Tak więc jako specjalista od obrazów, zająłem się właśnie obrazem.

*Pomysł na zorganizowanie tego typu imprezy
był „strzałem w dziesiątkę”.*

Byłoby hipokryzją mówić, że jest inaczej, ale przed nami długa droga, bo jeszcze wiele na temat obrazu filmowego można powiedzieć. Jest to język tak bardzo uniwersalny i powszechny, a jednocześnie najbardziej zrozumiały dla widza, gdyż jest to język bardziej intuicyjny, niewerbalny. W zasadzie patrzymy, często nie uświadamiając sobie, że coś widzimy a jednak to widzimy i to jest właśnie ta sfera, do której będziemy próbowali dotrzeć. W tym mieszczą się psychologiczne uwarunkowania odczytywania obrazu filmowego.

Czy struktura Camerimage zmierza do tego, aby to co Pan w tej chwili powiedział widzowi unaocznic?

Nie tylko unaocznic, ale i spowodować, aby widz bardziej świadomie czytał kreowaną przez kogoś innego rzeczywistość, po to aby mógł uciec przed złymi obrazami, albo przed manipulacjami, których dziś często za pomocą obrazów dokonuje się nie tylko w telewizji – medium o szczególnym znaczeniu dla pop-kultury, ale często również w kinie.

Czy zorganizowanie pierwszego festiwalu było przedsięwzięciem trudnym?

Było to niezwykle trudne, ponieważ tak na dobrą sprawę nikt nie wierzył w tę ideę. W Ministerstwie Kultury urzędnicy tamtej epoki patrzyli na mnie z politowaniem, wręcz z pogardą, pytając skąd się wziąłem, i kim ja jestem. Nic nie znaczyłem w świecie filmu, co starano się mi za wszelką cenę udowodnić. Nawet nie mam odpowiedniego wykształcenia filmowego. Skąd więc pomysł, że uda mi się zrobić coś, czego nie udało się do tej pory zrobić profesjonalistom, którzy przez ostatnie czterdzieści lat intensywnie myśleli, jak w tym kraju stworzyć międzynarodowy festiwal filmów fabularnych. Festiwal, który mógłby się liczyć w świecie.

Przez wiele lat festiwal odbywał się w Toruniu, dlaczego został przeniesiony do Łodzi, czy to był przypadek?

Nie, nie było w tym żadnego przypadku. Wszystko było wynikiem zdarzeń, które się kumulowały i nawarstwiały, doprowadzając w końcu do niemożności dalszego organizowania festiwalu w Toruniu. Toruń jest pięknym miastem, ale niestety nie posiada odpowiedniej infrastruktury festiwalowej. Poza tym Toruń zaczyna obrastać w prowincjonalizm. W kwestii organizacyjnej zaś przewaga łódzkiego Teatru Wielkiego jest zdecydowana i niepodważalna. Sala, powierzchnia wystawowa, zaplecze dają o wiele większe możliwości przy realizacji Camerimage. Poza tym „Łódź filmowa”, która straciła swój animusz przed wielu laty, wciąż gdzieś funkcjonuje w świadomości mieszkańców tego miasta. To poczucie sukcesu i wyjątkowości jakie dawało kino polskie, które tutaj się realizowało to kolejny powód przeniesienia festiwalu. Ostatecznym i niezmiernie ważnym argumentem „za” jest istnienie szkoły filmowej ze swoim kulturotwórczym potencjałem.

Jak układa się współpraca z władzami miasta?

Stosunek władz miasta do festiwalu zawsze był bardzo przychylny. Począwszy od prezydenta Matusiaka, który wspólnie z panią Dagmarą Barulą nas tu sprowadził, poprzez kolejnych prezydentów, którzy równie ciepło i życzliwie odnosili się do festiwalu. Cieszy mnie to, że niezależnie od opcji politycznej każdy następny prezydent akceptuje festiwal.

Rad jestem ogromnie, że prezydent Jerzy Kropiwnicki, który mógł powiedzieć „nie” tej imprezie – bo akurat kończyła się trzyletnia umowa, którą zawarłem z miastem – powiedział, że ten festiwal jest bardzo potrzebny i będzie go wspierał. I wspiera w sposób bardzo znaczący, traktując wręcz priorytetowo.

*Czy jest szansa na to, że Camerimage „osiądzie”
w Łodzi na długie lata?*

Chciałbym bardzo. Nie jest to jednak takie proste, z tego względu, że nie tylko budżet miejski składa się na pokrycie wszystkich kosztów organizacji festiwalu. Jest jednak oczywiste dla wszystkich, że pieniądze przeznaczane na Camerimage trudno byłoby porównywać z kwotami finansowania wielkich festiwali zachodnich. Wierzę, że prestiż tej imprezy filmowej pozwoli na poza merkantylną ocenę jej wartości.

Jest wielu sponsorów – jak z nimi układa się współpraca?

Różnie. Przyznam szczerze, że cieszą mnie stali sponsorzy, którzy od wielu lat nas wspierają. Przede wszystkim cieszy mnie to, że znalazła się wielka łódzka firma – „Atlas” z panem Walczakiem na czele, która postanowiła wziąć ten festiwal pod swoje skrzydła i dzięki tej pomocy festiwal mógł rzeczywiście „zarzucić kotwicę” w Łodzi. Jeżeli ta firma będzie nas wspierać istnieje szansa na to, aby nasza obecność tutaj była bezdyskusyjna. Oczywiście jest szereg innych łódzkich firm, które na mniejszą skalę nam pomagają i bez tej pomocy festiwal na pewno nie byłby możliwy.

*Czy obecna ranga festiwalu to poziom do którego Pan zmierzał,
czy też czuje Pan jeszcze niedosyt?*

Zawsze będę czuł niedosyt. A dopóki będę go czuł, będę ten festiwal rozwijał. Jeżeli zaś poczuję pełną satysfakcję i dopadnie mnie wrażenie, że więcej już nic nie mogę powiedzieć, wtedy z niego zrezygnuję. Oddam go komuś, kto będzie miał wielką pasję i będzie wiedział, w którym kierunku ten festiwal powinien ewoluować.

*Sam festiwal to ukoronowanie wielu wcześniejszych
działań organizacyjnych, czy czuje Pan „nerw” pracując
nad festiwalem, czy jest to już rutyna?*

Pewnie, że czuję „nerw”! Rutyny nie dopuszczam do moich działań i do mojej świadomości. Zawsze staram się coś zmienić. Irytująca jest tylko ta niestabilność partnerów – zarówno mentalna jak i finansowa – wynikająca również z braku koniunktury gospodarczej. Najbardziej denerwujące jest, że ludzie nie potrafią współodczuwać i nie potrafią zrozumieć, że w natłoku miliona spraw, które nam przychodzi nagle i równocześnie

rozwiązywać, gdzieś można dopuścić się jakiegoś drobnego zaniedbania. Kto chociaż raz w życiu organizował imprezę kulturalną, wie że nie da się fizycznie wszystkiego perfekcyjnie ogarnąć. W tym roku było bardzo trudno, bo firma Fox, która – pilotowała premierę „Master and Comander” – zajęła nam całe dwa dni, ograniczając tym samym możliwość wejścia na salę główną do ostatniego dnia przed otwarciem. Dla gościa nie musi być to w ogóle istotne, ale jeśli mecenas, bądź sponsor czuje w nas partnera, to jego rola nie powinna ograniczać się tylko do dania pieniędzy. Powinna być jednocześnie zrozumieniem pewnych ograniczeń, które wynikają z rzeczywistości, w której przychodzi nam ten festiwal organizować. To jest bardzo przykre, kiedy słyszymy jakąś uwagę, że coś nam nie wyszło, lub popełniliśmy jakiś błąd. Nie ma możliwości, aby jakakolwiek instytucja, czy osoba działająca na tak szeroką skalę, w tak ograniczonych formalnie warunkach, nie robiła drobnych błędów. Ja staram się te błędy eliminować i liczę tu na wyrozumiałość drugiej strony, a jednocześnie obiecuję, że będę starał się organizować to jak najlepiej.

To już kolejna edycja festiwalu, czy odnosi Pan wrażenie, że jest on wystarczająco dobrze znany w środowisku operatorów?

Byłbym nieuczciwy, gdybym powiedział, iż wszyscy wiedzą o istnieniu Camerimage. Jest wielu twórców filmowych, którzy o nim słyszeli nie rozumiejąc do końca wyjątkowości tego miejsca. Z kolei jest wielu, którzy rzeczywiście słyszeli i z przyjemnością przyjeżdżają tu, żeby to sprawdzić. Potem wyjeżdżają – w większości przypadków – zadowoleni, zachwyceni, z ogromną chęcią powrotu. I idzie w świat fama o festiwalu. Cieszy mnie fakt, że dzieje się tak już nie tylko za granicą: w Europie, Hollywood czy w Nowym Yorku, ale coraz częściej w Polsce. W naszym kraju dziwnym i przygnębiającym zjawiskiem, ale dość powszechnym jest to, że nie docenia się tego, co się ma.

Reżyserem powszechnie kojarzonym się z Camerimage jest David Lynch. Czy można go uznać ambasadorem festiwalu i Łodzi na świecie?

Z całą pewnością. Nie bez powodu minister kultury zdecydował się nagrodzić go odznaczeniem, za szczególne zasługi dla kultury polskiej. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że „zakochał się” on w Camerimage. Wiem, że podziwia i kibicuje wszystkim, którzy z ogromnym zaangażowaniem, czystymi intencjami, realizują coś tak niezwykłego. A odbywa się to w czasach, kiedy większość młodych ludzi marzy tylko o karierze, rozumianej jako sukces finansowy.

Będąc na wystawie zdjęć i obrazów Davida Lyncha zauważyłem wiele osób, które będąc pod jej wrażeniem, chciały zachować jakąś pamiątkę w postaci folderu, zdjęcia. Niestety najtańszy katalog kosztował 500 zł.

Problem polega na tym, że te katalogi zostały zrobione praktycznie bez wiedzy Davida Lyncha. Każdy katalog jest ręcznie wykonanym egzemplarzem, z podpisem autora. Posiada zatem charakter aukcyjny. Mogę tylko zapewnić, że pieniądze z ich sprzedaży zostaną przeznaczone na cel charytatywny.

*W Toruniu powstało z Pana inicjatywy
Studium Sztuki Filmowej i Techniki Telewizyjnych.
Jakie są szanse dla absolwentów tej szkoły?*

Założyłem, że nie będę tworzył szkoły, która będzie produkowała fikcję lub kształciła frustratów. Dlatego z założenia była to „niższa szkoła filmowa” – jak się śmieję. Staralem się dać tym ludziom pewne rudymenty wiedzy i dać im podstawy pewnych praktycznych umiejętności, które pozwolą im znaleźć pracę. W wielu wypadkach słuchaczami są pracownicy telewizji podnoszący swoje kwalifikacje. Są to ludzie, którzy będą wiedzieli jak zorganizować plan zdjęciowy, jak go oświetlić, jak zrealizować program telewizyjny o takim czy innym charakterze. A jeżeli ktoś będzie chciał się wybić i dołączyć do grona wielkich filmowców polskich, to będzie kontynuował naukę w szkole łódzkiej lub innej, w kraju bądź za granicą. **Nie mam ambicji tworzenia jakiegoś specjalnego ośrodka produkcji gwiazd, nie ma to być żadna szkoła mistrzowska, która będzie tak naprawdę wyciągała pieniądze, niewiele dając w zamian.** Ja na tej szkole nic nie zarabiam. Wszystkie pieniądze pochodzące z czesnego były inwestowane w profesorów, którzy musieli dojeżdżać z Łodzi, Wrocławia, Warszawy, Katowic.

*Czy istnieje jakiś klucz według którego zaprasza
Pan realizatorów do udziału w Camerimage?*

Pewnie, że jest klucz. Nie interesują mnie twórcy komercyjni, którzy nie mają żadnej kultury związanej z szacunkiem dla współtwórców dzieła filmowego. Nie mają także szacunku dla widzów. Nie interesuje mnie czysta produkcja zarobkowa w filmie. Chcę mieć tutaj tych twórców, którzy mają coś do powiedzenia nie tylko o kinie, ale również i o życiu. Jeśli się popatrzy na tych ludzi, to oni oczywiście mają w swoim dorobku takie i takie filmy, ale każdy z nich prezentuje oryginalną i interesującą osobowość, dzięki czemu mogą rozmawiać z młodymi ludźmi, dając im pewne wskazówki co do percepcji rzeczywistości, w której coraz trudniej doszukać się autorytetu.

Czy są twórcy, którzy odmawiają przyjazdu na festiwal?

Zdarza się, ale nigdy z powodów merytorycznych. Najczęściej są to powody niezależne od samego zainteresowanego. Mam tutaj na myśli kontrakt filmowy lub jakieś sytuacje losowe.

Kogo jeszcze chętnie widziałby Pan wśród zaproszonych gości?

Och, jest grono wielu znakomitych twórców, reżyserów i aktorów. Nie ma sensu wymieniać tej plejady nazwisk. Na pewno w przyszłym roku parę nowych twarzy się pojawi.

Czy planowana jest jakaś zmiana formuły festiwalu?

To, co wypracowaliśmy chcemy utrzymać na poziomie nie niższym, niż do tej pory. Chcemy też wprowadzić nowe elementy np. będę próbował iść w kierunku nowych mediów, technologii cyfrowych i realizowanych na DVcam, bo nie można zapomnieć o tej formie realizacji obrazu.

Jaka jest szansa odbudowania wizerunku „Łodzi filmowej”?

Bez inwestycji to nie ma o tym mowy. Sam festiwal nie wystarczy. Jeżeli David Lynch chce tutaj osiąść i stworzyć własne studio, to przecież nie otworzy tego studia po to, aby stało puste. W związku z tym uważam, że władze Łodzi powinny znaleźć sposób jak przekazać mu budynek na zasadach preferencyjnych np. nieodpłatnie w zamian za remont i adaptacje dla potrzeb takiego ośrodka. Bez wątplenia służyłoby to promocji sztuki i miasta. Jeżeli on to studio stworzy, to przecież będzie tu praca, będzie się starał kierować do tego studia określone produkcje: swoje, bądź zaprzyjaźnionych osób czy też ludzi, którymi się opiekuje.

Właśnie, o studiu mówi się już od dłuższego czasu, ale czy to nie jest tak, że David Lynch nie ma jeszcze określonej formuły na to studio?

Ma formułę. My ją wypracowujemy poprzez rozbudzanie nowych twórczych pomysłów. Nawiązanie wspólnego języka i spokojną, racjonalną pracę na pewnym bardzo wyrachowanym poziomie kulturalnej komunikacji, która nie będzie sprowadzała się tylko do myślenia o pieniądzach. Jeżeli David Lynch mówi, że ma pomysł na 600-700 metrów powierzchni fabrycznej, w której mógłby dowolnie zaaranżować wnętrza do potrzeb realizacji filmowej, to ja, będąc we władzach miasta ze wszystkich sił starałbym się mu pomóc. W ten sposób za ruinę kupuje się znakomite logo, które spowoduje, że o tym mieście będzie głośno. O tym mieście będzie się mówiło, bo nigdzie indziej na świecie David Lynch takiej propozycji nie złożył.

Gdyby doszło do realizacji tego projektu, byłby to też Pana sukces.

Ja tu nie jestem najważniejszy, ważne jest to, co będzie dalej. Pamięć zostawmy tylko w odniesieniu do ludzi, którymi nasiąkliśmy i którymi przesiąkamy. Przecież po nas przyjdą inni. Będą oglądali nasz świat przez filmy, które im zostawimy. Niech kadry pamięci wypełnią przede wszystkim takie obrazy, na których chcielibyśmy zostać zapamiętani.

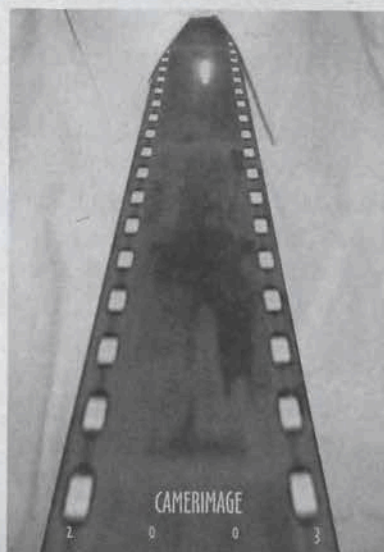
Darek Kędziński

I nagroda - Izabela Kuzyszyn



W konkursie na plakat filmowy Camerimage 2003 wzięli udział studenci i absolwenci ASP z Krakowa i Łodzi. Wszystkie nagrody zdobyli studenci Wydziału Form Przemysłowych naszej akademii.

III nagroda - Katarzyna Kurzyk



II nagroda - Katarzyna Szwedzińska



III nagroda - Janusz Różycki

kultura

Pofestiwalowe refleksje

Camerimage 2003

Uroczystość otwarcia XI Międzynarodowego Festiwalu Sztuki Autorów Zdjęć Filmowych CAMERIMAGE 2003, odbyła się 29 listopada w Teatrze Wielkim. Łódź była współorganizatorem imprezy po raz trzeci. Urząd Miasta Łodzi – poza Ministerstwem Kultury i Urzędem Marszałkowskim – przeznaczył największe środki na dofinansowanie festiwalu. Sponsorem generalnym tegorocznej edycji Camerimage była łódzka firma ATLAS. Pierwszym filmem zaprezentowanym w ramach projekcji festiwalowych był obraz „Pan i władca: na krańcu świata”. Reżyserem tego filmu jest Peter Weir, autor między innymi dzieł: „Piknik pod Wiszącą Skalą”, „Stowarzyszenie Umarłych Poetów”, „Truman Show” „Ostatnia fala”. Ten rzemieślniczo sprawnie zrealizowany obraz, w którym główną rolę gra Russell Crowe, nie broni nazwiska reżysera. Film o uładzonej konstrukcji fabularnej, w marynistycznej poetyce zawiera wszystkie prawdy i mądrości o życiu, które ze szczególnym namaszczeniem twórca chce przekazać widzowi. Efektowne zdjęcia Russella Boyda, utrzymane w stylistyce marynistycznych płócien holenderskich z XVII wieku, nie rekompensują poczucia straconego czasu.

Formuła festiwalu pozostaje niezmienna i dzieli się na dwa niezależne od siebie konkursy: Główny Konkurs i Festiwal Studencki. Złota Żaba to nagroda główna w rywalizacji profesjonalnych autorów zdjęć. O Brązową, Srebrną i Złotą kijankę walczą studenci szkół filmowych. Nagrody mają znaczenie honorowe. Motyw żaby ma dwa aspekty znaczeniowe. Tak to tłumaczy Marek Żydowicz: *żaba symbolizuje taką perspektywę patrzenia na świat, jaką znają tylko operatorzy filmowi. Nie bez znaczenia też była, przy powstawaniu logo, toruńska legenda o żabie i flisaku*. Wybór kijanki na emblemat nagród studenckich jest logiczną konsekwencją podstawowej symboliki. Poza filmami konkursowymi odbyły się dwa pokazy specjalne. Pierwszym z nich była retrospektywa twórczości operatora Williama Frakera. Pokazano następujące filmy jego autorstwa: „Reflection of Fear”, „Looking for Mr. Goodbar”, „Changes Are”, „Paint Your Wagon”.

Filmy Frakera wyróżnia sprawna warsztatowa realizacja. Perfekcyjnie dopracowane ujęcia i kadry dają dużą płynność obrazu, skupiają uwagę widza na całości kompozycji. Dynamika narracji wizualnej jest ważnym elementem jego zdjęć. Nasycone, kontrastowe barwy, to kolejny znak rozpoznawczy tego autora.

William A. Fraker otrzymał nagrodę specjalną za dorobek życiowy. Dołączył do wyróżnionych za całokształt twórczości mistrzów kamery. Należą do nich: Sven Nykvist, Vittorio Storaro, Vilmos Zsigmond, Giuseppe Rotunno, Haskell Wexler, Conrad L. Hall, Laszlo Kovacs, Billy Williams, Owen Roizman, Freddie Francis. Fraker jest autorem zdjęć do filmów: „Bullit” i „Dziecko Rosemary”. Za obraz „Szukając pana Goodbara” był nominowany do Oscara w roku 1979. Rok później otrzymał nominację za film w reżyserii Stevena Spielberga pt. „1941”. Był operatorem filmów „Tombstone”, „The Games”, „Gry wojenne”, oraz nagrodzonego Oscarem - „Awantura w zaświatach”. Fraker wyreżyserował: „Monte Walsh”, „The Legend of Lone Ranger”, „A Reflection of Fear”. Trzykrotnie pełnił funkcję prezydenta Amerykańskiego Związku Operatorów (A.S.C.). Zajmuje się również pracą akademicką. Wykłada w swojej alma mater – Uniwersytecie Południowej Karoliny.

Druga prezentacja poświęcona została Mikke Figgisowi. Reżyser osobiście zapowiadał swoje dzieła. Wyświetlone zostały: „Timecode”, „Hotel”, „Cold Creek Manor”. Figgis to przedstawiciel kina eksperymentalnego. Programowe założenie autora, aby film był przede wszystkim „sztuką dla sztuki”, potwierdziło się we wszystkich trzech prezentowanych tytułach. Filmowy performance „Timecode” był wysublimowanym artystycznym założeniem reżyserskim, przeprowadzonym w celu udowodnienia tezy, że stylistyczne ograniczenia w sztuce nie istnieją. Środki wyrazu estetycznego nie znalazły dla siebie opozycji w przebiegu narracji fabularnej. Dawało to miejscami efekt konsekwentnie bezrefleksyjnego oglądactwa. Niektórzy widzowie nie byli w stanie odczytać skomplikowanej symboliki filmu. Skupiając się na technicznych aspektach utworu, reagowali żywiołowo na wszystkie nieprzewidziane zwroty akcji. Warto być filmowym ignorantem i nie zauważać cech odtwórczości podniesionej do rangi „wartości koniecznej”. Inna sprawa, że te filmy są formalnie interesujące. Wielkość tego reżysera trzeba mierzyć jego odwagą do zmagania się z własną wyobraźnią.

W jury konkursu głównego zasiadali: Adam Holender, Jerzy Kapuściński, Richard Crudo, Pierre Lhomme, Krzysztof Malkiewicz, Tony Pierce Roberts, Franciszek Starowieyski, Geoffrey Simpson, Rogier Stoffers. Obradom jury przewodniczył James Ivory (reżyser: „Okruchy dnia”, „Pokój z widokiem”, „Upał i kurz”. Najnowszy jego film „Rozwód po francusku” wszedł właśnie na ekrany polskich kin).

W konkursie głównym – operatorskim – wzięło udział 13 filmów. Złotą Żabę, za zdjęcia do filmu „Miasto Boga”, otrzymał Brazylijczyk Cesar Charlone. Obraz ten, wyreżyserowany przez Fernando Meirellesa, opowiada o życiu mieszkańców „favelas” w Rio de Janeiro. Zdobywcą drugiego miejsca został Piotr Kukla, absolwent Łódzkiej Szkoły Filmowej. Srebrną Żabę odebrał za pracę nad holendersko-luksemburską produkcją pt. „Twin Sisters”. Laureat Brązowej Żaby – Eduardo Serra – został o przyznaniu statuetki powiadomiony telefonicznie, w trakcie trwania gali. Ponadto jurorzy, tradycyjnie, przyznali specjalną Złotą Żabę. Przekazali ją na ręce Pawła Śmietanki i Adama Bajerskiego – realizatorów „Zmruż oczy” w reżyserii Andrzeja Jakimowskiego.

W konkursie filmów studenckich etiudy oceniało jury w składzie: William A. Fraker - przewodniczący, Laszlo Kovacs, Remi Adefarasin, Jost Vacano, John de Borman, Phil Meheux.

Na konkurs filmów studenckich przysłanych zostało 120 prac. 27 spośród nich zostało zaprezentowanych w ramach pokazu konkursowego. Twórcy etiud rekrutowali się z kilkunastu szkół filmowych z całego świata. Reprezentowane były m. in.: AUSTRALIAN FILM TV & RADIO SCHOOL, HOCHSCHULE FÜR FERNSEHEN UND FILM z Monachium, NEW YORK UNIVERSITY, TISCH SCHOOL OF ARTS – USA, THE NATIONAL DANISH FILMSCHOOL z Kopenhagi, ESCOLA SUPERIOR DE CIN. Y AUDIOV. DE CATALONIA z Hiszpanii, FILM AND TELEVISION INSTITUTE OF INDIA.

Tematy filmów oscylowały wokół uniwersalnych i trudnych interpretacyjnie pojęć. Mówiły o starości, samotności, potrzebie empatii, umieraniu. Stawiały podstawowe egzystencjalne pytania. Rzadko jednak udzielały na nie odpowiedzi. Można było odnieść wrażenie, że wszystkie filmy odnoszą się do jakiejś nowej teorii pluralizmu wartości. Wartości filmowych i wartości w ogóle. Zdaniem dużej grupy młodych operatorów, format czasowy etiudy zmusza do dramatycznych rozwiązań fabularnych. Format nie tłumaczy jednak niedoskonałości warsztatowych, czy braku twórczego myślenia. Większość spośród tych „krótkich filmów”, to mniej lub bardziej udane naśladownictwo „mistrzów kamery”. Studenci ulegają tzw. nowoczesnej konwencji realizowania obrazu filmowego. Własnym stylem nazywają przejmowane i modyfikowane wzorce projektowania kadrów, ustawiania światła, prowadzenia kamery. Kompilacja formalistyczna była głównym czynnikiem sprawczym powtarzających się motywów i symboli w wyświetlanych etiudach. Była też widoczną przyczyną braku oryginalnych treści.

Werdykt jury studenckiego brzmiał: Złota Kijanka dla Macieja Sobieraja z PWSFTviT w Łodzi, za etiudę pt. „Koma”. Phil Meheux - jeden z jurorów – powiedział o filmie Sobieraja: Ta etiuda charakteryzowała się znakomitym opanowaniem warsztatu sztuki operatorskiej. Srebrną Kijankę zdobył Maciej Majchrzak - również student łódzkiej „filmówki” - za „Anabiosis”. Uzasadnienie: za pomysłowość w pokazywaniu przedmiotów codziennego użytku we współczesnym świecie. Brązową Kijankę odebrał Konrad Spyra z Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego. Nagrodzono film „T-Rex” z jego zdjęciami, w reżyserii Sławomira Pstronga. Operator wykazał się dużą umiejętnością wykorzystania technicznych możliwości w realizowaniu obrazu filmowego.

Stupor. Tak wyglądała reakcja wielu uczestników studenckiego konkursu, gdy lista nagrodzonych etiud została zamknięta. Łódzką Szkołę Filmową reprezentowało 10 etiud. Dwie z nich zdobyły nagrody. Łaskawe dla rodzimych produkcji werdykty jury łódzkich edycji Camerimage, nabierają cech permanentnych. Prynypialna zasada wyróżniania lokalnych twórców spycha wielką ideę festiwalu i sam festiwal w rejony prowincjonalizmu. Uznanie dzieła sztuki – nawet według jasnych i czytelnych kryteriów – za lepsze od innego, jest zawsze wnioskowaniem bezpośrednim kilku osób o pracy artysty. Metodologia definiowania dopuszcza przypuszczenie, że inny skład komisji wybrałby inne filmy – według tych samych kryteriów. Weryfikując konkursowy materiał tegoroczna komisja pominęła kategorie: narracja fabularna i konsekwencja dramaturgiczna. Gdyby uwzględnić ten czynnik kwalifikujący, inne filmy i inni twórcy cieszyliby się z nagród. Kilka etiud zostało zrealizowanych technicznie dużo sprawniej od nagrodzonych. W kwestii treści: występował w nich taki sposób komunikowania się postaci, który najczęściej nazywa się dialogiem. W kwestii obrazu: sposób filmowania był wynikiem rozpoznania tekstu i wykorzystaniem odpowiednich środków do właściwych celów. Na uwagę zasługiwał film niemiecki pt. „Narzeczona wiatru”. Reżyser Siegmur Wernecke i operator Stefan Karle starali się nie przejść postawionego sobie zadania na skróty. Hermetyczny konstrukcyjnie i dopracowany w każdym ujęciu obraz zasługiwał na Kijankę. Drugą niedostrzeżoną etiudą była praca brytyjska – „Gość”. James Morton-Haworth posługuje się kamerą z nonszalancją godną prawdziwego profesjonalisty. Australijska „Środa Popielcowa” również była filmem ciekawym. I również dla niego zabrakło nagrody.

Cechą immanentną każdego konkursu jest wyłonienie zwycięzców. Precyzyjnie określone normy kwalifikowania powinny być jedynym elementem wartościowania prac filmowych. Poza uczciwym ich przestrzeganiem przez jury. Wśród tegorocznych członków tego ciała, postępowanie indukcyjne, zdominowało rzetelność ocen.

Kanon różnicy jaki powstał w wyniku tego werdyktu jednoznacznie przyporządkowuje polskie kino polskim festiwalom. Tautologicznie rzecz biorąc decyzja jury zaszkodziła charakterowi festiwalu, którego ambicją jest zasięg światowy.

David Lynch to wyjątkowa persona łódzkiego Camerimage. W tym roku – jako gość specjalny – otrzymał z rąk ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego medal „Zasłużony dla kultury polskiej”.

Potwierdzeniem słuszności przyznania mu wyróżnienia jest wystawa prac malarskich i fotografii tego wybitnego reżysera, eksponowana w galerii „Atlas Sztuki”. 10 obrazów i 30 czarno-białych zdjęć dodaje splendoru tegorocznemu festiwalowi. Nie są to w żadnej mierze prace amatora. Lynch studiował malarstwo w Bostonie, Filadelfii i Waszyngtonie. Analogia motywów i symboli występująca zarówno w jego obrazach, jak i w filmach jest widoczna od razu. Bez konieczności stosowania pogłębionej analizy formalnej. Oniryczne, tajemnicze, chaotycznie zakomponowane obrazy nie dają się logicznie zanalizować. Pozostają w tych rejonach percepcji, w których interpretacja zaświadcza tylko o sile wyobraźni. Z tych pomrocznych obrazów tchnie jakiś niepokój. Wrażenie sennego deja vu. Znajdujące się na wystawie zdjęcia powstały w czasie pierwszego pobytu Lyncha w Łodzi. Przedstawiają kobiece akty, oraz poprzemysłową architekturę łódzką. Umiejętne operowanie światłocieniem nadaje im charakter głębokiej asocjacji formy – w przypadku aktów, i przestrzeni – w odniesieniu do zdjęć architektonicznych.

Przyjazd Davida Lyncha do Łodzi jest wielką akcją promocyjną dla miasta. Tanią, bo wykorzystującą środki przeznaczone na Camerimage. Skuteczną, bo zasięg kampanii jest ogromny. Potrzebną, bo Lynch wciąż jest bardziej znany od Łodzi. I nawet, gdy szczególną predylekcją obdarza on Grażynę Torbicką, to trzeba pamiętać, że robi to w Łodzi.

Najstarszym festiwalem operatorskim świata jest International Film Camera Festival „Manaki Brothers”. Ta macedońska impreza odbyła się w tym roku – w Bitoli – po raz dwudziesty czwarty. Dla istnienia Camerimage nie ma to żadnego znaczenia. Poczucie organizatorów, że jest to „jedyne taki festiwal na świecie” jest w pełni uzasadnione. I daje się logicznie wytłumaczyć. Polski festiwal jest przede wszystkim celebracją sztuki filmowej, której niezbywalnym, ważnym i pełnoprawnym elementem jest praca operatora. Generalia tak konstruowanej formuły „misterium obrazu” są bardzo wysokie. W tym znaczeniu, że wartość myśli wprowadzonej w czyn staje się doświadczeniem jednostkowym i społecznym zarazem.

Bo jeśli jakaś myśl warta jest, by ją wypowiedzieć, to warta jest też tego, by ją powtórzyć. Camerimage jest – jak mawiają Francuzi – hors concours.

Marek Strąkowski

Historia kultury i tolerancji

Teatr żydowski w Łodzi /cz. I/

Pierwsze udokumentowane żydowskie przedstawienia w Łodzi miały miejsce w marcu roku 1868, a więc dwadzieścia cztery lata od czasu, gdy do miasta po raz pierwszy zawitała polska trupa teatralna Ignacego Marzantowicza. Były to występy pięcioosobowego zespołu „śpiewaków żydowskich z Brodów we wspaniałych komicznych sztukach”, jak donosiła „Lodzer Zeitung”, nie podając niestety nazwisk wspomnianych artystów. Spektakle dawane były w językach żydowskim i niemieckim w sali „szynku tronków” Andreasa Fishera, na ulicy Średniej 413 (obecnie Pomorskiej). Lokal ten przylegał do Starego Miasta, będącego głównym skupiskiem Żydów w Łodzi. Skupiskiem niebagatelnym, stanowiącym w tym czasie ponad 21 procent ludności miasta.

Występy śpiewaków widać zaostrzyły teatralne apetyty tej społeczności, bowiem kolejny zespół żydowski – trupa aktorów z warszawskiego Muranowa – zawitał tu już w styczniu następnego roku. Tym razem, dzięki szczegółowej notatce z „Kuriera Warszawskiego” znamy zarówno nazwiska twórców przedstawień, jak i prezentowany przez nich repertuar. Dekoratorem był Michał Groński z Teatrów Rządowych, dyrygentem orkiestry i chórów – Jankiewicz, zaś kostiumy pochodziły z pracowni Schlachtera. „Na pierwsze przedstawienie w dniu 19 bm. dany był utwór liryczny pt. *Zbawienie Izraelitów z niewoli egipskiej czyli Mojżesz*, na drugie zaś, które miało miejsce nazajutrz, wykonano misterię: *Jakub i jego synowie*”.

Szczegółowe śledzenie wszystkich przedstawień teatru żydowskiego utrudnia brak wielu roczników łódzkich gazet. Wiemy jednak, że były to spektakle różnego typu odbywały się często i dość regularnie. Żydzi okazali się publicznością wdzięczną i żywo teatrem zainteresowaną. Tłumnie przybywali, szczerze wypełniając restauracje i piwiarnie, w których odbywały się spektakle. Warto wspomnieć, iż spośród Żydów wywodziła się również znacząca część widowni przedstawień polskich.

„Miasto przeważnie żydowskie”

Prawdopodobnie pierwszym żydowskim artystą, który zagrał w Łodzi na deskach prawdziwego teatru był nadkantor Levi Weiss z Warszawy. Wraz z zespołem wyszkolonych przez siebie śpiewaków wystąpił w roku 1877 w sali otwartego jedenaście lat wcześniej teatru Sellina, przy ulicy Konstantynowskiej 14 (obecnie Legionów). Zaprezentował wtedy śpiewy synagogalne oraz utwory Haydna, Haendla, Beethovena i Mendelsoona. Wydarzenie to przetrąciło szlaki innym zespołom żydowskim, które odtąd

niejednokrotnie gościli w tym teatrze. W 1879 występował tam „polsko-niemiecki kwartet żydowski z Warszawy”, a od 1881 przedstawienia dawał „niemiecko-żydowski sekstet”.

Równolegle w budynku teatru Victoria (przy ulicy Piotrkowskiej 67), będącym siedzibą aktorów polskich, w roku 1881 wystąpiła słynna niemiecko-żydowska trupa dramatyczna Jakuba Spiwakowskiego i Jakuba Adlera. Zespół ten zaprezentował co najmniej siedemnaście przedstawień, głównie dramatów Abrahama Goldfadena. Największym powodzeniem cieszył się jednak utwór Lateinera „Der Damon” („Diebik”), który odegrano aż (*sic!*) cztery razy. Informacja ta wiele mówi nam o specyfice ówczesnego teatru, który aby zapewnić sobie przychyłność publiczności musiał przygotowywać nawet i trzy premiery tygodniowo.

Dwa lata później zawiązała do miasta trupa prowadzona przez Józefa Wajnsztoka, lokując się w największym z ówczesnych łódzkich teatrów – otwartej w 1882 niemieckiej Thalii. Zajmowanie przez artystów żydowskich coraz większych sal teatralnych najlepiej chyba świadczy o wzrastającej popularności ich przedstawień. Zespół ten musiał jednak wkrótce zaniechać występów, z powodu wydanego w lipcu 1883 roku zakazu wystawiania spektakli żydowskich w Cesarstwie Rosyjskim.

Tymczasem ludności żydowskiej w Łodzi przybywało, co więcej, stawała się ona zamożniejsza, nabierała coraz większego znaczenia. „Kurier Codzienny” w 1880 roku stwierdził nawet, iż „dziś Łódź jest miastem przeważnie żydowskim”. Dla polskiej inteligencji, która stanowiła zdecydowaną mniejszość w tym wielonarodowym mieście, kluczową kwestią stała się więc asymilacja Niemców i Żydów. Niechętnie witano więc poczynania podtrzymujące odrębność kulturową Żydów.

Zamiast nauki, postępu – pisał z uszczypliwą ironią Kościelecki w „Dzienniku Łódzkim” – zamiast kółek, w których przyswajano by sobie obyczaje gładkie, z każdym dniem przybywa miasteczku nowy instytucik, służący sprawie wyodrębnienia. To cukiernia koszerna, to restauracja, wędliniarnia, wreszcie zawiązał teatr koszerny, zrozumiały li dla garstki wybranych. Co prawda, garstka ta nader jest liczna – jest to garść potężna i zdaje się, dość silna, by oprzeć się wszelkim wpływom współwznowców postępowych.



Teatr koszerny

Organem silnie zaangażowanym w tę antyseparatystyczną akcję był cytowany „Dziennik Łódzki” z Łucjanem Kościeleckim, felietonistą i recenzentem, na czele. Przy czym Kościelecki w swym zaangażowaniu wykraczał poza słowa i puste deklaracje – w roku 1888 został dyrektorem i założycielem pierwszej stałej sceny polskiej w Łodzi.

Właściwie trudno mówić w związku z tą kampanią o antysemityzmie, Polakom-patriotom chodziło jedynie o polonizację Łodzi, „nawrócenie” Żydów na język polski (wedle określenia Kościeleckiego – na „ludzką mowę”), zapoznanie ich z „dobrodziejstwami oświeconej kultury polskiej”, słowem – o ujednoczenie narodowe, jednak z zachowaniem odrębności religijnej. Nie obyło się jednak bez pewnej formy pogardy i lekceważenia dla kultury żydowskiej – jidysz nazywano powszechnie „językiem żargonowym”, od którego to określenia wysnuwano kolejne, równie pejoratywne: „artystów żargonowych”, „operetek żargonowych” itd.

Solą w oku redakcji „Dziennika Łódzkiego” były, jak łatwo przewidzieć, żydowskie przedstawienia dramatyczne. Wszak teatr stanowił wówczas najżywiej oddziałujące, najsilniej opiniotwórcze medium. Tymczasem żydowskie spektakle nie tylko odciągały widzów od teatru polskiego, lecz także utwierdzały ich w przekonaniu, że jidysz jest w stanie sprostać artystycznym wymogom sztuki scenicznej.

Jak zauważa badaczka teatru, prof. Anna Kuligowska-Korzeniewska: *„Przychylny stosunek do artystów żydowskich Dziennik Łódzki okazywał tylko wówczas, gdy szło o występ na cel dobroczynny”.*

Kampania skierowana przeciwko żydowsko-niemieckiemu teatrowi z lubością wytykała wszelkie niedociągnięcia i braki artystyczne obcojęzycznym aktorom i przedstawieniom. Nie cofała się też przed podkreślaniami, a może i wyolbrzymianiami, najmniejszych nawet awantur i „afer”, jakie miały miejsce wśród „nieoświeconej” widowni podczas ich występów.

Ogromne ubolewanie Kościeleckiego wzbudzał fakt, iż cieszące się niesłabnącym powodzeniem spektakle żydowskie podtrzymywały nie będąc w stanie utrzymać się samodzielnie scenę niemiecką. W roku 1886 sala teatru Sellina okazała się ostatecznie za mała dla potrzeb żydowskich przedstawień, więc występująca ówczesnie w Łodzi trupa Goldfadena przeniosła się do obszerniejszej Thalii:

„Operetka żargonowa płaci teatrowi magdeburskiemu dobre komorne za odstąpienie trzech wieczorów tygodniowo, a publiczność uczęszczająca na przedstawienia operetki żargonowej płaci, pośrednią drogą, przyzwoitą subwencję teatrowi niemieckiemu” – narzekał Kościelecki.

Tymczasem również Puchniewski, atreprener zespołu polskiego, aby ratować się przed plajtą zaprosił do teatru Victorii „towarzystwo komików charakterystycznych” Natana Szwarca, które odtąd ku ogromnemu oburzeniu „Dziennika Łódzkiego” i samego Kościeleckiego, prezentowało w języku niemieckim i „żargonowym” wokalno-farsowe scenki w antraktach polskich komedii.

Jednakże kiedy w roku 1888 Łucjan Kościelecki zainaugurował powstanie stałej sceny polskiej, *nota bene*, przedstawieniem „Małżeństwo Apfel” Zalewskiego, wśród pełnego entuzjazmu szumu informacyjnego zarówno „Dziennik Łódzki”, jak i postępowo-asymlacyjny „Izraelita” „nie odnotowały istotnego faktu, że Kościelecki nie był jedynym użytkownikiem gmachu Victoria. Gościł tu również zespół żydowski Jakuba Adlera i Abrahama Izaaka Tancmana. Szczegółowe informacje o pobycie żydowskich twórców zawdzięczamy gazetom niemieckim. Wiemy więc, iż wystawiali m.in. sztuki: „Katorschnik” Szajkiewicza, „Uriel Acosta” Gutzkova, „Kabcenzon i hungerman” Goldfadena – ta ostatnia cieszyła się największym powodzeniem. Zespół grywał w poniedziałki i środy – w dni, kiedy budynek Victorii „i tak stał na ogół pusty”.

Pierwsza w Polsce stała scena

Na przełomie XIX i XX wieku Łódź po raz kolejny odwiedził Jacques Śpiewakowski (Jakub Śpiewakowski), tym razem z zespołem operetki. Jednak prawdziwie istotne wydarzenie dla historii teatru żydowskiego miało miejsce w roku 1905 – w gmachu Teatru Wielkiego (Konstantynowska 14). Otwarty został stały teatr żydowski pod dyrekcją Icchoka Zandberga. Było to przedsięwzięcie niezwykle udane, jakim nie mogło pochwalić się ówczesnie żadne inne miasto Polski. Zandberg kierował teatrem nieprzerwanie przez dziesięć lat, aż do swojej śmierci w 1915 roku. Rozmiary łódzkiego sukcesu podkreśla chociażby fakt, iż teatr żydowski z powodzeniem użytkował salę Teatru Wielkiego liczącą 1250 miejsc na widowni, którą przedstawieniom zespołu polskiego udawało się zapełniać jedynie w niedzielne popołudnia. Warto zaznaczyć, iż w tym okresie Łódź zamieszkiwało sto pięćdziesiąt tysięcy Żydów, stanowiących jedną trzecią mieszkańców miasta.

Prowadząc teatr z prawdziwego zdarzenia, Zandberg zastąpił dominujące dotąd niemiecko-żydowskie programy składane z luźno powiązanych numerów, przez przedstawienia pełnospektaklowe. Najchętniej wystawiał ulubione przez publiczność operetki, melodramaty i komedie. Były to zarówno tłumaczone na jidysz popularne utwory francuskie i niemieckie, jak i oryginalne operetki żydowskie np. Tomaszewskiego „Die jüdische Kron” i „Der polonische Jude”, czy operetki historyczne „König Ahaswer” (grana w czasie święta Purim) i „Sulamith” Goldfadena.

Wszystko odbywało się z pompą i splendorem, podobnie jak w polskich teatrach narodowych: widzowie adorowali ulubionych aktorów-gwiazdorów, najpopularniejsze szlagiery powtarzano na życzenie publiczności. Oprócz operetek dużym powodzeniem cieszyły się sztuki ukazujące tradycję, folklor żydowski, rolę rodziny, poczucie nieuchronności losu, czy motyw wiecznej tułaczki. Zandberg nie cofał się również przed wprowadzaniem do repertuaru największych sztuk teatru europejskiego tłumaczonych na jidysz. Były wśród nich: „Medea” Eurypidesa, „Żywy trup” Tołstoja, czy „Dama kameliowa” Aleksandra Dumasa.

Aktorami występującymi w zespole Zandberga przez wiele lat byli m. in. Schapiro, Krauze, Zasławski, oraz kobiety: Sierocka, Meiersohn, Fibich, Sulewicz. Trudno wyrokować nam o stopniu w jakim opanowali oni sztukę aktorską, gdyż przekazy prasowe dotyczące ich gry są niewielkie i trudne do zweryfikowania. Sam Zandberg, wcześniej znakomity aktor charakterystyczny i komediowy zespołów wędrownych, po objęciu dykcji teatru żydowskiego występował na scenie jedynie w trakcie corocznych beneficjów.

O znaczeniu i popularności teatru Zandberga najlepiej zaświadcza fakt, iż często zjeżdżali do Łodzi niewybitniejsi artyści żydowscy z całego świata: w roku 1908 przybyło na gościnne występy słynne Orpheum-Gesellschaft z Wiednia, w 1913 m.in. Borys Tomaszewski, rok później amerykańska aktorka żydowskiego pochodzenia – Malwina Lobel, Moris Wachsman z Londynu oraz wielu innych.

Zainteresowanie łódzkim teatrem żydowskim było tak duże, że już w roku 1912 mogła tu z powodzeniem działać kolejna stała scena żydowska – w nowo powstałym budynku teatru Scala, przy ulicy Cegielnianej 18 (obecnie Więckowskiego 15), prowadzona przez Juliusza Adlera i Hermana Sierockiego.

Po śmierci Zandberga 24 czerwca 1915 roku nastąpiła krótka, kilkumiesięczna przerwa w działalności Teatru Wielkiego. Wkrótce dyrekcję objął Moris Wachsman, który wznowił przedstawienia już w grudniu tego roku.

Podczas I Wojny Światowej okupacyjne władze niemieckie popierały działalność Teatru Wielkiego. Przyznały mu nawet zapomogę wysokości 1500 marek, w zamian za co dyrekcja musiała rezerwować na widowni miejsca dla wojskowych i urzędników. Dzięki przekazom polskiej prasy wiemy jednak, iż zespół żydowski dawał dowody swego związku z Polakami – na swój beneficj w 1916 roku Wachsman wybrał „Berka Joselewicza” Parwiego – sztukę, w której sam odegrał główną rolę. Niestety nie wiemy, kto w przedstawieniu tym odtworzył postać Kościuszki.

Agata Skrzypek
– studentka kulturoznawstwa UŁ
na wydziale: teatrologia.

NA PODSTAWIE

Anna Kuligowska, Pierwsze przedstawienia żydowskie w Łodzi, w: „Pamiętnik Teatralny” 1992, z. 1-4, s. 391-415

Małgorzata Leyko, Teatr Icchoka Zandberga w Łodzi, w: „Teatr żydowski w Polsce”, red. Anna Kuligowska-Korzeniewska

Wielkie studio małych form

Semafor

„Semafor” był dla Łodzi ważnym elementem w maszynerii znanej powszechnie pod nazwą „Łódź filmowa”. Dlaczego? Bo powstał w tym mieście, bo wykreował wielu wspaniałych realizatorów, bo rodził się niemal z niczego tuż po zakończeniu drugiej wojny światowej.

Trudno jest jednoznacznie określić datę powstania „Semafora”. Oficjalnie był to rok 1961, chociaż wielu spośród późniejszych realizatorów pracowało „nieoficjalnie” znacznie wcześniej. W 1945 roku w Wytwórni Filmowej Wojska Polskiego Maciej Sieński zrealizował krótki, dźwiękowy, czarno-biały film rysunkowy pt. **Reklama reklamy** i był to pierwszy powojenny polski film rysunkowy. Niestety, jego kopia już nie istnieje. Pierwsze zamierzenia realizacyjne miały również miejsce w prywatnych mieszkaniach, w prymitywnych warunkach bez odpowiedniego wyposażenia technicznego. Niemniej upór i poświęcenie z jakim te pierwsze próby podejmowano, mogą obecnie budzić tylko podziw i szacunek. W ten sposób po wojnie zaczynał swoje realizacje plastyk i satyryk Zenon Wasilewski człowiek, który wniósł ogromny wkład w powstanie polskiego i łódzkiego filmu animowanego – szczególnie lalkowego. To właśnie u siebie w mieszkaniu, w Łodzi, przy ul. Radwańskiej urządził ministudio filmowe. Powstało w nim prawdziwe dzieło, sztandarowa baśń z polskiej prehistorii **Za króla Krakusa**. Początki tego filmu sięgają jeszcze okresu przedwojennego. Wybuch wojny przerwał prace nad projektem, do realizacji którego artysta wrócił już po zakończeniu okupacji. Premiera miała miejsce jesienią 1947 roku. Obraz ten był wielokrotnie nagradzany. O mistrzostwie jego twórcy niech świadczy fakt, że jedną z ostatnich nagród film został uhonorowany jeszcze dwadzieścia pięć lat po zakończeniu jego realizacji.



Wiosną 1946 roku Wydział Programowy „Filmu Polskiego” organizuje Studio Filmów Rysunkowych, w którym Maciej Sierński przystępuje do realizacji kolejnego swojego filmu pt. **Lis Kitaszek**. Do współpracy przy jego realizacji reżyser zaprosił Jana Brzechwę. W roku 1946 zostaje powołane do życia Studio Filmów Kukiełkowych, które następnie w 1950 roku zostaje włączone do Wytwórni Filmów Fabularnych. W roku 1953 studio zostaje przeniesione do Tuszyna pod Łodzią. Tam już na stałe odnajduje swoją siedzibę.

Właściwie w pierwszych latach pięćdziesiątych jedynym realizatorem filmów lalkowych był Zenon Wasilewski. Dołączyli do niego również inni twórcy, przede wszystkim spółka autorska – scenograf Halina Bielińska i reżyser Włodzimierz Haupe. Ich dziełem są – między innymi – takie filmy jak: **Ślimak Niecnota**, **Opowiadania Księżycy**, **Janosik** i oczywiście **Wawrzyńcowy sad** – pierwszy polski barwny film lalkowy.

Oprócz nich debiutują: Edward Sturlis – pierwszy asystent Zenona Wasilewskiego – filmem **Kocmołuszek**, Teresa Bodzian filmem **Niezwykła podróż**.

Nie da się uciec od kontekstu politycznego tego okresu. Film animowany starano się zaangażować społecznie i politycznie na rzecz agitacji i propagandy. Zrezygnowano z tej koncepcji uznając, iż groteskowy język filmu animowanego jest za mało poważny w stosunku do potrzeb propagandy i wagi poruszanych problemów. Ustalono, że film animowany powinien stanowić głównie dydaktyczną rozrywkę dla dzieci. Miał służyć jako narzędzie kształtowania społecznych i moralnych poglądów dziecka. Taką rolę przypisano filmowi animowanemu ograniczając jednocześnie samodzielność twórców. Równocześnie w powszechnym użyciu znalazło się określenie „formalizm”, miało ono odniesienie do wszystkiego, co było trudniejsze w odbiorze, bardziej nowatorskie, odbiegające od tradycyjnych schematów. Ofiarą tego trędu padł sam Zenon Wasilewski. Jego film **Pan Piórko śni** z 1949 roku został potępiony za formalizm. Przyczyną była chęć przeniesienia ciężkości w filmie na zwiększenie własnej wypowiedzi artystycznej kosztem naturalności obrazu. Artysta bardziej oparł się na właściwościach fizycznych tworzywa, mniej na jego naturalistycznym posłannictwie. Efektem był konflikt z władzami kinematografii i dwuletnia przerwa w realizacji filmów. Po okresie „banicji” wrócił do realizacji animacji lalkowych. Stworzył bardzo udaną serię filmów sięgających do wątku ludowego. Otwierała ją **Opowieść Miczałkowicka** z 1954 roku – pierwszy barwny film Zenona Wasilewskiego.

Większość filmów lalkowych z tego okresu to były produkcje autorskie. Natomiast filmy rysunkowe stanowiły głównie produkt pracy zespołowej.

1 stycznia 1956 r. Oddział Filmów Lalkowych Wytwórni Filmów Fabularnych w Tuszynie, przekształcony został w Studio Filmów Lalkowych.

Natomiast w 1959 Studio Filmów Lalkowych zmieniło profil produkcji i obok filmów lalkowych rozpoczęło w nim produkcję krótkich filmów aktorskich, kombinowanych

i wycinankowych. Nowa sytuacja spowodowała konieczność zmiany nazwy instytucji. Rozpisano konkurs, w wyniku którego od 1961 roku przyjęto nazwę, która jest powszechnie znana do dziś: Studio Małych Form Filmowych „Semafor“ które, obok atelier w Tuszynie dysponowało również pracownią filmów rysunkowych i wycinankowych w Łodzi. W tym okresie nastąpiło gwałtowne zwiększenie produkcji. Przykładowo – w 1959 roku zostało zrealizowanych dziesięć filmów, a już w 1962 było ich trzydzieści. Przez Studio przewinęło się wielu znanych reżyserów. Między innymi sam Roman Polański który, próbował za prywatne pieniądze zrealizować tu swój film. Z pieniędzmi nie było problemu, ale to nie była jeszcze doba prywatyzacji i takie działania po prostu nie mieściły się w decydenckiej głowie. W końcu udało mu się skończyć w „Semaforze“ swoje **Ssaki** – film, który zdobył wiele nagród. Zdobywcami laurów i wyróżnień były również takie filmy jak: **Fotel** Daniela Szczechury, **Kwartecik** Edwarda Sturlisa, **Dick**



i jego kot Tadeusza Wilkosza czy **Wszystko jest liczbą** Stefana Schabenbecka. *Notabene* dzieło Daniela Szczechury jest jednym z najbardziej wyróżnionych pod względem ilości nagród, wśród filmów zrealizowanych w „Semaforze“. W tym czasie debiutuje również Janusz Morgenstern, za swój **Ambulans** otrzymuje nagrodę w San Francisco. Natomiast Edward Sturlis eksperymentuje w swoim kombinowanym aktorsko – rysunkowym filmie pt. **Plaża**, ożywiając tatuaże na ciele Piotra Skrzyneckiego – założyciela krakowskiej „Piwnicy Pod Baranami“.

Lata sześćdziesiąte to burzliwy rozwój nowego medium – telewizji. Telewizja ma jednak swoje prawa i swoje wymagania. Jest to zupełnie nowa jakość przekazu i trzeba się do tego dostosować. Ważniejszy od zamysłu autora i indywidualizmu jego wypowiedzi staje się widz i jego nierozbudzone oczekiwania. Rodzi się konieczność realizacji seryjnych. Prekursorem w tej dziedzinie była Jadwiga Kędzierzawska. Jej film pt. **Murzynek** stał się pierwszym serialowym dokonaniem, które doceniło jury festiwalu w Wenecji, przyznając mu główną nagrodę. Prób serialowych było kilka, jednak dopiero **Klub profesora Tutki** spowodował, że mogliśmy go określić mianem serialu. Mieliśmy tu wszystko: plejadę aktorskich gwiazd, muzykę Komedy i autora pierwowzoru literackiego Jerzego Szaniawskiego. Były jeszcze wycinankowe **Przypadki Gapiszona** i niezbyt udane rysunkowe **Przypadki Otki** – bohatera ostatniej strony „Przekroju“. Pomimo faktu, że scenarzystą tego filmu był znany karykaturzysta Eryk Lipiński, to niestety postać Otki przeniesiona na ekran zatraciła całkiem swój niezrównany dowcip. Pierwszą serialową „lokomotywą“ stał się natomiast bardzo dobrze przyjęty, rysunkowy **Zaczarowany ołówek**.

Ponieważ Studio zostało odgórnie zobligowane do tego, aby w siedemdziesięciu procentach realizowane tutaj produkcje były filmami dla dzieci, w krajobraz tych siedemdziesięciu procent wpisywały się również animowane seriale. I chyba nie ma osoby, która nie znałaby przynajmniej kilku z przytoczonych poniżej serialowych tytułów wyprodukowanych w „Semaforze”. Te najważniejsze – oprócz już przytoczonych – to: **Kolorowy świat Pacyka, Mały pingwin Pik – pok, Przygody skrzatów, W krainie czarnoksiężnika Oza, Ferdynand Wspaniały, Trzy Misie, Jeż Kleofas, Klechdy polskie, Opowiadania Muminków, Przygód kilka wróbla Ćwirka, Przygody Misia Colargola, Przygody kota Filemona, Mordziakowie** i oczywiście **Miś Uszatek**. W „Semaforze” powstała również, zrealizowana pod kierunkiem Stanisława Lenartowicza animacja, składająca się z kilkudziesięciu filmików do polskiej wersji „Ulicy Sezamkowej”.

Filmy seryjne pozwalały głównie wykonywać plany produkcyjne, natomiast sami realizatorzy starali się unikać uczestnictwa przy ich realizacji, gdyż tego typu produkcja znacznie ograniczała ich inwencję twórczą. Krępująca reżyserów konieczność stałego podporządkowywania się ogólnej koncepcji serii, wykluczała możliwość eksperymentu i tworzenia filmów o szczególnych walorach artystycznych. Jest więc regułą, że filmy danej serii realizowało kilku czy nawet kilkunastu reżyserów; każdy od jednego do kilku odcinków.

W 1974 roku ukończono prace nad ostatnim odcinkiem „Przygód Misia Colargola”. W 1976 Tadeusz Wilkosz zrealizował, w oparciu o istniejące materiały, pełnometrażowy film pt. **Colargol na Dzikim Zachodzie**. Był to pierwszy polski pełnometrażowy film animowany.



Produkcje serialowe stanowiły podstawę produkcyjną studia, ale pozostawało jeszcze trzydzieści procent swobody. Realizatorzy wykorzystywali je na własne produkcje autorskie. Owocowało to wieloma zdobytymi nagrodami. Nie do przecenienia jest współpraca „Semafora” z Państwową Wyższą Szkołą Filmową Telewizyjną i Teatralną. Wielu absolwentów tej szkoły miało swoje debiuty właśnie w „Semaforze”. Prowadzony przez Józefa Robakowskiego Warsztat Formy Filmowej dał szansę na debiut i eksperyment m.in.: Ryszardowi Waśce, Kazimierzowi Bendkowskiemu

czy Zbigniewowi Rybczyńskiemu – późniejszemu twórcy oskarowego **Tanga**. Rybczyński w zrealizowanym w Studiu swoim dyplomowym filmie **Plamuz**, zastosował nowatorskie jak na tamte czasy efekty wizualne. Towarzyszyły one sfilmowanemu koncertowi Zbigniewa Namysłowskiego.

Skąd brali się realizatorzy tworzący swoje prace w łódzkim „Semaforze”? Jak do niego trafiali? Jakie mieli wykształcenie? Otóż najczęściej byli to absolwenci „łódzkiej filmówki”. Wymieńmy przykładowo. A więc: Janina Hartwig, realizująca swoje filmy w oparciu o polskie podania i legendy **Co wiemy o Popielu**, Jadwiga Kędzierawska, podpatrująca świat dziecka **Małe smutki**, Stefan Schabenbeck i jego głośny debiut **Wszystko jest liczbą** (jako jedyny przedstawiciel animacji otrzymał prestiżową nagrodę im. Andrzeja Munka), Stanisław Lenartowicz, twórca **Kalewala** – serialu opartego na fińskim eposie narodowym. Kolejnym ważnym „źródłem”, z którego wywodzili się realizatorzy „Semafora”, były szkoły plastyczne. Do tego grona możemy zaliczyć: Alinę Kotowską (krakowska ASP) – realizatorkę filmów z wielu seriali „Semafora”, podobnie jak Dariusza Zawilskiego (łódzka PWSSP), Hieronim Neumann – asystent Rybczyńskiego **5/4**, Piotr Dumala (warszawska ASP) – zrealizował kilka bardzo udanych filmów, a jego **Ściany** to oprócz „Fotela” i „Tanga” były najbardziej nagradzonym filmem z łódzkiego Studia. To także plastyk Marek Skrobecki i jego interesujący **Dim**, w którym ożywił kukły wielkości dorosłego człowieka.

To właśnie filmowi zrealizowanemu w tym Studiu jako pierwszemu – i jak do tej pory jedynemu dziełu polskiej kinematografii – Amerykańska Akademia Filmowa przyznała najbardziej prestiżową nagrodę w świecie filmowym – statuetkę „Oskara”. Uhonorowano tak „Tango” Zbigniewa Rybczyńskiego. Ale, aby lepiej zrozumieć „Semafora” musimy się odnieść do specyfiki realizacyjnej produkowanych tutaj filmów. Co to jest animacja? Animacja to specjalny proces „ożywiania” statycznych przedmiotów w filmie. Animacja daje nam złudzenie ruchu. Wyobraźmy sobie, że mając aparat na statywie robimy zdjęcie jakiegoś przedmiotowi, lekko zmieniamy jego położenie robimy kolejne i tak dwadzieścia cztery razy. I co otrzymujemy? Jedną sekundę filmu, w którym nasz przedmiot pozornie ożywił się. Tak w dużym uproszczeniu pracują realizatorzy ambitnych filmów animowanych. Stosując metodę zdjęć poklatkowych uzyskują nieograniczone możliwości „ożywiania” dowolnego przedmiotu na ekranie w sposób zupełnie dowolny. I to stanowi specyfikę realizacyjną filmu animowanego i to wyróżnia go od innych gatunków filmowych. Animować możemy właściwie każdy przedmiot. W filmie Włodzimierza Haupego pt. „Zmiana warty” było to pudełko od zapalek, u Tadeusza Wilkosza w filmie „Worek”, przedmioty codziennego użytku domowego, Danuta Adamska – Strus w filmie „Przygody Kreski”, „używała” soli. O tym jak ogromnej cierpliwości wymaga realizacja tego typu filmów, wiedzą najlepiej sami realizatorzy. My widzowie podziwiamy już tylko końcowy efekt.

Byli również realizatorzy swoje korzenie wywodzący z teatru lalek: Lucjan Dembiński – jeden z pierwszych realizatorów „Misia Uszatka” i Lidia Hornicka, laureatka nagrody im. Zenona Wasilewskiego – w pierwszej edycji tego konkursu. Z „Semaforem” współpracowali też największego kalibru kompozytorzy: Stanisław Wisłocki, Grażyna Bacewicz, Henryk Mikołaj Górecki, Krzysztof Penderecki, Zygmunt Konieczny, Jan Kanty Pawluśkiewicz. Klasykę polskiego jazzu reprezentowali min. Jerzy Matuszkiewicz, Krzysztof Komeda, Tomasz Stańko, Zbigniew Namysłowski, Urszula Dudziak, Michał Urbaniak. Kompozytorem najbardziej związanym z Semaforem był Piotr Hertel. Jego nazwisko łączy się z tym Studium od ponad czterdziestu lat.

Niestety, ostatnie lata nie były dla „Semafora” łaskawe. Podobnie jak dla pozostałych łódzkich wytwórni filmowych. Państwo zakończyło lub bardzo poważnie ograniczyło swój mecenat i zwyczajnie zaczęło brakować środków na prowadzenie działalności. Studio uległo przekształceniu w spółkę, musiano sprzedać znaczną część obciążającego je majątku. Jaka jest przyszłość? Trudno dać jednoznaczną odpowiedź. Obecnie to telewizja jest największym źródłem finansowania produkcji filmowej i to od niej w głównej mierze zależy egzystencja takiego studia jak „Semafor”. Dochodzi jeszcze do tego konkurencja w postaci innych prywatnych nowootwartych studiów, import animacji seryjnej – szczególnie dla dzieci, coraz większy udział animacji komputerowej. Czy jest to w takim razie zmierzch animacji klasycznej? Wszystko zależy od telewizji i przypisanej jej ustawowo kulturotwórczej roli w promowaniu wartości „wyższych”. Pomijając jakiegokolwiek wartości, chyba nikogo nie trzeba przekonywać, że o wiele bezpieczniej jest zostawić dziecko pod opieką „Misia Uszatka”, niż importowanych koszmarków. Wtedy będziemy mogli być spokojni, że nie zniknie z mapy Łodzi Wielkie Studio Małych Form.

*Darek Kędziński
– ekonomista;*

były pracownik działu produkcji filmowej w WFO.

PRZYPISY

- „Polski film animowany 1945 – 1974” – Andrzej Kossakowski, Ossolineum 1977
- „Film animowany” – materiały: Zbigniew Ślęzakowski, Wa-wa 1980
- „Znajomi z kina...” – Alicja Iskierko, Wa-wa 1982
- „Semafor 1947 – 1977” – Antoni Bańkowski i Sławomir Grabowski, „Semafor” Łódź 1999

Moda.com.pl – „Zamiast produkcji Łódź eksportuje dziś myśl”

*Z Andrzejem Wrześniem
rozmawia Marek Strąkowski*

Marek Strąkowski:
Zacznijmy od tego, z czego to co jest
powstało.

Andrzej Wrześni: Niech tak będzie. Oto początek mojej historii z fotografią. W 1963 roku dostałem od ojca aparat fotograficzny. O ile pamiętam, przyrząd ten nie zrobił na mnie specjalnego wrażenia. Właściwie zapomniałbym o nim, gdyby nie przypadek, który wydarzył się kilka dni później podczas rodzinnego spaceru. W parku obok wytwórni filmowej, spotkaliśmy asystenta reżysera, który namówił mojego ojca, abym statystował przy realizowanym filmie dla dzieci. Tak więc znalazłem się na planie filmowym. Zobaczyłem tam aktorów, reżysera i operatora filmowego. Ten ostatni wydał mi się najważniejszą postacią w całej ekipie, kiedy krzyczał: „a teraz zrobimy fotos!” Wtedy wyjmował aparat, wszyscy nieruchomieli i zapadła cisza, a on robił „fotos”. Od tamtego czasu prawie codziennie robiłem zdjęcia. Fotografowałem, bo chciałem fotografować.



Witkacy mawiał, że zdjęcie to jest wynik patrzenia okiem przez szkiełko. Moholy-Nagy twierdził, że to odwzorowanie rzeczywistości plus światło. Czym jest dla Pana odbitka fotograficzna?

Zdjęcie jest dla mnie przede wszystkim nośnikiem informacji. Jest komunikatem. Bywa też źródłem wiedzy. Siła fotografii polega bowiem na tym, że z czasem staje się dokumentem. Wtedy takie zdjęcie ma już tylko walor historyczny, poznawczy. Na fotograficznym papierze zostaje pamięć o nieistniejących już domach, ludziach, ulicach. Nie wiem czy stwierdzenie, że fotografia przywraca pamięć jest uprawnione, ale na pewno pozwala pamiętać. Wszelkie działania fotograficzne, które stosują „przyjemną emanację” mnie rażą. Czasami mam wręcz opór przed rejestrowaniem okiem obiektywu „obiektywnej prawdy” o świecie.

John Caplans postawił pytanie: kiedy zdjęcie jest prawdziwe? Wtedy, gdy jest bardziej autentyczne, czy wtedy gdy jest bardziej sztuczne? Jaka jest Pana opinia?

To pytanie z kategorii wartości pojęciowych. Zapytajmy inaczej: co jest fotograficzną rzeczywistością? Kiedy fotografujący doświadcza przejawów tej rzeczywistości i jakie są walory emocjonalne postrzeganych przez niego obiektów? Za sprawą fotochemii zdjęcie staje się prawdziwe wtedy, kiedy jest efektem całkowitej realizacji zamierzenia autorskiego. Niezależnie od tego czy jest to fotografia inscenizowana czy naturalistyczna. Tak więc fotograficzna rzeczywistość znajduje się na pograniczu fotografii i życia. Nie da się rozdzielić tych dwóch kategorii bez odarcia fotografii z szczerości, wiarygodności, namiętności. Robić zdjęcia trzeba z pasją. Wtedy pytanie o prawdziwość fotografii staje się bezzasadne. Bob Dylan wyraził to kiedyś krótko: „... jeżeli masz w ręce nóż i widelec, to musisz w końcu coś przekroić.”

Czy łódzkie podwórka i ulice to dobry temat fotograficzny?

Łódź jest trudna do fotografowania. Ta ciężkość gatunkowa wyzwala jednak większą determinację i potrzebę twórczego poszukiwania. Lubię to miasto. Rosłem razem z nim. Obserwowałem i obserwuję zachodzące w nim zmiany. Nie poprzestaję jednak na utrwalaniu obserwowanych zjawisk. Miejsca, które fotografuję trudno byłoby nazwać efektownymi, ale te miejsca zawierają w sobie jakąś prawdę. Prawdę o ludziach i prawdę o mieście. Jeżeli miałbym szukać porównań, to jest to zobrazowanie poetyckiej prawdy Tuwima. Fotografowanie miasta jest bezinteresowne. Bresson, Doisneau, Sieff, zajęci innymi pracami, fotografowali bezustannie miasto, gdyż oni po prostu nie istnieliby bez miejskiej tkanki. Mój przyjaciel Aleksander Błoński powiedział kiedyś, że ja postępuję podobnie.

Pan jest przede wszystkim fotografem mody.

To prawda. Fotografowanie mody stało się dziedziną, której poświęcam najwięcej uwagi i zaangażowania. Być może wzięło się to stąd, że ja posiadam naturalną, przyrodzoną niemalże skłonność do fotografii „ładnej”. Czy przymiotnik „ładna” jest wrogiem rzeczownika „fotografia”? Nie wiem. Na pewno nadaje jej on konotację komercyjności, bo robienie zdjęć mody jest działalnością komercyjną. Ktoś napisał o mnie: „Za maską chłodnego profesjonalisty od luksusowej, komercyjnej fotografii, kryje się targany emocjami, siejący zgorszenie prowokator.” Nie jestem pewien, czy jeszcze stać mnie na prowokację, ale wciąż żywo targają mną różne emocje. Fotografując próbuję skleić coś z pragnień i tęsknot, wspomnień, niedokończonych rozmów. Najczęściej moje zdjęcia są wynikiem przyglądania się, które nie chce spłynąć w nurt podświadomości. Wszystkie moje prace, nawet te użytkowe, mają w sobie niezbywalny element „siły serca”. Prawdziwa fotografia więcej mówi o autorze zdjęcia niż o samym zdjęciu.

Jest Pan twórcą pierwszego w Polsce internetowego serwisu o modzie. Czy jest to jeszcze działalność, która wyznacza kanon sztuki zwanej fotografią?

Byłem takim fotografem, którego zawsze interesowało to, co dzieje się z wykonanym przeze mnie zdjęciem. Ponieważ często sprzedawałem prace w różnych redakcjach i wydawnictwach, posiadałem jakąś tam wiedzę na temat przygotowania fotografii do druku i czynności okołodrukarskich. Później odkryłem Internet. Było to wciąż jeszcze nowe medium, nowy środek komunikacji międzyludzkiej, który postanowiłem wykorzystać w służbie fotografii mody.

Na początku był portal.

Tak. Przestrzeń Internetu była ogromnym obszarem do zagospodarowania. Patrzyłem na tę cybernetyczną prerię jak pionier, jak zdobywca Dzikiego Zachodu, który nie widzi nic aż po horyzont. Wbiłem więc kilka słupów wyznaczających teren mojej działalności. A wolnej przestrzeni wówczas nie brakowało. Wystąpił głód informacji. Wydarzenia związane z modą i przemysłem tekstylnym miały zasięg lokalny. Brakowało medium, które prezentowałoby przekrojowo całość wieści ze świata mody. Był rok 1997. Wpisałem w wyszukiwarce hasło: moda. Nie pojawiła się ani jedna polska strona zawierająca tę kategorię. To było głównym powodem powstania tego serwisu. Można by rzec, że wyszedłem naprzeciw oczekiwaniom rynku. W skład portalu „Moda.com.pl” wchodzi dziesięć wortalii tematycznych (bielizna, jeans, futra). Adresowany jest przede wszystkim do ludzi związanych z branżą mody – do producentów, handlowców, designerów, oraz do klientów. W portalu codziennie prezentowane są nowe informacje ze świata mody (pokazy, kolekcje). Oglądalność naszych stron to około sześciu tysięcy odsłon dziennie.

Gazeta powstała później.

Powstanie magazynu „Moda.com.pl” było odwrotnością typowego procesu rozszerzania swojego zasięgu przez czasopisma, za pomocą wydań elektronicznych. Z chwilą, gdy pojawili się reklamodawcy wystąpiła zwykła ekonomiczna konieczność przeniesienia części informacji ze strony internetowej na papier i uzupełnienie oferty tematycznej. Zadaniu temu sprostałoby tak dobrze, że dzisiaj jesteśmy jedynym poważnym partnerem dla podobnych europejskich publikacji branżowych.

A dzieje się to w Łodzi.

Kiedy mówię, że Łódź jest stolicą polskiej mody, to wiem co mówię. Likwidacja wielkich zakładów włókienniczych, ograniczenie produkcji przemysłowej i dekonstrukcja gospodarcza nie odebrały Łodzi zaplecza intelektualnego. Tego wielkiego potencjału tkwiącego w wykształconych tutaj projektantach i studentach Akademii Sztuk Pięknych. Zamiast produkcji Łódź eksportuje dziś myśl. Nasz portal i magazyn również pomagają w promocji łódzkich projektantów. Obejmujemy patronatem medialnym prestiżowe w świecie mody imprezy, jak konkurs „Projektant Roku”, organizowany przez Krajową Izbę Mody, jak konkurs „Gala Dyplomowa”, prezentujący absolwentów Katedry Ubioru ASP w Łodzi, czy też konkurs dla młodych projektantów „Złota Nitka”. Fundujemy nagrody w postaci stron internetowych, co pozwala na promocję polskiej mody na całym świecie. „Targi Düsseldorf” zwróciły się do nas z prośbą o wskazanie młodych łódzkich projektantów, którzy mogliby zaprezentować swoje koncepcyjne projekty podczas przyszłorocznej edycji targów.

I to wszystko w ramach jednego hasła – moda.

Moda jest towarem szybko zbywalnym. To produkt, który „psuje się” bardzo szybko. Trzeba więc zrobić wszystko, aby sprzedać go jak najszybciej i za jak najwyższą cenę. Sztuką jest kreowanie zachowań konsumenckich. Ale nie tylko. Sztuką w modzie jest także rozbudzanie estetycznej wrażliwości każdego nabywcy ubrań. Fotografia ma tutaj wielkie zadanie do spełnienia. Jest jednym z ważniejszych trybów w tej maszynie. Oddziałując bezpośrednio na wrażliwość oglądającego stymuluje jednocześnie rozwój jego zachowań estetycznych. Kształtuje indywidualne gusty i style. Dzisiaj przed modą nie ma ucieczki. Nie należy jednak mylić mody z uniformizacją – np. polskiej ulicy, gdzie indywidualizm wyraża się w jak największym upodobnieniu się do obowiązujących trendów.

Nie ma Pan konkurencji?

Dla mnie konkurencją zawsze były i będą te adresy internetowe, które przy zapytaniu o modę, pojawiają się przed witryną moda.com.pl. W tej chwili sytuacja się wyklarowała

i jest stabilna. W wyszukiwarce Google znajdujemy się przemiennie pomiędzy piątą a siódmą pozycją. To oznacza, że jeżeli gdziekolwiek na świecie ktoś wpisuje w wyszukiwarce hasło: moda, to na pierwszej stronie wśród innych znalezionych pozycji jest nasz portal. Natomiast nasz magazyn podlega takim samym prawom rynku wydawniczego jak inne branżowe periodyki. Główna część dystrybucji prowadzona jest przez Internet i trafia w ręce stałych prenumeratorów. Naszym silnym argumentem jest to, że większość prezentowanych w gazecie zdjęć, oraz materiał zawarty na dodawanej płycie CD, to nasze produkcje. Wydaje mi się, że godnie reprezentujemy polską modę.

Andrzej Wrzesień – absolwent wydziału operatorskiego
PWSFTviT w Łodzi. Adiunkt na Wydziale Fotografii Łódzkiej
Szkoły Filmowej. Wykłada fotografię reklamową.
Dyrektor artystyczny serwisu internetowego moda.com.pl

historia

Ofiary niemieckiego barbarzyństwa

Żydzi z Zachodniej Europy w getcie łódzkim

Julian Baranowski, str. 91

Przekroczono wszelkie normy etyczne

Stary cmentarz przy Wesołej

Joanna Podolska, str. 97

Porzucili fabrykę i dom

Ucieczka z Litzmannstadt

Mieczysław Gumola, str. 100

Duch porusza materię

140 rocznica Insurekcji Styczniowej w Łodzi

Marek Budziarek, str. 104

„Kuriery“, „Zeitungi“, „Expressy“

140 lat prasy codziennej w Łodzi /cz.2/

Wacław Pawlak, str. 108

Od chłopskiej sukmany do miejskiej apaszki,

czyli kilka słów o ubiorze robotniczym w dawnej Łodzi

Elżbieta Królikowska, str. 117

Takiej szkoły się nie zapomina

Gimnazjum Aleksiego Zimowskiego

Jerzy Urbankiewicz, str. 120

45 lat tradycji

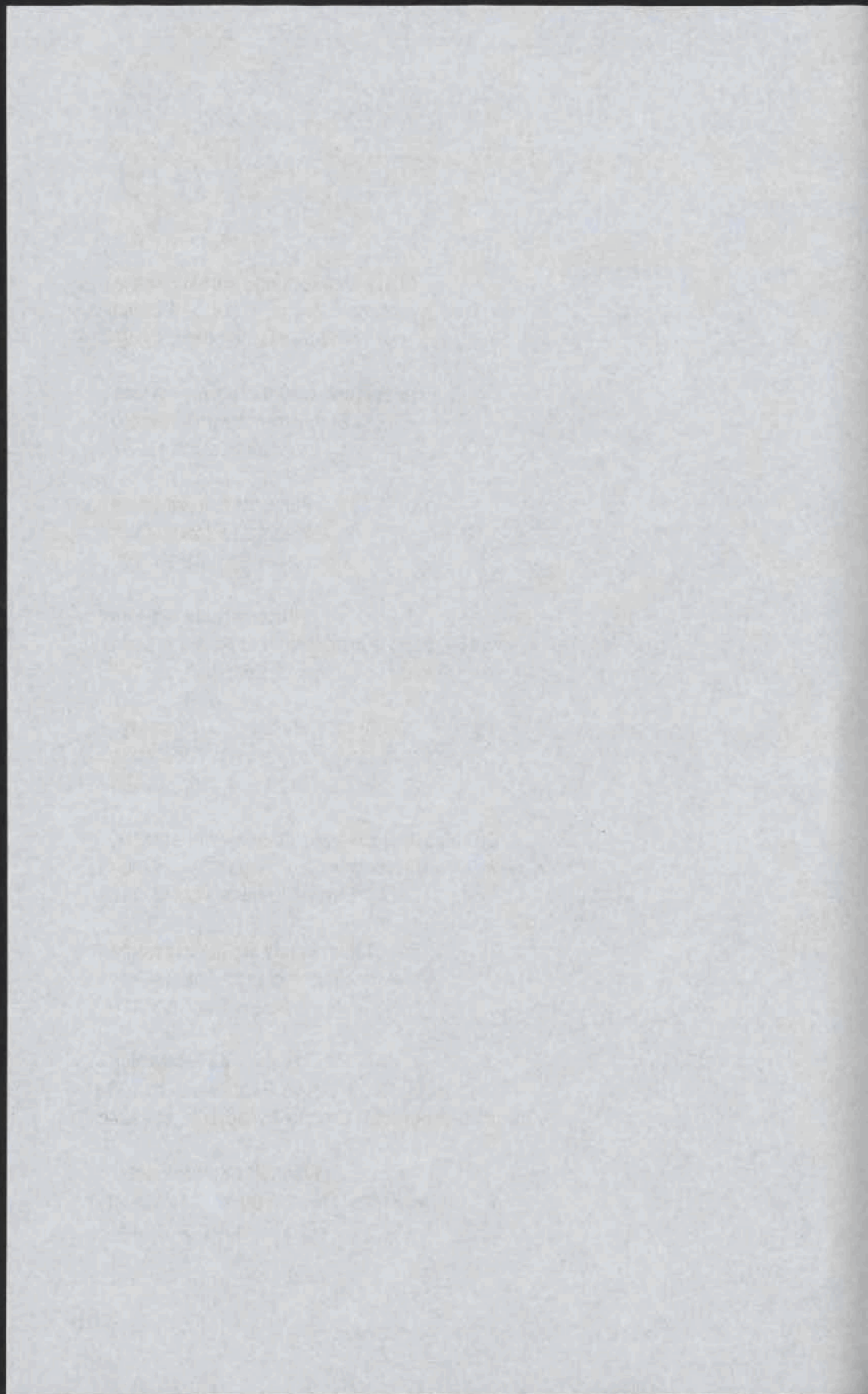
Szkoła Podstawowa nr 153

Jolanta Głuszkowska, Grażyna Pychowska, str. 126

„Warikoff i Kwaśniewski“

Pierwsza w Polsce lecznica dla zwierząt

Ewa Żuchowska, str. 131



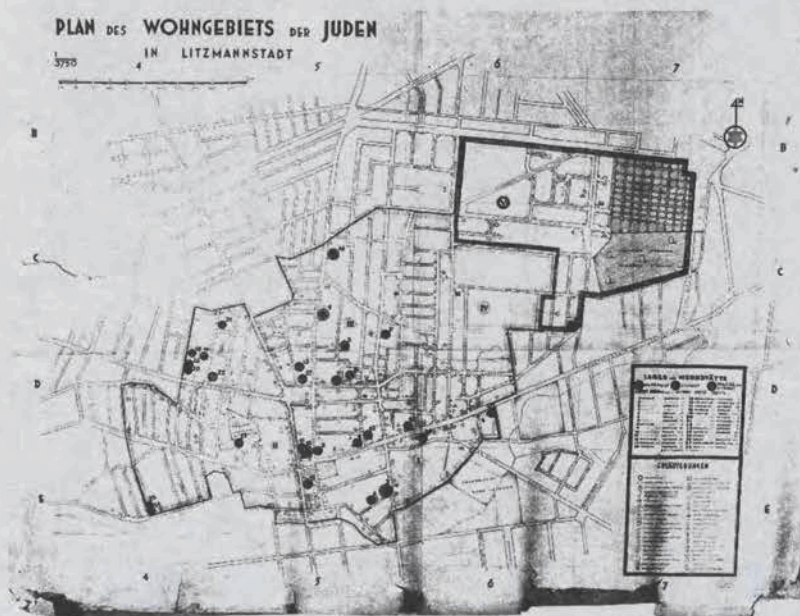
Ofiary niemieckiego barbarzyństwa

*Żydzi z Zachodniej Europy w gettcie łódzkim (1941-1944)*¹

historia

Jedną, ze stosunkowo mało znanych kart historii Łodzi lat wojny i okupacji, są losy 20 tysięcy Żydów z Europy Zachodniej wsiedlonych do getta łódzkiego w październiku i listopadzie 1941 roku. Deportacja ta była wynikiem hitlerowskiej polityki „oczyszczania” z Żydów III Rzeszy i okupowanych przez nią państw Europy Zachodniej oraz koncentracji, a następnie likwidacji tej ludności na zajętych terenach wschodnich. Władze nazistowskie nie chciały bowiem prowadzić zagłady Żydów na oczach miejscowej ludności niemieckiej.

Decyzja o wsiedleniu do getta łódzkiego Żydów i 5 tysięcy Cyganów z Europy Zachodniej zapadła w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy (RSHA), prawdopodobnie w połowie września 1941r., zaś do jej realizacji, mimo sprzeciwu władz Litzmannstadt, doszło w połowie października tego roku.



str. 1 Kronika miasta Łodzi
Ręcznie wykonana widokówka w gettcie łódzkim.

Transporty Żydów z Niemiec, Austrii, Czech i Luksemburga zaczęły przybywać do Łodzi od 16 października i trwały do 3 listopada 1941 r. Ogółem 21 pociągami do getta deportowano 19 954 osoby, w tym ze Starej Rzeszy – 9 444, z Austrii- 4 999, z Czech – również 4 999 i z Luksemburga – 512.

Tab. 1. Zestawienie transportów Żydów zachodnioeuropejskich deportowanych do getta łódzkiego w październiku i listopadzie 1941 r.

	Nazwa transportu	Data przybycia	Liczba osób	Razem z poszczególnych transportów
1.	Wiedeń I	16 X 1941	1000	
2.	Wiedeń II	24 X 1941	1000	
3.	Wiedeń III	28 X 1941	1000	
4.	Wiedeń IV	29 X 1941	1000	
5.	Wiedeń V	3 XI 1941	999	4999
6.	Praga I	19 X 1941	1000	
7.	Praga II	22 X 1941	1000	
8.	Praga III	27 X 1941	1000	
9.	Praga IV	1 XI 1941	1000	
10.	Praga V	3 XI 1941	999	4999
11.	Berlin I	18 X 1941	1082	
12.	Berlin II	25 X 1941	912	
13.	Berlin III	30 X 1941	1030	
14.	Berlin IV	2 XI 1941	1030	
15.	Kolonia I	23 X 1941	1006	
16.	Kolonia II	31 X 1941	1006	
17.	Frankfurt n. Menem	21 X 1941	1186	
18.	Emden	25 X 1941	122	
19.	Hamburg	26 X 1941	1063	
20.	Düsseldorf	28 X 1941	1007	9444
21.	Luksemburg	18 X 1941	512	512
		Ogółem	19954	19954

Źródło: Archiwum Państwowe w Łodzi, Przełożony Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim 1939-1944, sygn. 863 i 967.

Chorzy, starzy, niedołęźni

Z zachowanej statystyki ludności getta łódzkiego wynika, że przybysze z Zachodu w większości liczyli powyżej 50 lat (53,5 %). Dzieci do lat 15 stanowiły 7,5 % ogółu wsiedleńców. Wśród wsiedleńców znaczny procent (ponad 16 %) stanowiły osoby chore i niedołęźne².

Przybycie tak znacznej grupy osób, do już nadmiernie zaludnionego getta, stworzyło wiele trudnych problemów. Przełożony Starszeństwa Żydów Mordechaj Chaim Rumkowski tuż po otrzymaniu wiadomości o spodziewanym wsiedleniu, zarządził akcją translokacyjną, polegającą na zagęszczeniu mieszkań do normy 3 m² na 1 osobę. Nadto zamknął szkoły, przekształcając je w kwatery zbiorowe. Były one przeważnie puste, bez niezbędnego wyposażenia, często bez podłóg, pieców, z powybijanymi oknami. Brak było też prycz i sienników, a także jakichkolwiek szaf, a przede wszystkim ubikacji, umywalk i środków czystości. Nietrudno sobie wyobrazić, jakim piekłem były te kwatery dla nowo przybyłych, dotąd zamieszkałych w przyzwoitych, a często w luksusowych warunkach mieszkaniowych. Olbrzymia większość wsiedlonych wegetowała tak aż do maja 1942 r., tj. do zakończenia III etapu wysiedleń mieszkańców getta, w tym wywózki ponad 10 000 Żydów zachodnioeuropejskich, do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem³.

Równie trudnym problemem stało się wyżywienie tej ludności. Struktura zawodowa wsiedleńców, tj. przewaga osób wolnych zawodów (kupców, przedsiębiorców, gospodyń domowych i osób przy rodzinie) nad rzemieślnikami i robotnikami (było ich zaledwie 20 %) powodowała, że tylko znikoma część tej społeczności nadawała się do ciężkiej pracy i znalazła zatrudnienie. Większość przybyłych z uwagi na wiek i choroby wymagała pomocy i opieki. Postanowiono więc, że wsiedleńcy mają pozostać w masowych kwaterach, tworząc wspólnoty zwane kolektywami. Otrzymały one nazwy od miejsc i numerów transportów, np.: Kolektyw Praga I, Kolektyw Wiedeń II, czy Kolektyw Berlin IV. Wychodzono z założenia, że w gromadzie koszty utrzymania są niższe, prowadzenie gospodarstwa prostsze, opieka nad chorymi i niedołęźnymi łatwiejsza do zorganizowania. Większość wsiedleńców była zresztą tego samego zdania, bała się samotności i samodzielności w nowych i ciężkich warunkach; w zimie, w ciasnocie, mimo braku opału, było cieplej niż w nieopalanym pustym pokoju. Ponadto każdy kolektyw miał opiekę lekarską na miejscu⁴.

Sytuacja w wyżywieniu tej ludności uległa pewnej poprawie z dniem 4 grudnia 1941 r., kiedy to władze niemieckie otwały ruch pocztowy dla przybyszów i zaczęły napływać przekazy pieniężne, głównie emerytury i renty. Ogółem do 30 sierpnia 1942 r. wsiedleńcy tytułem przekazów otrzymali ponad 3 860 tys. marek niemieckich⁵.

Wyżywienie przybyszów nie odbiegało od wyżywienia pozostałych mieszkańców getta i oscylowało w granicach od 300 do 600 kalorii dziennie⁶.

Nie lepiej przedstawiał się stan zdrowotny przybyszów. W chwili przybycia do getta, na ogólną ich liczbę 19 954 osób aż 3 247 było chorych (16 %). Najwyższy procent chorych wykazywały transporty z Berlina (27 %) i Wiednia (26 %). Ludność ta znalazła się nagle w zimnie, wilgoci, zmuszana do pracy ponad siły, fatalnie odżywiana, zapadała łatwo na zdrowiu. Po dwóch miesiącach pobytu w getcie liczba chorych z temperaturą wahała się od 80 do 100 osób dziennie. Chorzy ci zazwyczaj przebywali razem ze zdrowymi⁷. Najczęściej wsiedleńcy zapadali na choroby serca i układu krążenia, zapalenia płuc, chorobę głodową i tzw. chorobę gettową (Gettokrankheit) – infekcje połączone z ciężką biegunką, spowodowaną jednolitym odżywianiem niedogotowanymi warzywami⁸.

Zaplanowane epidemie

Kolektywy, z uwagi na bionegatywne warunki życia, stawały się też szybko ogniskami epidemii czerwonki, duru brzuszego, tyfusu plamistego, róży, szkarlatyny, grypy itp.⁹ Wymownym skutkiem tragicznej sytuacji wsiedleńców, znacznie gorszej niż ludności miejscowej, była ich ogromna śmiertelność, około dwukrotnie wyższa niż miejscowych. W okresie od połowy października 1941 r. do połowy maja 1942 r. zmarło ogółem 3 186 Żydów zachodnioeuropejskich.

Tab. 2. Zgony Żydów z Europy Zachodniej według nazw transportów

	Nazwa transportu	Liczba osób	Liczba zgonów	%
1.	Berlin I-IV	4054	1106	27,3
2.	Wiedeń I-V	4999	891	17,6
3.	Kolonia I-II	5389	677	12,5
	Düsseldorf			
	Emden			
4.	Frankfurt	512	55	10,7
	Hamburg			
5.	Luksemburg	4999	457	9,1
	Praga I-V			
Razem		19954	3186	16,0

Źródło: APŁ, PSŻ, sygn. 863.

Rozpoczęta 16 stycznia 1942 r. akcja wysiedleń mieszkańców getta łódzkiego do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem, aż do maja tego roku omijała Żydów z Zachodniej Europy. Dopiero 2 maja 1942 r. ukazało się obwieszczenie Rumkowskiego nr 380, zapowiadające rozpoczęcie z dniem 4 maja wysiedlanie przybyszów

z Zachodu. W myśl tego obwieszczenia z akcji tej wyłączono Żydów posiadających odznaczenia wojenne (Krzyże Żelazne I i II klasy i odznaki za odniesione rany) oraz osoby zatrudnione¹⁰.

Jako pierwsze do obozu zagłady wyjechały kolektywy: Wiedeń, Düsseldorf, Kolonia i Praga, a następnie niepracujących i chorych. Łącznie od 4 do 15 maja 1942 r. do Chełmna nad Nerem odeszło 12 transportów z 10 498 wsiedleńcami z Zachodu oraz 416 Żydami łódzkimi¹¹.

Po tych wysiedleniach w getcie pozostało niecałe 6 000 Żydów z Zachodu. Część z nich przebywała nadal w zwartych kolektywach. Dopiero kilka dni później zaczęto je likwidować, a ich społeczność rozlokowywać w mieszkaniach pozostałych po wysiedleńcach. Większość z nich otrzymała też i pracę. Rozpoczął się okres życia w znośniejszych warunkach.

Cztery miesiące później, w czasie tzw. „szpery”, to jest od 3 do 12 września 1942 r., wymierzonej przeciwko dzieciom do lat 10 i starcom powyżej 65 roku życia, do obozu w Chełmnie nad Nerem wywieziono 15 681 osób, w tym około 1 400 Żydów z Europy Zachodniej. Wśród tych ostatnich znalazło się wielu posiadaczy Krzyży Żelaznych I i II klasy oraz odznaczonych za poniesione rany¹².

Po „szperze” i przekształceniu przez Niemców getta w obóz pracy, nastąpiła pewna stabilizacja w położeniu przybyszów z Zachodu. Liczne przekazy pieniężne, a także wzrost liczby przysyłanych paczek żywnościowych, spowodowały ogólne polepszenie warunków życia tej społeczności, która dzięki tej pomocy stawała się warstwą uprzywilejowanych¹³. Sytuacja ta trwała do likwidacji getta w sierpniu 1944 roku.

Zagłada VIP-ów

Deportacje ludności getta do obozu zagłady w Chełmnie nad Nerem wznowiono w połowie czerwca 1944 r. Od 23 czerwca do 14 lipca 1944 r. Dziesięcioma transportami na śmierć wywieziono 7 196 mieszkańców getta łódzkiego, w tym także i wsiedleńców z Zachodu. Proces likwidacji getta łódzkiego, w tym i Żydów zachodnioeuropejskich, zakończył się 29 sierpnia 1944 r. Do tegoż dnia, od 9 sierpnia 20 transportami wywieziono do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu pozostałych przy życiu mieszkańców getta (od 65 do 67 tys.).

Wśród deportowanych do getta łódzkiego w październiku i listopadzie 1941 r. Żydów z Europy Zachodniej było wiele znanych osobistości ze świata kultury i nauki. Wymienić tu należy znanych literatów i publicystów: **Oskara Singera**, **Oskara Rosenfelda** i **Bernharda Heiliga** – z Czech, wybitnych naukowców: **Wilhelma Caspari** z Berlina – światowej sławy profesora Uniwersytetu Berlińskiego, **Jakoba Edmunda Speyera** – znanego profesora chemii, wynalazcę enkodalu, **Hugo Ditz**a – profesora Politechniki Niemieckiej w Pradze, współautora dzieł encyklopedycznych,

kandydata do Nagrody Nobla z chemii, **Hugo Natannsen** – docenta reumatologii na Uniwersytecie w Pradze, oraz **Ludwiga Berwalda** – profesora matematyki na tymże uniwersytecie.

Ze znanych artystów w getcie łódzkim znaleźli się m. in.: **Curt Beer** z Pragi, dyrygent chóru przy praskiej synagodze, **Dawid Birkenfeld**, znany pianista z Wiednia, czy też **Rudolf Bandler** z Pragi, śpiewak operowy, występujący w Pradze i Wiedniu.

Z innych wybitnych osobistości wymienić należy dr **Meira Kitz**, ucznia wybitnego rabina wiedeńskiego doktora Szmelkesa, dr **Emila Krakauera**, znanego i szanowanego rabina gmin żydowskich w Sudetach oraz **Martina Meyera**, zdolnego przemysłowca branży browarniczej¹⁴.

Obok wymienionych wyżej osobistości, w transportach Żydów zachodnioeuropejskich deportowanych do getta łódzkiego znalazło się ponad 60 lekarzy, aptekarzy i dentystów, ponad 100 prawników, wielu znanych przemysłowców, kupców itp¹⁵. Wszyscy oni zmarli w getcie (prof. J. Speyer – 5 V 1942 r., prof. B. Heilig – 29 VI 1943 r. i prof. W. Caspari – 21 I 1944 r.) lub zostali zamordowani w obozach zagłady w Chełmnie nad Nerem i Oświęcimiu.

Julian Baranowski

– historyk, archiwista; pracownik Archiwum Państwowego w Łodzi.

PRZYPISY

1. Temat ten znacznie obszerniej omówiony został w pracy D. Dąbrowskiej, *Wsiadłeni Żydzi zachodnioeuropejscy w getcie łódzkim*, „Biuletyn Żydowskiego Instytutu Historycznego”, numery 65-66, 1968, s. 105-139.
2. Archiwum Państwowe w Łodzi, Przełożony Starszeństwa Żydów w Getcie Łódzkim (dalej: APŁ, PSŻ), sygn. 863.
3. APŁ, PSŻ, sygn. 863.
4. D. Dąbrowska, op. cit., s. 122.
5. APŁ, PSŻ, sygn. 2089; D. Dąbrowska, op. cit., s. 116.
6. J. Fijałek, *Formy eksterminacji pośredniej mieszkańców getta (w:) Getto w Łodzi 1940-1944, Łódź 1988*, s. 51-64.
7. D. Dąbrowska, op. cit., s. 122-124.
8. Tamże.
9. J. Fijałek, op. cit., s. 52-54.
10. APŁ, PSŻ, sygn. 1095. Kronika getta z 2 maja 1942 roku.
11. APŁ, PSŻ, sygn. 863.
12. Tamże
13. D. Dąbrowska, op. cit., s. 135-136.
14. APŁ, PSŻ, sygn. 1103. Encyklopedia getta.
15. APŁ, PSŻ, sygn. 967. Listy transportów Żydów z Europy Zachodniej.

Przekroczone wszelkie normy etyczne.

Stary Cmentarz przy Wesolej

Łódź żydowska nie jest ani prastarą Moguncją czy Warmacją, ani patyną okrytym Krakowem, ni spowitą w legendy Pragą lub mchem obrosłym Lublinem. Sto z górą lat istnienia to cokolwiek za mało dla historii kultury – pisał Pinkus Nadel w monografii Starego Cmentarza Żydowskiego w Łodzi w 1938 roku.

Mimo to jednak żydowscy naukowcy postanowili zbadać i ocalić od zapomnienia ślad tej łódzkiej nekropolii. I całe szczęście, że tak się stało. Bo dziś, po 65 latach, nie byłoby to możliwe. Po Starym Żydowskim Cmentarzu nie ma śladu. Nie tylko nie ma grobów, ale w ogóle zniknął z pamięci mieszkańców Łodzi.

W październiku łódzkie media obiegała wiadomość, że na ulicy Lutomierskiej wykopano ludzkie kości. Najpierw sądzono, że to jakieś morderstwo z ostatnich lat. Potem dziwowano się, że kości są tak stare. Jako sensację podawano, że w tym miejscu jeszcze przed 50 laty mieścił się cmentarz.

– Przyznam, że dopiero niedawno dowiedziałem się o cmentarzu przy Wesolej. Historia tego w jaki sposób został on zlikwidowany po wojnie wydaje mi się barbarzyństwem. Przecież każda religia nakazuje szacunek wobec zmarłych, więc nie rozumiem, jak można było postawić te bloki nie ekshumując ciało. Przekroczone wszelkie normy etyczne – uważa Jerzy Kropiwnicki, prezydent Łodzi. Jego zdaniem to niezrozumiały i oburzający akt wandalizmu.

Historia łódzkich Żydów sięga początków XVIII stulecia. W 1793 roku wśród 190 mieszkańców były dwie żydowskie rodziny. W 1809 roku, kiedy sporządzono pierwszy imienny spis Żydów, w Łodzi mieszkały już 24 osoby wyznania mojżeszowego. Ta liczba szybko rosła. Od razu w 1809 roku została wybudowana pierwsza łódzka bożnica przy ulicy Wolborskiej (wtedy zwanej Dworską), niedaleko Starego Rynku. Kolejnym ważnym etapem było otwarcie cmentarza.

Na początku zmarłych Żydów wywożono na cmentarz do Strykowa lub Lutomierska. W 1811 roku zapadła jednak decyzja, by stworzyć cmentarz na

terenie Łodzi. Kupiono kawałek ziemi od Magdaleny i Adama Lipińskich, a potem sąsiadujące grunty od innych osób. Do stycznia 1893 roku pochowano w tym miejscu około 4500 osób.

W chwili, gdy zbierano informacje na potrzeby tworzonej w latach trzydziestych monografii, było jeszcze 3871 nagrobków. Opisano kamienne macewy z symboliczną ornamentyką: błogosławiące dłonie na grobach kapłanów, dzbany i misy do mycia rąk u lewitów, złamane świece. Były też inne symbole – lwy i jelenie nawiązujące do imion zmarłych (Lajb, Hersz), czy wspaniale rzeźbiony gryf o rozpostartych skrzydłach.

Z książki wydanej w 1938 roku dowiadujemy się, jak wyglądał cmentarz tuż przed wybuchem II wojny światowej:

„Czworobok starego cmentarza, zamknięty ze wszystkich stron czerwonym niskim murem i zasłonięty tu i ówdzie wysokimi domami, stanowi część składową starej dzielnicy miasta.“

„(...) Rozrzuczone bez ładu i składu wewnątrz cmentarza nagrobki toną w gęstwinie drzew, zarośli i chwastów, sięjąc smutek ponurym krajobrazem dość ponurej i ubogiej w piękno galerii kikutów pomnikowych“.

W monografii Starego Cmentarza przy ulicy Wesołej umieszczono rejestr pochowanych tam ludzi, a także opis wielu ciekawych postaci. Wśród nich nie zabrakło zasłużonych przemysłowców, działaczy społecznych i religijnych, handlarzy, nauczycieli, ale też zwykłych krawców i sklepikarzy. Na cmentarzu przy Wesołej pochowany był m. in. jeden z pierwszych obywateli żydowskich Łodzi – **Menachem Mendel Orbach**, szynkarz i właściciel domu na Starym Mieście.

Spoczywał tam również **Samuel Zalcman**, hurtownik przędzą, właściciel kamienic między ul. Pomorską a Północną, uważany za jedną z najważniejszych postaci starej żydowskiej Łodzi. To on przez wiele lat walczył, by znieść getto i zamieszkać poza rewirem żydowskim. I udało mu się. Między ul. Północną i Średnią (dziś Pomorska) zbudował ulicę. Musiał na to dostać specjalne pozwolenie łódzkiego magistratu. Ulica nosiła imię Zalcmana, to dzisiejsza Solna.

Wśród pochowanych na Starym Cmentarzu osób są członkowie rodzin łódzkich fabrykantów: **Poznańskich, Silbersteinów, Prussaków, Rosenblattów**. Było to również ostatnie miejsce spoczynku **Kalma Poznańskiego** – ojca Izraela.

To także miejsce pochówku łódzkich rabinów, w tym **Mojżesza Lipszyca**, który piastował swój urząd przez 17 lat.

Choć monografia Starego Cmentarza ocaliła do dziś ślad tego miejsca, nie można już odnaleźć tych grobów. Pod koniec lat 40. ówczesne władze Łodzi postanowiły zlikwidować żydowską nekropolię. Było to tym bardziej zaskakują-

ce, bo cmentarz ten przetrwał obie wojny. Tymczasem nie uszanowały go powojenne komunistyczne władze miasta. Zdecydowano, że tamtędy ma przebiegać trasa ulicy Zachodniej. Dziś przez dawny teren cmentarza przejeżdżają autobusy, samochody i tramwaje. Stoją też na nim wielorodzinne bloki. Mieszkańcy, zwłaszcza ci, którzy wprowadzili się niedawno, nie mają pojęcia, że żyją na grobach.

Przez wiele lat rabin Łodzi Wawa Morejno walczył o to, by zadość uczynić społeczności żydowskiej. Twierdził, że wszystko odbyło się niezgodnie z prawem. Dziś wiadomo, że tak właśnie było.

Odnaleziono niedawno dokumenty, które potwierdzają, że władze Łodzi nie miały zgody na likwidację cmentarza. Zdobyły ją dopiero post factum.

- Nic już nie da się z tym zrobić. Przecież nie będziemy wyburzać domów. Prosimy jednak, by informować gminę o jakichkolwiek pracach budowlanych na tym terenie – mówi Symcha Keller

Hubert Rogoziński pokazuje miejsce przylegające do dawnego muru cmentarza: *– Tu był grób MIRIAM ROTSZAJN. To jedyne miejsce, które dokładnie i bez żadnych wątpliwości udało się zidentyfikować – podkreśla.*

W monografii cmentarza ten grób został opisany i sfotografowany. To jedyny w swoim rodzaju na cmentarzu łódzkim nagrobek składający się z podmurza i poczernionej płyty. Został wmurowany w ścianę prywatnego domu graniczącego po stronie zachodniej z terenem cmentarza.

„Ten unikat powstał chyba z powodu braku odpowiednich środków na postawienie nagrobka. Nie jest jednak wykluczone, że chciano w ten sposób zapewnić pomnikowi dłuższe i trwalsze istnienie” – czytamy w monografii. I rzeczywiście tak się stało. Jeszcze do niedawna ta tablica była widoczna w murze kamienicy. Dziś i tego budynku już nie ma. Zniknął tak jak tysiące pomników z tego cmentarza.

Nie ma już ulicy Wesolej. A w kwadracie ulic Bazarowej, Rybnej, Limanowskiego i Zachodniej nie ma nawet śladu po tym, że był tam Stary Żydowski Cmentarz. Jedyne monografia z 1938 roku wydana w Bibliotece Prac Historycznych pod redakcją J. Szpera, jest dowodem jego istnienia.

A co z naszą pamięcią?

Joanna Podolska
– dziennikarka, pisarka, publicystka.
Pracuje w „Gazecie Wyborczej“.

Porzucili fabrykę i dom

Ucieczka z Litzmannstadt

Styczeń 1945 r. z hukiem zatrzasnął niemiecki rozdział w historii Łodzi. Los okrutnie zdrwił z tęsknoty Lodzermenschów za III Rzeszą i wygnał ich na oblodzone i zaśnieżone drogi, którymi ongiś, przed dziesiątkami lat, bez pośpiechu, ich przodkowie wędrowali z krain niemieckich do „Ziemi obiecanej” – do Łodzi. Obraz tamtych mroźnych, styczniowych dni, utrwalał się w dziesiątkach artykułów, książkach, wspomnieniach. Znamy je z polskiej perspektywy. Nie brakuje relacji niemieckich. Znalazł się wśród nich raport spisany niespełna dwa miesiące przed zakończeniem wojny przez ostatniego nadburmistrza Litzmannstadt – dr Hansa Trautweina.

Został on przeniesiony z Poznania i mianowany komisarycznym nadburmistrzem Litzmannstadt w grudniu 1944 r. Rządził krótko – od 8 grudnia do 18 stycznia 1945 r., czyli 6 tygodni. Uciekł ostatniego dnia, ale w urzędniczej nomenklaturze ciągle pozostawał szefem dawnej administracji, dlatego też jemu przyszło zdać meldunek namiestnikowi i komisarzowi obrony Reichsgau Wartheland – Arturowi Greiserowi o przebiegu ewakuacji Litzmannstadt. Dokument liczący 15 stron, datowany 13 marca 1945, napisany został w ratuszu małego miasta Weissenfels i przesłany do siedziby Greisera, przebywającego wówczas w Poczdamie.



Te same dni przedstawił Mirosław Cygański w wydanej w 1965 r. książce: „Z dziejów okupacji hitlerowskiej w Łodzi.“ Wybrałem z niej kilka fragmentów ukazujących, po dwudziestu latach od zakończenia wojny, punkt widzenia polskiego historyka na wydarzenia rozgrywające się w Łodzi podczas mroźnego stycznia 1945 r. / tekst oznaczony kursywą/.

Do poniedziałku, 15 stycznia 1945 r., zdaniem nadburmistrza, życie w mieście toczyło się utartym trybem, nie odczuwało się fali odjazdów ani gorączkowego wybierania pieniędzy z banków. Dopiero poniedziałkowy komunikat Wehrmachtu, o rozpoczętej przez Rosjan 12 stycznia ofensywie, wzbudził falę niepokoju i uświadomił, że radziecka ofensywa może dotrzeć do Łodzi. Mieszkało w niej wtedy, według urzędowych statystyk wyliczonych na podstawie wydanych kart żywnościowych, około 100.000 Niemców, kiedy w pierwszej połowie 1944 r. liczba ich wynosiła ponad 140.000.

„W początkach 1945 r. propaganda okupacyjna w Łodzi podjęła wysiłki, aby jak zwykle z każdym rokiem przedstawić sytuację Niemiec w możliwie optymistycznym świetle. 'Litzmannstadter Zeitung' zamieściła noworoczną mowę Hitlera, wyrażając niewzruszoną wiarę w ostateczny triumf III Rzeszy. Ukazało się również bombastyczne orędzie Greisera do ludności niemieckiej. Oficjalnym enuncjacjaom propagandy towarzyszyły na łamach prasy wiadomości o coraz drastyczniejszych ograniczeniach gospodarczych. W Łodzi brak było nie tylko tłuszczów i mięsa, lecz również chleba. Obowiązywało zaciemnienie okien od godziny 16.25 do 7.25 rano. W dniu 6 stycznia 1945 r. ogłoszono zbiórkę odzieży i rzeczy potrzebnych dla Wehrmachtu i Volkssturmu, w związku z czym Greiser apelował do ludności niemieckiej Kraju Warty o jak największą ofiarność. W poprzednich latach akcjom takim towarzyszyło ograbianie ludności polskiej z resztek posiadanego mienia, lecz tym razem nie zdołano już tego dokonać.“

We wtorek, 16 stycznia 1945 r., przekazane zostało do wiadomości nadburmistrza hasło otwierające realizację pierwszego etapu ewakuacji. Rozpocząć miała się ona od uruchomienia specjalnych pociągów umożliwiających wyjazd ludności cywilnej miasta. Funkcjonariusze partyjni, którzy przejęli całą władzę w tej wyjątkowej sytuacji uspakajali, że wszystko przebiega zgodnie z planem. Tymczasem pierwszy pociąg ewakuacyjny, stwierdził Trautwein, odjechał z Łodzi Kaliskiej dopiero następnego dnia, 17 stycznia około godz. 13, podczas silnego bombardowania lotniczego dworca. Bombardowanie w dniu 16 stycznia rozpoczęło się około godz. 19 i trwało godzinę. Jego skutki likwidowano przez całą noc. Wywołało to panikę i przygnębienie wśród ludności niemieckiej, która zaczęła masowo przygotowywać się do ucieczki.

W środę, 17 stycznia, zabrano się do wywózki dokumentów urzędowych z budynku przy Piotrkowskiej 104 i poczyniono przygotowania do wyjazdu grupy najważniejszych urzędników. Na kolejnej naradzie w urzędzie miasta stwierdzono, że gwałtownie zmalały niezbędne dla funkcjonowania elektrowni zapasy węgla,

którego wystarczy zaledwie na kilka najbliższych dni, a składy przyfabryczne ogołoczone zostały całkowicie z jakiegokolwiek opału. Dostarczenie nowych zapasów kolejną, w istniejącej sytuacji militarnej, stało się niemożliwe. Wobec pogarszającej się sytuacji wojskowej gauleiter Greiser nakazał przystąpić do sparaliżowania pracy zakładów przemysłowych oraz rozpocząć podczas nadchodzącej nocy całkowitą ewakuację Litzmannstadt. Zarządzono palenie zbędnych tajnych akt miejskich. Nie udało się zrealizować próby wywiezienia majątku zarządu miasta. Zgromadzono wszystkie rzeczy do transportu, ale wobec sabotażu ze strony polskiej nie miał kto ich załadować na wozy, nie zjawili się wyznaczeni woźnice. Tego samego dnia, około godz. 16, po powrocie z posiedzenia u gauleitera, nadburmistrz zastał pusty budynek przy ulicy Piotrkowskiej 104. Uciekli z niego niemieccy urzędnicy, którzy zajęli się wywiezieniem z miasta swoich rodzin. O godz. 21 dotarł drugi sygnał alarmowy – całkowitej, bezwzględnej ewakuacji. Przekazał go nadburmistrzowi kreisleiter na własną odpowiedzialność, gdyż wszelki kontakt z gauleiterem został przerwany.

„W dniu 15 stycznia można było obserwować przygotowania władz do opuszczenia miasta. Podminowywano ważniejsze obiekty, wywożono towary, demontowano maszyny w fabrykach, przygotowując je do wywiezienia. Tegoż dnia ogłoszono ograniczenie czasu pracy w fabrykach do 7 godzin dziennie zamiast dotychczasowych 10 – 12. W szeregu fabryk, pod pozorem napraw maszyn w elektrowni, zwolniono pracowników na czas nieokreślony. Następnego dnia panika ewakuacyjna wzrosła jeszcze bardziej. Spotęgował ją wieczorny nalot lotnictwa radzieckiego na Łódź, skierowany przeciw cofającym się oddziałom wojska. W dniu 17 stycznia panika ewakuacyjna w Łodzi dosięgła szczytu. Niemcy uciekali wszelkimi środkami lokomocji, staczając bójki o miejsce w pociągach, które odchodziły z Dworca Kaliskiego z dużym opóźnieniem wskutek uszkodzeń na torach. Nierzadkie były wypadki samobójstw. W tym dniu nastąpiły dwa dalsze naloty, a po południu zaczęły docierać do miasta odgłosy kanonady“

W czwartek, 18 stycznia o godz. 22 szef policji powiadomił nadburmistrza, że w Zgierzu pojawiły się rosyjskie czołgi i słychać stamtąd ostrą strzelaninę. W ratuszu przy Piotrkowskiej pozostała jedynie grupa pracowników, którzy mieli odjechać wraz z przygotowanymi do transportu aktami. Telefonicznie nie dało się z nikim nawiązać kontaktu. W mieście nie było wojska, poza uciekającymi na zachód grupami żołnierzy. Pojawiły się natomiast na ulicach wiodących na zachód grupy pędzących w ślepej panice niemieckich mieszkańców miasta. Tego dnia odjechały na zachód samochody z pieniędzmi i papierami wartościowymi zabranymi z kas miejskich i banków. O godz. 23.10 szef policji poinformował przez radiostację, że około 40 radzieckich czołgów wyruszyło ze Zgierza w kierunku Łodzi.

19 stycznia 1945 r., pół godziny po północy, niemieckie władze Litzmannstadt wyruszyły w kierunku Kalisza, który miał stać się następnym etapem postoju. Nadburmistrz Trautwein odjechał sprzed budynku przy ulicy Ogrodowej, dwa samochody z aktami i załogami wyruszyły w tym samym czasie spod ratusza przy ul. Piotrkowskiej. Starano się trzymać razem, ale przy istniejącym chaosie na drogach kontakt między pojazdami został zerwany jeszcze przed wyjazdem z miasta. W Łasku nadburmistrz utracił samochód służbowy i przesiadł się do samochodu wojskowego. Po dziesięciu godzinach, o godz. 10. 30 dotarł do Kalisza. Tam najpierw usprawiedliwiał się ze swego wyjazdu przed gauleiterem Greiserem, który właśnie odjeżdżał do Poznania. Ten kazał mu jechać dalej na zachód, lecz prezydent rejencji, uznał że lepiej będzie jeśli nadburmistrz zostanie w Kaliszu, gdyż stąd, ewentualnie, szybciej i łatwiej wrócić mu będzie z powrotem do ratusza w Litzmannstadt.

W sobotę, 20 stycznia 1945 r. ogłoszono alarm ewakuacyjny drugiego stopnia dla Kalisza i nadburmistrz Trautwein udał się w dalszą drogę na zachód. Dotarł do Weissenfeld. Do Litzmannstadt nigdy nie powrócił – przestało ono istnieć, zmiecione zimową ofensywą Armii Czerwonej.

Łódź odzyskała swoje imię. Niemcy, także ci, którzy z niej uciekli, nazywali ją po dawnemu – Lodz, podobnie jak ich przodkowie, którzy przeżyli w niej dziesiątki lat, „zbudowali fabrykę i dom“. Tak bowiem – o fabryce i domu – śpiewano w Niemczech w jednym z najpopularniejszych szlagierów lat 60- tych: „Theo, wir fahr n nach Lodz“. Wielu dawnych „Lodzermenschów“, niczym przysłowiowy Theo, z sentymentu i potrzeby serca przyjeżdżało i nadal przyjeżdża do rodzinnej Łodzi. Rzadko dziś wspominają upiorne dla nich dni stycznia 1945 r. Nie da się jednak wymazać ich z pamięci i polskiej, i niemieckiej. Są lekcją historii i ostrzeżeniem przed przemocą i nienawiścią, które rodzą nieszczęście.

Mieczysław Gumola

Duch porusza materię

140 rocznica

Insurekcji Styczniowej w Łodzi

Historia Polski ostatnich trzech stuleci – bohaterskie i tragiczne zarazem zmagania naszego narodu – określała nazwami miesięcy, w których dokonywała się walka o niezawisłość państwową i narodową. Były więc rewolucyjne i tryumfujące Listopady, tragiczny w swym osamotnieniu Wrzesień, pełny nadziei Październik, bratobójczy Grudzień, ale także gorący swą solidarnością Sierpień. Polityczną lekkomyślność, militarne nieprzygotowanie, brak wodzów i broni, ale także heroiczną walkę określono Styczniem – 1863 roku.

Zanim wybuchła insurekcja styczniowa mieszkańcy Królestwa Polskiego przeżywali od kilkunastu lat niepowtarzalne zjawisko społeczno-religijne nazwane przez historyków „rewolucją moralną”. W połowie bowiem XIX stulecia postępowe kręgi kościelne Królestwa Polskiego propagowały ruch odrodzenia religijnego o podłożu narodowym. Rzetelna praca duszpasterska, przenikająca wszystkie formy życia społecznego i prywatnego miała stać się płaszczyzną odrodzenia sił społecznych narodu polskiego dążącego do odzyskania suwerenności państwowej. Dzięki tak pojętemu oddziaływaniu apostołskiemu zmierzano do odrodzenia religijnego zespolonego z odrodzeniem patriotycznym.

Naturalną konsekwencją tych działań były manifestacje religijno-patriotyczne, jakie społeczeństwo Królestwa Polskiego organizowało pomiędzy październikiem 1860 roku, a październikiem 1861 roku. Manifestacje owe były jednym wielkim ciągiem uroczystości narodowych, którym nadano sankcje religijne. Poza rozpowszechnianiem idei niepodległościowych stanowiły one niezwykle ważny element jednoczący całe społeczeństwo w walce o niepodległy byt narodowy. Były one przede wszystkim wyrazem głębokich uczuć i dążeń patriotycznych narodu polskiego, czy wręcz jednym ze sposobów walki z caratem.

Wszystkie manifestacje rozgrywały się na ulicach większych i mniejszych miast polskich, ale za każdym razem rozpoczynały się w świątyniach chrześcijańskich. Tam właśnie tłumy uczestniczyły w żałobnych nabożeństwach odprawianych w intencji niepodległej Ojczyzny. Z ambon wygłaszano narodowe kazania. Pod przewodnictwem duchownych śpiewano patriotyczne pieśni i wznoszono modły za wolność Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Spod drzwi kościelnych wyruszały

manifestacje, na czele których niesiono godła narodowe i emblematy religijne. Te zgromadzenia rozpraszało wojsko rosyjskie używając dość często broni palnej, co z kolei dawało asumpt do organizowania kolejnych mszy św. za poległych i pomordowanych.

Ten fenomen patriotycznego wyrazu objął prawie wszystkie większe ośrodki miejskie. Wznoszono w nich krzyże z cierniowymi koronami lub układano kwietne krzyże przed świątyniami. Moda żałoby narodowej obowiązywać zaczęła wszystkich Polaków. Najmniejszą bodaj rocznicę narodową wykorzystywano do organizowania demonstracji patriotycznej, której nadawano splendor procesji religijnej. Po kraju kolportowano tajne pisma i ulotki, a konspiracyjne organizacje młodzieżowe zyskiwały sobie coraz większy posłuch w społeczeństwie. Wzburzonych nastrojów nie ostudziło nawet wprowadzenie 14 października 1861 roku stanu wojennego. Antyrządowe wystąpienia nadal miały miejsce, a wtargnięcie carskich żołnierzy do kościołów warszawskich skłoniło miejscowe władze kościelne do zamknięcia wszystkich świątyń w Warszawie. Na znak solidarności zamknięto także zbory protestanckie i synagogi.

Kiedy wiosną 1861 roku na ulicach Warszawy, Lublina, Płocka i Hrubieszowa demonstrowano pod sztandarami narodowymi i chorągwiami kościelnymi, w Łodzi miały miejsca wydarzenia nigdzie indziej nie występujące.

Oto zbuntowali się drobni wytwórcy, którzy w wyniku „głodu bawelnianego” utracili możliwość zarobkowania. Możliwości pracy i zarobku były wtedy dla znacznej części łodzian znacznie ważniejsze niż zagadnienia narodowej przeszłości, odwilży politycznej i współdecydowania o losach całego kraju. Te problemy pojawią się nieco później. Zresztą społeczeństwo łódzkie dopiero co się tworzyło ze zlepek kilku narodów, religii i kultur. W tych kręgach dominowały przede wszystkim problemy ekonomiczne, zaś kwestie patriotyczne stały na dalszym planie. Stąd pomiędzy 20 a 21 kwietnia 1861 roku drobni wytwórcy i tkacze łódzcy wywołali swoisty „bunt przeciw maszynom”, które – zdaniem zbuntowanej czeladzi i robotników zwalnianych w wyniku mechanizacji fabryk – stanowiły najważniejsze i największe zagrożenie dla ich przyszłości.

Buntownicy zdemolowali wówczas zakłady Abrama Prussaka, rozbili krosna w tkalni Karola Scheiblera, a nadto powybijali szyby, zniszczyli mieszkania i urządzili „kocią muzykę”, co niektórym szacownym a majątnym łodzianom. Porządek zaprowadził dopiero oddział kozaków. Niemniej aresztowania i więzienia nie usunęły przyczyn buntu. Bano się biedy i bezrobocia. Śniono o bogactwach „ziemi obiecanej”, nienawidząc tych, którzy je posiadali.

Był to jednak czas, kiedy coraz silniej do głosu dochodziła łódzka inteligencja, pragnąca decydować o losie kraju, w którym żyła, bez względu na warunki ekonomiczne miasta, które zamieszkiwała. „Rewolucja moralna”, tak zdecydowanie aktywizująca społeczeństwo Królestwa Polskiego, powoli ale nieustannie docierała także do Łodzi. Od początku 1861 roku grupa młodych inteligentów łódzkich szerzyła propagandę patriotyczną wśród miejscowych robotników, rzemieślników, a nawet

okolicznych chłopów. Należeli do niej nauczyciel z Chocianowic **Konstanty Piotrowicz** i jego żona **Maria**, wikary parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny ks. **Józef Czajkowski**, urzędnik **Jan Zieliński**, aspirant sądowy **Piotr Danielewicz**, praktykanci farbiarscy **Anastazy Bitdorf** i **Antoni Lebelt**, fotograf **Józef Zajązkowski**, rządcą dóbr z Rudy Pabianickiej **Aleksander Rzewuski**. Idee powstania antycarskiego skutecznie propagowali w Łodzi litograf **Franciszek Gotz**, urzędnik pocztowy **Ludwik Wendland** oraz sekretarz szkolny **Wiktor Jaworski**. Z chwilą powołania przez Komitet Centralny Narodowy ścisłej organizacji powstańczej większość z nich weszła w jego skład.

Do akcji tej włączyło się również duchowieństwo katolickie i protestanckie. W dużym stopniu ono inspirowało działania patriotyczne, a na pewno im przewodziło. Pastor kościoła ewangelickiego z miejscowej parafii Świętej Trójcy **Gustaw Karol Manitius** 13 marca 1861 roku odprawił nabożeństwo żałobne za poległych na ulicach Warszawy, a wygłoszone przezeń patriotyczne kazanie poruszyło całe miasto. W tym samym duchu działali i nauczali księża katolicy: proboszcz parafii Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny ks. **Wojciech Jakubowicz** i dwaj jego wikariusze ks. **Józef Czajkowski** i **Augustyn Zalewski**. To właśnie oni organizowali w nabożeństwa żałobne za dusze poległych bohaterów narodowych, a w sierpniu podniosłą uroczystość w rocznicę uchwalenia Unii Lubelskiej.

Wszystkie ówczesne centralne dzienniki odnotowały organizowane w Łodzi nabożeństwa w kościołach katolickich i protestanckich. Pisano o manifestacjach patriotycznych i religijnych mających miejsce na ulicach Łodzi „z użyciem godła narodowych i kościelnych”. Wspominano bez ogródek uczestnictwo w nich polskiej, niemieckiej i żydowskiej czeladzi, robotników i majstrów. Szczególnie rozpisywano się o sierpniowej demonstracji w luterańskim zborze Świętej Trójcy na Rynku Nowego Miasta, w czasie której orkiestra dęta grała hymn religijno-patriotyczny „Boże coś Polskę”, a zebrani manifestanci śpiewali go w języku niemieckim. Relacjonując największą manifestację, jaką był pogrzeb metropolity warszawskiego abp. **Antoniego Melchiora Fijałkowskiego** 10 października 1861 roku, pamiętnikarze podkreślali udział w niej „deputacji miasta Łodzi”.

Manifestacje uliczne i patriotyczne nabożeństwa aktywizowały miejscowe społeczeństwo pod względem politycznym. Tym samym tworzone podatny grunt pod przyszłe powstanie narodowe i działalność konspiracyjną organizacji niepodległościowych. Kierował nią od lutego 1862 roku, z upoważnienia Komitetu Centralnego Narodowego, fotograf **Józef Zajązkowski**. Praca łódzkiej organizacji narodowej koncentrowała się na działaniach kadrowych, propagandowych, finansowych i militarnych. Przygotowywano zaplecze medyczne, a w lasach łagiewnickich szkolono przyszłych insurgentów.

„Rewolucja moralna” charakterystyczna dla pokolenia insurekcji styczniowej kwestie ducha przekładała nad sprawy materialne. W konfesjonatach i na ambonach kościelnych duchowieństwo formowało postawy aktywnego patriotyzmu, wolności duchowej i bezgranicznej służby sprawie narodowej. Manifestacje religijno-patriotyczne ten model życia społecznego w zniewolonym kraju uwypuklały, zaś gotowość do poświęceń włącznie z daniną krwi, umocniła ten proces jeszcze bardziej.

Spółczesność łódzkie połowy XIX wieku było „młode”, dopiero w fazie powstawania. Poszukiwano wspólnej płaszczyzny w celu porozumienia się reprezentantów różnych narodów, religii i kultur. Było jednak na tyle chłonne, że bardzo szybko zaabsorbowało polskie dążenia niepodległościowe i aktywnie włączyło się do działań patriotycznych. A kiedy trzeba było podjąć się największego ryzyka dla dobra narodowej sprawy, nie czekano z rezerwą.

Łódzcy konspiratorzy chcieli przede wszystkim zrzucić jarzmo niewoli narodowej, bo „byli silni duchem i mocni wiarą”. Dlatego, gdy w styczniu 1863 roku wybuchło powstanie, „poszli w bój bez broni”.

Marek Budziarek

*– doktor teologii, historyk; publicysta,
kustosz Muzeum Historii Miasta Łodzi.*

„Zeitungi”, „Kuriery”, „Expressy”

140 lat prasy codziennej w Łodzi cz. II

Z odzyskaniem niepodległości przed dziennikarstwem łódzkim otwały się nowe perspektywy. Równocześnie z upowszechnieniem oświaty, rozwojem życia społecznego i politycznego postępował rozwój prasy. Na rozpowszechnienie gazet nie miały wpływu również udoskonalenie środków komunikacyjnych i techniki druku.

W pierwszych latach niepodległości największą poczytnością cieszyły się pisma związane z określoną partią, czy stronnictwem politycznym. Później górę wzięły dzienniki umiarkowane typu informacyjnego.

Proces ten zaobserwować można na przykładzie **Kuriera Łódzkiego**. Wydawca dziennika popadłszy w tarapaty pieniężne zwrócił się do zamożnego adwokata **Jana Stypułkowskiego** z propozycją sprzedaży pisma. Stypułkowski odczuwając potrzebę założenia organu prasowego, który byłby wyrazicielem nowych prądów w polskim środowisku Łodzi, przyjął propozycję **Książka** i do spółki z aptekarzem **Wiktorem Groszkowskim** i kupcem **Ryszardem Pfeifferem** nabył wspomniany dziennik w połowie grudnia 1919 r. Naczelnym redaktorem gazety został **Lucjan Dąbrowski**, zaś w skład redakcji m. in. weszli: **Konrad Fiedler** i **Leon Chwalbiński**. Spółka wydawnicza nie przysporzyła pismu sukcesów, toteż po kilku miesiącach została rozwiązana. Od 6 marca 1920 roku Stypułkowski stał się wyłącznym właścicielem „Kuriera”. Odtąd gazeta przyjęła kierunek bardziej umiarkowany, wyrażający poglądy pozapartyjnej prawicy. Rozbudowany został aparat redakcyjny. W 1921 roku, po odejściu Lucjana Dąbrowskiego do Wilna, na czele redakcji „Kuriera Łódzkiego” stanął uzdolniony dziennikarz i publicysta **Czesław Gumkowski**.



W 1923 roku wydawca „Kuriera” sprowadził nowoczesne maszyny drukarskie z zagranicy. Nadeszły linotypy-maszyny, które w drukarstwie światowym wywołały istną rewolucję. Następnego roku „Kurier Łódzki” zaczął wydawać niedzielny dodatek ilustrowany „**Łódź w Ilustracji**” pod redakcją **Klemensa Orchulskiego**. Wkrótce pojawiły się inne dodatki, poświęcone różnym zagadnieniom.

Wznowiony 1 grudnia 1918 r. po czteroletniej przerwie „**Rozwój**” był już tylko cieniem dawnego dziennika i nie mógł skutecznie rywalizować z „Kurierem Łódzkim”. Zacofanie techniczne drukarni Czajewskiego, oraz zatrudnienie w niej personelu o niskich kwalifikacjach zawodowych odbijało się niekorzystnie na szacie graficznej pisma.

Ideologicznie „Rozwój” reprezentował skrajną prawicę i antysemityzm. Organ Czajewskiego, zasłużony wielce dla polskości w latach niewoli narodowej, schodził na manowce i wyraźnie chylił się ku upadkowi. Schorowany wydawca „Rozwoju” nie miał już wpływu na kierunek pisma. Zmarł w Warszawie w 1922 roku. Po śmierci założyciela gazety wydawnictwo objął jego syn – inżynier **Tadeusz Czajewski**.

„**GŁOS**” **Marcelego Sachsa**

W ostatnich tygodniach 1918 roku założono w Łodzi kilka nowych dzienników. Najutrz po usunięciu okupantów z miasta ukazało się nowe pismo codzienne „**Głos Polski**”, założone na gruzach kolaboracyjnej „**Godziny Polski**”. Początkowo pismo podpisywał **Bolesław Pienkiewicz**, działacz Stronnictwa Niezależności Narodowej, którą to organizację gazeta miała reprezentować. Właściwy wydawca „Głosu” **Marceli Sachs**, z uwagi na swój dotychczasowy udział w redagowaniu „Godziny Polski”, uważał za stosowne pozostawać w cieniu. Wkrótce jednak doszło do zatargu pomiędzy Sachsem, a kierownictwem SNN, w którego wyniku odwołało ono swoich pełnomocników z wydawnictwa „Głosu Polskiego”. Odtąd z upoważnienia Marcelego Sachsa redagowanie gazety przejął **Stanisław Lenartowicz**.

Wydawca „Głosu Polskiego” skupił w redakcji pisma czołówkę dziennikarzy łódzkich: **Mariana Nusbauma-Ołtaszewskiego**, **Władysława Polaka**, **Gustawa Wasercuga**, **Jana Urbacha**, **Eugeniusza Kronmana**. Większość czytelników „Głosu” rekrutowała się również ze spolonizowanej inteligencji żydowskiej.

Z dniem 20 października 1921 roku Marceli Sachs, niezależnie od ukazującego się rano „Głosu Polskiego”, zaczął wydawać popołudniówkę „**Kurier Wieczorny**”. Gazety tłoczono we własnej drukarni. „Głos Polski” wykazywał początkowo dużą żywotność dziennikarską. Pismo miało szereg dodatków. W niedzielę wychodził



8-stronicowy „**Dodatek Ilustrowany**” o tematyce przeważnie łódzkiej. W dodatku społeczno-literackim swoje utwory zamieszczali miejscowi poeci: **Marian Piechal**, **Aleksander Kraśniański**, **Kazimierz Sowiński** i inni.

Krótki żywot „**DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO**”

Z końcem listopada 1918 r. z braku czytelników przestała wychodzić „**Gazeta Łódzka**” **Jana Grodka**. Zastąpiło ją założone 1 grudnia tegoż roku przez grupę inteligencji łódzkiej pismo codzienne „**Straż Polska**”. Oficjalnym wydawcą gazety był **Wiktor Gajdziński**, a naczelnym redaktorem początkowo **Józef Petrycki**, później zaś **Lucjan Dąbrowski**. Pismo to, po rocznej egzystencji zostało połączone z „**Kurierem Łódzkim**”. Znacznie krótszy, bo zaledwie dwumiesięczny żywot miał „**Dziennik Łódzki**”, założony z początkiem lutego 1919 roku przez spółkę wydawniczą złożoną z 30 osób. Redakcję gazety powierzono **Marianowi Nusbaumowi-Oftaszewskiemu**, referentowi prasowemu magistratu łódzkiego.

Potrzeby czytelnicze łódzkiego środowiska robotniczego skłoniły miejscową organizację Narodowej Partii Robotniczej do wydawania własnego organu prasowego. Z początkiem 1920 roku pojawił się w Łodzi dziennik „**Praca**”. Gazetę redagowali: **Stanisław Lenartowicz** i **Ludwik Waszkiewicz**. Po dwóch latach na skutek trudności finansowych i słabej poczytności pismo zlikwidowano.

Po odzyskaniu niepodległości znaczne zmiany zaszły także w łódzkiej prasie obcojęzycznej. Z pism niemieckich nadal ukazywało się „**Neue Lodzer Zeitung**”. Już jednak pod koniec listopada 1918 roku pojawił się na ulicach Łodzi organ prasowy nacjonalistów niemieckich „**Freie Presse**”. W 1923 roku ukazał się w Łodzi trzeci dziennik niemiecki „**Lodzer Volkszeitung**”, będący centralnym organem Niemieckiej Socjalistycznej Partii Pracy. Natomiast w języku żydowskim / jidysz / wychodziła gazeta codzienna „**Najer Folksblat**”.



Reforma walutowa, przeprowadzona w kraju w połowie 1924 roku, otwierała nowe możliwości w zakresie rozwoju prasy. Zastąpienie bezwartościowej marki polskiej walutą złotową stabilizowało w znacznej mierze położenie materialne wydawców gazet. Dawało to możliwość przeprowadzenia inwestycji, mających na celu unowocześnienie bazy wydawniczej pism codziennych.

Poważna „REPUBLIKA“

Po ustabilizowaniu się sytuacji gospodarczej, w Łodzi, podobnie jak w niektórych dużych ośrodkach miejskich kraju zarysowały się tendencje do tworzenia wielkich wydawnictw prasowych, mających charakter koncernów. Szczególnie dotyczyło to „**Republiki**“. Gazeta ta pojawiła się w Łodzi 6 stycznia 1923 roku. Wydawcą jej była spółka złożona z pięciu udziałowców: znanego przemysłowca łódzkiego **Maurycego Ignacego Poznańskiego**, działacza gospodarczego dr **Leszka Kirkiena**, współwłaściciela dwóch kin **Sergiusza Cynamona**, oraz dwóch dziennikarzy, dotychczasowych współpracowników „Głosu Polskiego“: **Mariana Nusbauma-Oftaszewskiego** i **Władysława Polaka**. Redaktorem naczelnym „Republiki“ został **Marian Nusbaum-Oftaszewski**, podpisujący swoje publikacje kryptonimem **Czesław Oftaszewski**. Dział gospodarczy gazety objął **Leszek Kirkien**, lokalny - **Władysław Polak**.

Początkowo pismo tłoczono w Drukarni Państwowej w Łodzi, ale już po kilku miesiącach druk „Republiki“ przeniesiono do własnej drukarni wyposażonej w nowoczesne urządzenia. Gazeta reprezentowała typ poważnego dziennika, przeznaczonego głównie dla czytelników wywodzących się ze sfer przemysłowo-handlowych. Wśród pism porannych, wychodzących w Łodzi, miała ona najwyższy nakład, przekraczający w dzień powszedni 20 000 egzemplarzy. Niedzielne wydanie gazety ukazywało się w potrójnym nakładzie i obejmowało „**Dodatek Literacko-Naukowy**“, oraz drukowaną techniką rotograwiurą „**Panoramę**“. Objętość niedzielnego numeru „Republiki“ sięgała 40 stron. Ze względów cenzuralnych pismo zmieniło w 1925 roku tytuł na „**Ilustrowaną Republikę**“, przy którym pozostało do II wojny światowej.

Podstawę koncernu „Ilustrowanej Republiki“ stanowił założony także w 1923 roku popołudniowy „**Express Ilustrowany**“. W zamyśle wydawców miał to być popularny dziennik, przeznaczony dla masowego odbiorcy. „Express“ wkrótce stał się zdecydowanym potentatem na rynku łódzkim, uzyskując przewagę nad pozostałymi gazetami. Powodzenie dziennika wśród czytelników prasy zachęciło wydawców do rozszerzenia jego zasięgu na całą Polskę. W latach 30-ych ubiegłego wieku „Express Ilustrowany“ osiągnął wraz z mutacjami nakład 60 tys. egzemplarzy w dni powszednie i 100 tys. – w niedziele. Ośmiokolumnowy „Express“ pod redakcją **Władysława Polaka** miał charakter sensacyjny. Sporo miejsca przeznaczal też na sprawy lokalne. Redakcja pisma przyciągała do niego czytelników, sięgając po komiksy i prymitywne powieści. Utwory te, osnute przeważnie na tle stosunków łódzkich dostarczali współpracownicy gazety: **Ludwik Starski**, **Mieczysław Jagoszewski** i **Jerzy Bolski**.

Koncern Jana Stypułkowskiego

W ślady koncernu prasowego „Ilustrowanej Republiki“ poszedł wydawca „Kuriera Łódzkiego“- **Jan Stypułkowski**. Od 3 lutego 1925 roku zaczął wydawać dziennik popołudniowy „**Łódzkie Echo Wieczorne**“ pod redakcją **Franciszka Probst**a. Pismo to,

przeznaczone głównie dla kręgów robotniczych, stosowało duże tytuły, liczne fotografie, jak również zamieszczało sporo informacji o charakterze sensacyjnym. Ukazywało się w objętości 6-8 stron dużego formatu. Do niedzielnego wydania dochodził czterostronicowy dodatek ilustrowany „**Kalejdoskop**”. Gazeta poczytnością nie dorównywała „Expressowi”, ale przewyższała go poziomem redagowania i techniką drukarską. Stypułkowski sprowadził dla swoich wydawnictw najnowszego typu maszynę rotacyjną. Urządzenia drukarskie przeniósł do własnego gmachu przy ulicy Żwirki 2. W tym samym budynku znalazły pomieszczenie redakcje wydawnictwa.

Od października 1928 roku popołudniówka Stypułkowskiego zaczęła wychodzić pod nagłówkiem „**Echo**”. W tym czasie pojawiły się mutacje tej gazety na kraj, początkowo cztery, a następnie 11. Łączny nakład „Echa” wzrósł do około 40 tysięcy egzemplarzy. Objętość gazety w dni powszednie wahała się od 8 do 10 kolumn druku, natomiast w dni świąteczne łącznie z dodatkiem „**Łódź w ilustracji**” zwiększała się do 32 stron. Zespołowi redakcyjnemu przewodził **Czesław Gumowski**, sekretariat prowadził **Stanisław Rachlewski**. „Kurier Łódzki” najwięcej czytelników posiadał wśród czytelników trudniących się wolnymi zawodami, a także wśród urzędników i rzemieślników.

Sukcesy wydawnicze osiągnięte przez koncerty prasowe „Ilustrowanej Republiki” i „Kuriera Łódzkiego” nie dawały spokoju innym wydawcom gazet, szczególnie Marcelemu Sachsovi, któremu wiodło się najlepiej. „Głos Polski” uchodził wtedy za nieoficjalny organ miejscowej organizacji Polskiej Partii Socjalistycznej i cieszył się poparciem socjalistycznego magistratu, który zasiliał pismo w sporą ilość dobrze płatnych ogłoszeń. Odejście socjalistów z władz miejskich w wyniku przegranych wyborów pozbawiło „Głos Polski” źródła dochodów, jakimi były magistrackie ogłoszenia. Postawiło to wydawcę w trudnym położeniu. Ofiarą kryzysu padł także drugi dziennik wydawany przez Sachsa „Kurier Wieczorny”. Z braku czytelników uległ likwidacji w 1925 roku.



Czas „**GŁOSU PORANNEGO**”

Po tzw. „przewrocie majowym” „Głos Polski” jako jedyne pismo w Łodzi przeszedł na pozycję prorządowe, co spowodowało, że dziennik utracił czytelników o przekonaniach demokratycznych. Marceli Sachs w obliczu dalszego spadku poczytności „Głosu” przekazał pismo założonej przez siebie spółce „**Wydawnictwo Powszechne**”, do udziału w której dopuścił kilku członków redakcji. Stanowisko naczelnego redaktora „Głosu Polskiego” objął **Gustaw Wassercug**. Grupa publicystów, dzierżawiąca ten dziennik od

złożonego ciężką chorobą Marcelego Sachsa, w ostatnim numerze ze stycznia 1929 roku złożyła oświadczenie, że „Głos Polski” przestaje wychodzić, a na jego miejsce ukazać się inne pismo o tytule „Głos Poranny”.

Oświadczenie to było ogromnym zaskoczeniem dla właściciela „Głosu Polskiego”, gdyż dzierżawcy pisma nie ujawnili przed nim swoich zamiarów. Pomiędzy wznowionym przez Sachsa „Głosem Polskim”, a „Głosem Porannym” rozgorzała zacięta batalia prasowa, w której przeciwnicy wzajemnie obrzucali się oszczerstwem. W niesławnym boju szalę zwycięstwa przeważyli czytelnicy, opowiadając się w większości po stronie lepiej redagowanego „Głosu Porannego”. „Głos Polski” wegetował jeszcze przez kilka miesięcy i pod koniec 1929 roku uległ likwidacji.

Na czele „Głosu Porannego” stał **Jan Urbach**. W skład zespołu redakcyjnego m.in. wchodził: **Eugeniusz Kronman**, **Gustaw Wassercug**, **Jakub Warhaftig**, **Stefan Gelbart**. Pismo ukazywało się w nakładzie 7 tys. egzemplarzy. W dni powszednie zawierało 12 kolumn druku, a w niedzielę z dodatkami 28 stron. Wydawcy „Głosu Porannego”, zachęteni dotychczasowymi sukcesami, próbowali mocniejszego usadowienia się w miejscowej prasie. Zamiar swój poczęli realizować od wydania popołudniowego pisma pt. „**Ilustrowana Prasa Wieczorna**”. Trzecia popołudniówka w Łodzi nie zdołała wywalczyć sobie miejsca obok „Expressu” i „Echa” i po półrocznej wegetacji z końcem kwietnia 1929 roku została zawieszona. Po tym przykrym doświadczeniu redaktorzy „Głosu Porannego” skupili uwagę na wewnętrznym i zewnętrznym doskonaleniu pisma. Dziennik prowadzony był żywo i ciekawie, odznaczał się też wysokim poziomem publicystyki. Na łamach gazety zamieszczali swoje utwory początkujący poeci i prozaicy: **Marian Piechal**, **Grzegorz Timofiejew**, **Świątoplek Karpiński** i inni.

Nieprzychylnie stanowisko większości prasy łódzkiej do rządów pomajowych skłoniło miejscowe koła prorządowe do założenia w Łodzi organu prasowego, służącego celom obozu Piłsudskiego. 16 września 1927 roku pod szyldem Towarzystwa Rzemieślniczego „Resursa” począł wychodzić subsydiowany przez sanację dziennik „**Hasło Łódzkie**”. Kierownictwo pisma powierzono **Stanisławowi Targowskiemu**. Redaktorem odpowiedzialnym został **Michał Walter**. „Hasło Łódzkie” zawierało 8-12 kolumn druku. Do niedzielnego wydania gazety dołączony był dodatek ilustrowany. Pismo przetrwało do początku stycznia 1931 roku, kiedy to z braku czytelników przestał wychodzić. Drukarnię wydawnictwa nabył Jan Stypułkowski, a większość członków redakcji „Hasła” przeszła do „Kuriera Łódzkiego”.

Wskrzeszenie i kolejny koniec „DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO”

W kilka miesięcy po likwidacji „Hasła Łódzkiego”, we wrześniu 1939 roku ukazało się nowe pismo – „**Dziennik Łódzki**”. Założyła je grupa pozostających bez pracy dziennikarzy i drukarzy. Redaktorem naczelnym gazety został **Józef Przybylski**. „Dziennik Łódzki” tłoczony w kilkutyśiecznym nakładzie obejmował od 8 do 10 stron druku.

Do niedzielnego numeru dołączany był ośmiostronicowy dodatek ilustrowany „**Kalejdoskop**”. Wydawcy „Dziennika” dążyli do pozyskania czytelników przez zamieszczanie na jego łamach sensacyjnych opowieści osnutych na wydarzeniach łódzkich. Odślanianie przez to pismo kulis działalności niektórych przemysłowców łódzkich nosiło cechy szantażu, polegającego na wymuszaniu od nich środków finansowych na kontynuowanie swego wydawnictwa. „Dziennik Łódzki” w ciągu półtorarocznej vegetacji dwukrotnie zmieniał tytuł. Z końcem marca 1933 roku z braku dostatecznej liczby czytelników pismo zostało zlikwidowane.

Szaleństwa cenzury

Po przewrocie majowym wolność prasy w Polsce została znacznie ograniczona. Pisma ustosunkowane krytycznie do rządów pomajowych stały się przedmiotem ostrych represji ze strony czynników administracyjnych. W gazetach zaczęły pojawiać się białe plamy, świadczące o wytężonej pracy cenzorów. -Taka plama, to reklama- odpowiadali dziennikarze na prześladowania cenzury. Pierwszym pismem w Polsce, skonfiskowanym na podstawie nowych przepisów prasowych, był łódzki „Rozwój”.

Pismo to przejawiało najbardziej nieprzejednany stosunek wobec pomajowego reżimu. Szczególną ostrością odznaczały się artykuły wstępne „Rozwoju”, pisane przez jednego z przywódców miejscowego Stronnictwa Narodowego. 99 konfiskata „Rozwoju” nastąpiła właśnie z powodu zamieszczenia w gazecie artykułu tego publicyście, nacechowanego niezwykle śmiałymi sformułowaniami: „Polska dziś do złudzenia imituje przeciętny dom czynszowy, przepisowo otynkowany, z pobielonymi rynsztokami, wewnątrz którego przedstawia wielka rudera, gdzie gnieźdzą się bezrobotni, gdzie co drugi dzień odbywa się licytacja ostatnich gratów. Gdzie wreszcie mieści się zbankrutowany „dom publiczny”, w którym zamiast zabawy i rozgwaru dobrze idącego interesu szwenda się samotnie dziadek /Piłsudski – przyp. WP/ ponury i milczący od pewnego czasu”.

W kilka dni później nastąpiła setna konfiskata „Rozwoju”. To niecodzienne wydarzenie redaktorzy gazety upamiętnili wydaniem jubileuszowego numeru. Pozbawieni poczucia humoru cenzorzy numer ten także skonfiskowali. Igraszki wydawcy „Rozwoju” z cenzurą prasową zakończyły się dla pisma katastrofalnie. W połowie listopada 1931 roku „Rozwój” po blisko 35 latach istnienia z nakazu władz administracyjnych został zawieszony.

Represje cenzury dotyczyły również inne pisma. Żerujące na kryminalistyce gazety „Ilustrowana Republika” i „Express Ilustrowany” dla ukrócenia niezdrowej sensacji były parokrotnie konfiskowane. Wywoływało to protesty wydawców tych pism. Sporo powodów do narzekań na prześladowania cenzury mieli także wydawcy lewicującego „Głosu Porannego”.

„Cenzura bodajże nigdy nie szalała w tym stopniu, co obecnie i nigdy nie spotkaliśmy tak silnego krępowania pracy dziennikarskiej“ – pisał red. naczelny gazety Jan Urbach.

Rok 1931 zapoczątkował niezmiernie trudny okres w dziejach łódzkiego dziennikarstwa. Zastój w miejscowym przemyśle i związane z nim bezrobocie, spowodowały spadek nakładów prasy. Pomimo przeprowadzonej obniżki cen gazet porannych z 25 do 15 groszy za egzemplarz, zaś popołudniowych z 20 do 10 groszy, liczba odbiorców wyraźnie zmalała.

Skutki kryzysu gospodarczego odczuły także niektóre pisma obcojęzyczne wychodzące w Łodzi. W połowie 1935 roku na skutek katastrofalnego ubytku czytelników zawieszona została lewicowa gazeta niemiecka „**Lodzer Volkszeitung**“. Następnego roku identyczny los spotkał wydawany w języku jidisz dziennik „**Lodzier Togblat**“.

Nasilające się od jakiegoś czasu nastroje antysemickie w kraju nie pozostawały bez wpływu na układ stosunków w łódzkiej prasie. Większość miejscowych pism wydawanych w języku polskim znajdowała się wówczas w posiadaniu osób pochodzenia żydowskiego. Tak było w „Ilustrowanej Republice“, „Expressie Ilustrowanym“ i „Głosie Porannym“. Prasa prawicowa, nastawiona antysemicko, nie omieszkała żerować na tych faktach, nawołując jednocześnie do bojkotu wymienionych gazet. Na tym tle rozgorzała zaciepła polemika prasowa, przy czym nie przebiegano w wyrażeniach obsypując się wzajemnie stekiem grubiańskich epitetów i rysztokowych wyzwisk.

W ferworze ścierania się różnych ideologii i poglądów, z pola zainteresowań dziennikarzy schodziły na plan dalszy doniosłe wydarzenia za naszą zachodnią granicą. Prasa łódzka wprawdzie sporo miejsca poświęcała przemianom zachodzącym w hitlerowskiej III Rzeszy, ale poglądy swe na stosunki polsko-niemieckie formułowała bardzo ostrożnie. Rezerwę tą powodował nacisk cenzury, bowiem rząd polski nie życzył sobie zadrażnienia stosunków z Niemcami. Pomimo widomych oznak zbliżającej się wojny, gazety łódzkie starały się przekonać społeczeństwo, że do takiej ostateczności nie dojdzie. Uzasadniały to rzekomym załamaniem się gospodarki niemieckiej, oraz potęgą militarną naszych sojuszników Anglii i Francji. Jeszcze na kilka dni przed rozpoczęciem działań wojennych gazety zachęcały czytelników do wyjazdu na wczasy zagraniczne.

Pierwsza łódzka „gadinówka“

Wybuch wojny polsko-niemieckiej 1 września 1939 roku przerwał na kilka lat bieg dziejów prasy polskiej w Łodzi. Ostatnie numery gazet łódzkich z pierwszych dni września zawierały optymistyczne wiadomości. Donoszono o rajdzie polskiej kawalerii do Prus Wschodnich, o bombardowaniu Berlina przez polskich lotników. W obliczu hitlerowskiej nawały pisma te nadal szermowały sloganami bez pokrycia: „silni, zwarci, gotowi“ i „nie oddamy ani guzika“.



5 września 1939 roku był ostatnim dniem egzystencji prasy polskiej w Łodzi. Rozpoczęła się ewakuacja miasta przed nadciągającym nieprzyjacielem.

Wszystkie wydawnictwa prasowe zostały zawieszono, a znaczna większość dziennikarzy opuściła Łódź, rozbiegając się po świecie. Likwidacji uległy również gazety obcojęzyczne: żydowska „Najer Folksblat” i niemiecka „Neue Lodzer Zeitung”. Jedyne prohitlerowska „Freie Presse”, zawieszona przez władze polskie, po wejściu Niemców do Łodzi poczęła wychodzić ponownie.

Pismo zmieniło tytuł na „Deutsche Lodzer Zeitung”, a następnie na „Litzmannstädter Zeitung”.

22 września 1939 roku z inspiracji niemieckich wojsk okupacyjnych pojawił się w Łodzi dziennik popołudniowy w języku polskim „Gazeta Łódzka”. Komisarycznym kierownikiem redakcji został **Heinz Schulz**, Niemiec z Królewca. Funkcję redaktora naczelnego objął **Michał Walter**, były współpracownik „Kuriera Łódzkiego”. Pismo obejmowało 4 strony druku, zaś nakład wynosił 50 tys. egzemplarzy. Żywość tej gazety był krótki. 9 listopada 1939 roku Łódź została włączona do Rzeszy Niemieckiej i tegoż dnia ukazał się ostatni numer hitlerowskiej popołudniówki w języku polskim.

Wacław Pawlak

– ekonomista; wnikliwy badacz dziejów Łodzi i okolic.

Autor pięciu książek o tematyce łódzkiej.

Od chłopskiej sukmany do miejskiej apaszki

*czyli kilka słów o ubiorze
robotniczym w dawnej Łodzi*

historia

W okresie rozwoju przemysłu włókienniczego w Łodzi, a zwłaszcza w drugiej połowie XIX wieku, napływała nieustannie do Łodzi fala ludzi poszukujących pracy i lepszego bytu. Przeważnie była to ludność wiejska, dla której osiedlenie się w mieście oznaczało poprawę warunków życia, jak również społeczną nobilitację. Liczebność osadników pochodzących z tych samych stron, wnoszone przez nich cechy kulturowe, miały duży wpływ na koloryt miasta. Tworzyły go zwyczaje, obrzędy, wierzenia, gry i zabawy, a także ubiór-widomy znak przynależności społecznej. Stosunek łódzkich robotników do przybyszów ze wsi był różny. Część z nich usposobiona była negatywnie, co w kontekście ciężkich warunków życia i braku pracy było zrozumiałe. Ludzie ze wsi trzymali się zwykle razem, starali się pracować w większych grupach, mieszkali również w bardzo bliskim sąsiedztwie. Z biegiem czasu ludność wiejska w coraz większym stopniu asymilowała się, bądź to w miejscu pracy, bądź też przez związki matrymonialne. Dorośli odnosili się do przybyszów przyjaźnie, jedynie dzieci przedrzeźniały wiejską mowę. Moment przeistoczenia się w „miastowego” zabawnie charakteryzuje widzewska piosenka:

„Przyjechał Wojtek do Łodzi,
chciał grać rolę pana,
nie jadał barszczu, pijał kawę z rana,
smarował wąsy pokostem, włosy koperwasem,
nie był już chłopem prostym,
jadał mięso czasem.
Przyjechała Kaśka za nim,
kupił jej trzewiki,
no i ona się dostała zaraz do fabryki,
kupiła sobie kapelusz kredą malowany
i kieckę szeroką od ściany do ściany”.
„.... Wpierw chodziłam we wełniaku, oj dana dana
teraz na mnie suknia długa, upinana, oj dana dana...”

Różnice między robotnikami, a chłopami były widoczne i najdłużej przetrwały w sposobie bycia i mowie, natomiast najszybciej zanikały w ubiorze. Kobiety najpierw zarzucały zwyczaj noszenia wełniaków. Szyły sobie kretonowe lub wełniane spódnice, długie, obszyte u dołu szczoteczka. Do tego zakładały mniej lub bardziej strojne bluzki i kaftany.

Często zachowywano odświętne stroje z rodzinnej wsi i w początkowym okresie pobytu w mieście, wkładano do kościoła i na procesję. Ubiór wiejski można było spotkać najczęściej na przedmieściach Łodzi. Przybyli do miasta mężczyźni w pierwszym rzędzie kupowali miejskie obuwie zarzucając buty z cholewami i czapki tzw. cyklistówki (zamiast wiejskich maciejówek). Zamożniejsi ubierali się w niedzielę w garnitury, a na głowy zakładali kapelusze. Zimą łatwiej można było odróżnić robotnika wiejskiego pochodzenia od innych, gdyż chodził on w kozuchu. Część kobiet, mimo iż kupowała materiały fabryczne i szyla sobie ubiory na wzór miejski, zachowała elementy tradycyjne (wiejskie). Wyrażało to się m. in. w suto marszczonych spódnicach, nakładanym w niedzielę białym fartuchu, poza tym w fasonie perkalowego, dopasowanego kaftanika z baskinką. Buty noszono długie, sznurowane, na obcasach podbitych podkówkami. Na głowie kobiety wiązały barwne chustki tzw. marynuszki, z kwiatowym wzorem. Szyję zdobiły najczęściej trzy sznury koralu tzw. sieczka.

Ubiór codzienny, który kobiety zakładały do pracy na początku XX wieku wyglądał następująco: bluzka kretonowa lub flanelowa z długimi, zwężającymi się rękawami, poszerzonymi w tzw. bufki na ramionach, kołnierzyk był mały zaokrąglony lub tzw. stójka. W porze cieplej bluzki miały dekolt w karo. Bluzkę wpuszczano do środka spódnicy lub wykładano na wierzch jeśli była baskinka. Spódnica uszyta z klinów rozszerzała się ku dołowi, jej długość sięgała kostek. Po I wojnie długość spódnicy zmieniła się i sięgała połowy łydki. Na plecy kobiety zarzucały wełniane chusty w kratę, z frędzlami. W kilka lat po I wojnie rozpowszechniły się chusty tzw. pluszówki w kolorze brązowym i szarym. Niezależnie od dużych chust na ramiona, na głowę zakładano marynuskę. Jedyńm rodzajem noszonych powszechnie pończoch były tzw. patentki. Jako obuwie służyły skórzane klapki z zabudowanym przodem, na drewnianych spodach tzw. „tuchpantofle“. Całość sylwetki dopełniał węzełek z chustki w rękę, w którym noszono do fabryki chleb, zwykle ze smalcem oraz bańka z kawą. Część kobiet, którym się lepiej wiodło miała zamiast węzełków koszyki wiklinowe, lub torby z nici wykonane szydełkiem, z metalowymi rączkami. Okrycie wierzchnie w postaci chust w latach trzydziestych XX wieku zostało stopniowo wyparte przez swetry, a drewniane klapki, przez półbuty.

Wszelkie nowości zarówno do stroju codziennego jak i świątecznego wprowadzały dziewczęta, poczynając od długości spódnic po ozdoby. Najbardziej stabilnym elementem ubioru były chustki na głowę, noszone do pracy jeszcze wiele lat po II wojnie.

Mężczyźni zakładali do pracy zwykle stare, podniszczone ubrania. Nie charakteryzowały się one niczym szczególnym a kupowano je w sklepach jako odzież gotową. Oprócz ubrań donoszanych i zniszczonych, ubierano się w odzież przeznaczoną wyłącznie do pracy: były to cągowe spodnie, prosta bluza zapinana pod szyję z małym stojącym kołnierzykiem, na głowie czapka maciejówka lub cyklistówka, na nogach półbuty lub trepy. Robotnicy nosili obiad do fabryki zwykle w litrowych bańkach.

Ubiór codzienny rzadko bywał utrwalany na fotografiach. Wiadomości o nim zachowały się jedynie w pamięci najstarszych Łodzian, którzy opowiadali o nim swoim dzieciom.¹

Elżbieta Królikowska

– etnograf; długoletni starszy kustosz

Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego w Łodzi.

- 1 Przedstawiony materiał został opracowany na podstawie badań autorki w Łodzi w 1973 r.

Takiej szkoły się nie zapomina

Gimnazjum Aleksego Zimowskiego

Niemal nazajutrz po odzyskaniu Niepodległości w 1918 roku świątli Polacy wzięli się za odrabianie wiekowych zaniedbań w dziedzinie tak ważnej dla narodu jak oświata. Decyzji podjęcia takich działań nie powzięto ni stąd ni zowąd, ale stanowiła ona kontynuację walki o polską szkołę prowadzoną przez cały czas zaborów. Żeby nie sięgać zbyt daleko w przeszłość, wystarczy przypomnieć strajk szkolny podjęty przez młodzież łódzką w 1905 roku. Stanowił reakcją na szykany podjęte przez zaborcę po stłumieniu powstania styczniowego. Zostały wtedy pozamykane szkoły polskie z warszawską Szkołą Główną na czele, na ich miejsce Rosjanie wprowadzili rosyjskie, zabronili używania w nich języka polskiego, nawet po zajęciach, zabronili nauki historii Polski. Za przykład walki nauczycieli polskich o dusze dzieciaków niech posłuży postawa nauczycielki elementarnej, bodaj trzyklasowej, szkoły mieszczącej się przy ul Długiej (Gdańskiej) 10, w sąsiedztwie rosyjskiego więzienia i... szubienicy, Julii Zbijewskiej. Oto dwa fragmenty jej wspomnień:

„Naczelnik dykcji naukowej, nałogowy pijak, podobno niezły człowiek, bo przez niego nie zamknięto żadnej szkoły, wpadł podczas pewnej wizytacji do klasy w kaloszach, futrze i w czapce rozsiadł się w krześle i zaczął po rosyjsku:

– Tu duch polski pachnie!

A jak pachnie polski duch? – zapytuję – Bo rosyjski pachnie dziegiem.

To pytanie stropiło go, a zarazem uspokoiło trochę, lecz kazał mi przynieść pozwolenie na otwarcie szkoły. Wychodzę po nie, a on sam zostaje z dziećmi, zbliża się do nich i zapytuje:

Czy wy się uczyście historii Polski?

Pyta o to kilkoro dzieci, lecz te milczą. Przekonywał się, że nic się od nich nie dowie, więc już dobrotliwie woła:

Ach wy, muchy. Nic nie powiecie...”

A oto inne wspomnienie zapisane przez tę samą cichą bohaterkę walki o polskość tego miasta:

„Przechodzę raz przez klasę, gdzie odbywa się lekcja rosyjskiego.

Słyszę pytanie nauczycielki wypowiedziane z irytacją:

– No mów, gdzie ojczyzna twoja?

Uczenica stoi z opuszczoną głową i milczy.

– Rosja jest twoją ojczyzną – wyrzuca ze swojego gardła nauczycielka.

Tak został sprofanowany słodki wyraz Ojczyzna.

Mówię do uczennicy:

– Polska jest twoją ojczyzną.

I wychodzę.“

Strajk w 1905 roku rozpoczęli uczniowie gimnazjum męskiego, tego z ulicy Dzikiej czyli Sienkiewicza, później nazwanego imieniem Józefa Piłsudskiego. Pozrywali rosyjskie znaczki z czapek i nie poszli na lekcje, a nawet pikietowali szkołę, by nie wpuścić łamistrąjków. Uczniów narodowości rosyjskiej grzecznie zwracali do domów, wyjaśniając im powody strajku. W szkole handlowej przy ulicy Dzielnej (obecnie ulica Narutowicza; później Gimnazjum Zgromadzenia Kupców, dziś UŁ) dyrektor zamknął na klucz drzwi do auli, by nie dopuścić do wiecu. Uczniowie wyłamali drzwi. „Niech żyje szkoła, precz z rosyjską!“ – odpowiadali na perswazje dyrektora. Ten zaczął zapędzać najmłodszych do klas. Oparł się temu dzieciak niewiele większy niż tornister, jaki miał na plecach. „Nie pójde do klasy – wyjaśnił – bo tatuś powiedział, żebym do szkoły nie chodził, póki uczą po rosyjsku“.

Ten strajk i inne, charakterystyczne dla owego roku, sprawiły, że administracja zaborcza ustąpiła. Dzieci polskie masowo opuszczały szkoły rosyjskie, a fakt ten skłonił ich polskich rodziców do założenia „Towarzystwa Popierania Szkół Średnich“, które już w następnym roku, 1906 pod nazwą: Towarzystwo Ucznia utworzyło gimnazjum, istniejące do dziś pod imieniem Mikołaja Kopernika. Budowę gmachu sfinansował przemysłowiec Edward Heiman. Zaczęły powstawać też inne szkoły, zwykle jako kilkuniasowe, powszechne. To ułatwiało rozwiązanie problemu oświaty – po odzyskaniu Niepodległości.

Do takich załączków przyszłego znaczącego gimnazjum należała założona w roku 1909 szkoła Aleksego Zimowskiego. Jako młody nauczyciel włączył się w dzieło odrabiania wspomnianych zaniedbań z czasu zaborów, tworząc początkowo tak zwane „progimnazjum filologiczne“ dwuklasowe, które jednak szybko się rozwijało i wkrótce po odzyskaniu Niepodległości była to placówka oświatowa dysponująca klasami – wstępną i przedwstępną, oraz ośmioma klasami gimnazjum.

Ocena szkolnictwa, czy poszczególnych szkół opiera się zwykle o dane statystyczne – liczba uczniów, nauczycieli, kubatura, oficjalne wyniki nauczania i temu podobne. W niniejszym artykule tego nie będzie (no dobrze! W 1922 roku

uczyło się u „Zimowskiego“ ponad czterystu uczniów), uważam bowiem za ważniejsze – atmosferę panującą w szkole i efekty wychowania. To sprawa nie do ujęcia w liczbach. One tkwią we wspomnieniach, przekonaniach wychowanków. Piszę – jako jeden z nich. Co więcej – mam możliwość oceny dwóch szkół, właśnie obu wyżej wspomnianych – państwowej imienia Kopernika i prywatnej Aleksiego Zimowskiego.

Do pierwszego trafiłem jako 10-letni chłopak. Moje zapamiętane wrażenia można potraktować jako wrażenia dziecka, więc – mało wiarygodne. Z drugiej strony – czyje wrażenia, jeśli nie dziecka, są tu ważne? Z dystansu wielu dziesiątków lat widzę siebie jako dzieciaka krzywdzonego „u Kopernika“, wybawionego z „koszmaru“ po przejściu „do Zimowskiego“. Pcha mi się „pod pióro“ (piszę w komputerze) owo słowo „koszmar“, że jednak po maturze przeżyłem cały ciąg koszmarów, to brzmi mi to słowo przesadnie. Z drugiej strony – kto wie, czy do przeżyć dziecka nie pasuje. Tematem jest „Zimowski“, myślę jednak, że skoro wspomnienie tej szkoły zawsze mi się kojarzy (prawem kontrastu!) z tamtą, to muszę chyba napisać, dlaczego. Rok 1925, mam 10 lat, nauczycielka polskiego i historii, niemłoda „panna“ Zofia Malczewska (u „Kopernika“) opowiada o wyprawie wiedeńskiej Jana Sobieskiego. Byłem jakoś tam odczytany. Podnoszę palce: „Proszę pani, ja o tym czytałem inaczej...“ Awantura! Zarozumiałe! I do relegowania mnie stamtąd byłem zarozumiałcem. Dwa lata później – lekcja chemii. W ławce przede mną siedzi Landowski. Wszystko wie i takim jakimś węzowym ruchem wyciąga palce, potem wijąc się, powoli wstaje i mówi mądre rzeczy. Nie wytrzymałem. Raz, kiedy tą metodą uniósł się, położyłem mu pod tyłek pineskę. Rozryczał się. Nauczyciel Horbacki (pedagog po pięćdziesiątce, a więc uczył jeszcze pod rosyjskim zaborem), gdy się dowiedział, zaczął najpierw nerwowo chodzić od okna do drzwi, potem się wypowiedział: „Ja rozumiem, że w szkole zaborczej uczeń starał się dokuczyć nauczycielowi. Ale żeby w wolnej Polsce uczeń uczniowi takie rzeczy! Ja nie rozumiem!“ Byłem załatwiony z chemii. Fizyk, prof. Wideman przy każdej okazji i bez niej, lamentował, że „stary profesor, a nie dostał orderu, chociaż...“ I tak mógłbym chyba o wszystkich. Aż, co wtedy było w Polsce rzadkością, złapali nauczyciela matematyki, Pawłowskiego na wzięciu łąpówki za maturę. Gdy się wykryło, wyrzucili go, a na jego miejsce przyszedł komiczny grubasek, Włodarczyk. Mówił cicho, mało kto go na lekcjach uważał, no bo trzeba było czymś się zająć. Pomysły były różne. Co do mnie – świetnie mi wychodził ryk krowy. I tak na każdej lekcji. Miarka się przebrała, kiedy klasa równoległa IV b, obłożyła (na lekcji Włodarczyka) swoje miejsce nauki taśmami filmowymi i je podpaliła. Dym, hałas. A nazajutrz śledztwo. Najpierw wywołują do dyrektora lizusów i donosicieli. Pierwszy poszedł Kolański, po nim (znany w peerelu dostojnik) Jerzy Albrecht. No to pomyślałem sobie, teraz pewnie przyjdzie moja kolej. I rzeczywiście. Wszystko wiedzieli, również, kto udawał krowę. Wywalili nas chyba z sześciu.

Brak wyrozumiałości brał się chyba u tych nauczycieli z doświadczeń w szkołach rosyjskich, przed pierwszą wojną? Czegoś podobnego nie wyczuło się u Zimowskiego.

Dostałem się tam bez trudu. Na pierwszej dużej przerwie patrzę – chodzi po podwórku dyrektor Ignacy Roliński, obok niego kilku uczniów i chyba opowiadają sobie kawały, bo co chwila wybuchają śmiechem. Ludzie! To jakiś inny świat!

To przejście z piekła do nieba, to kontrast, jaki w mej pamięci został z dzieciństwa na zawsze.

Dyrektor Ignacy Roliński – to mądry wychowawca i głęboko wykształcony pedagog. Na własne oczy obserwowałem taką scenę: pod płótem stoi maluch z jednej z tych klas przedgimnazjalnych i płacze. Dyrektor przykucnął przed nim, wziął go za rękę i zapytał, czemu płacze. Bo go coś boli, nie pamiętam, czy chodziło o ząb, czy coś innego. „Zaraz przestanie” – zapewnił dyrektor, nie puszczać dłoni pęta. „No, już mniej boli, prawda?” – mały potaknął. „A teraz – jeszcze mniej?” Tak. „A teraz już nie boli, prawda?” Tak i przestał płakać. Jeśli zdarzyła się przypadkowa nieobecność nauczyciela, przychodził Roliński, zaglądał do dziennika i prowadził lekcję. Bez względu na to, czy chodziło o przedmiot humanistyczny, czy ścisły, i bez względu na klasę. Toteż, kiedy po wojnie powstał Uniwersytet Łódzki, zaproponowano mu profesurę. Nie jemu jednemu z naszych pedagogów. O ile wiem, zaproszeni zostali: matematyk, prof. Jan Słowikowski, fizyk, prof. Karasek i ktoś jeszcze. Nie wiem, czy przeżył wojnę łacinnik, prof. Drosio. Wytworny, poważny pan, znakomity nauczyciel, wyrozumiały pedagog. Ponieważ był kompletnie łysy (przy jego męskiej urodzie to nie raziło), zrobiliśmy mu kiedyś kawał. Któryś z chłopaków, przed lekcją łaciny, celnym rzutem przylepił nad katedrą kulę śniegu. Pierwszą kroplę wody wytarł z głowy chusteczką, trochę zdziwiony. Kiedy przy następnej ryknęliśmy zbiorowym śmiechem, zszedł z katedry, wycierając głowę, spojrzał na sufit, odsunął dziennik i powiedział z uśmiechem „Och, nieznośne chłopaki”. U Kopernika w takim wypadku zaczęliby śledztwo.

Polskiego uczył nas prof. (chyba) Jakóbczyk, zaperzony legionista, piłsudczyk. Dyrektor Zimowski wyglądał mi raczej na endeka, może dlatego Jakóbczyk odszedł. Po nim był krótko ktoś nijaki, a wreszcie prof. Jan Bolechowski. Prowadził lekcje ciekawie, a wspominam go jako tego, który przysporzył mi sporo zdenerwowania na maturze. Warto to wydarzenie przypomnieć, jako nie do powtórzenia w dzisiejszej szkolnej rzeczywistości. Był to rok jakoś tam powiązany z Norwidem. Lubilem jego poezję i dobrze jego twórczość znałem. A był to też rok, chyba stulecia wydania *Pana Tadeusza*. Byliśmy pewni, że tematy maturalne będą obu tych poetów dotyczyły. Krótko przed maturą Bolechowski opowiedział nam następującą historię: Dyrektor Roliński bywał przedstawicielem Kuratorium na maturach w Gimnazjum Niemieckim (róg Kościuszki i Zamenhoffa), gdzie polskiego uczył on, Bolechowski. W poprzednim roku jeden z uczniów, oczywiście Niemiec, dostał na ustnym egzaminie temat z Norwida. Mówił 5 minut, nasz dyrektor mu przerwał i kazał postawić piątkę. Prof. Bolechowski

wspominał to wydarzenie z lubością. Przyszła nasza matura. Oczywiście na pisemnym był temat z *Pana Tadeusza*, do dziś znam całe fragmenty tego poematu na pamięć, więc napisałem na piątkę, co oznaczało zwolnienie z ustnego. Przychodzę nazajutrz do szkoły i, świetnie pamiętam, natykam się na Bolechowskiego na schodach. „No, jak nam poszło, panie profesorze”? pytam, pewien odpowiedzi. A tu Bolechowski zaczyna się krzywić – miał taki sposób wyrażania niezadowolonia – i powiada: „No nie, no nie, Urbankiewicz, nie można przecież w pracy maturalnej pisać „kształt” przez „er-zet”. Zdębiałem. On mi pokazuje pracę, a tam słowo to, pisane w pośpiechu wygląda jak trzy pałki, które można odczytać i tak i tak. Musiałem zdawać ustny z polskiego. Ja, jeden z najlepszych w klasie uczniów! Ale przecież on też to wiedział! Więc dlaczego robi mi taką przykrość? I wtedy przypomniła mi się historia owego znawcy Norwida w Gimnazjum Niemieckim. Raz jeszcze powtórzyłem sobie to i owo z Norwida i więcej niczego nie ruszałem. Egzaminacje maturalne odbywały się wtedy w atmosferze wzajemnego zaufania (przypadek Pawłowskiego u Kopernika, było to coś absolutnie wyjątkowego). Na ustnym komisja egzaminacyjna siedziała z jednej strony sali, zdający – z przeciwnej. Podchodziło się do nauczyciela, a on wypisywał na kartelusku temat, wracało się na miejsce i po kilku minutach szło się przed Komisję. Kiedy stanąłem przed Bolechowskim, on wziął taką, pamiętam, różową karteczkę, umaczał pióro w atramencie i... zaczął „się zastanawiać” patrząc w okno. A ja sobie myślę: zgryzwasz się, czy rzeczywiście szukasz dla mnie tematu? Po chwili zaczyna pisać, a ja czytam „do góry nogami”: „Wielkość Norwida w literaturze polskiej”. – O, stary zbereźniku, pomyślałem sobie, właśnie o to ci chodziło. No to – masz twój i mój sukces! Mówiłem sensownie przez 5 minut, dyrektor przerwał i kazał postawić piątkę, a więc ziściło się marzenie Bolechowskiego. Był szczęśliwy. Ja – też.

Sportem i gimnastyką zajmował się Eustachy Krak. Niemieckiego uczyła pani Elisabeth Lorentz. „Zadała” nam kiedyś napisanie na „klasówce” czegoś (chyba) o przyrodzie. Koledzy, znając moje zainteresowania literackie, byli pewni, że osiągnę sukces. Gdzie tam! Jeśli, przypuścimy, napisałem „chmury płakały rzęsimym deszczem”, to poprawiła na „z chmur padał rzęsimy deszcz”. Jeśli u mnie było „ogród śmiał się obfitością kwiecia”, to poprawiała na „w ogrodzie było dużo kwiatów”. Podobno, kiedy Niemcy wycofali się z Łodzi w styczniu 1945 roku, popełniła samobójstwo. Historii uczył początkowo prof. Aleksander Jackowski, później – Rac. Ten ostatni uczył w czasie okupacji na tajnych kompletach. Złapali go i rozstrzelali.

Z kolegów najlepiej zapamiętałem przede wszystkim rówieśników, którzy dotrwali do tego tysiąclecia. Znakomity adwokat – Edward Król. Znakomity ginekolog Bogusław Krawczyk, Antoni Mader, bohater drugiej wojny (Siły Zbrojne Na Zachodzie) Zdzisław Mrugalski. Nigdy nie zapomnę Sławka Krzywobłockiego, kawalerzysty, tak jak ja. Zmarł w Argentynie – też pięknie się zapisał w historii kampanii wrzeźniowej. Własnej wojennej historii też się nie wstydzę, Krzyż *Virtuti Militari*

i Krzyż Walecznych o czymś tam świadczą. Utraciłem kontakt ze szkołą 31 sierpnia 1939 roku, kiedy to wyjechałam na mobilizację. Wróciłem dość późno, bo w roku 1956, po kampanii wrześniowej, wojaczkę w szeregach Armii Krajowej na Wileńszczyźnie i po 12-letniej katorżce w Workucie. Zdążyłem odwiedzić dyrektora Rolińskiego. Był już bardzo chory i wkrótce zmarł.

Od późniejszych uczniów tej szkoły wiem, że Niemcy (wrzesień 1939) zamknęli ją po kilku dniach od zajęcia Łodzi. Jakiś czas istniała w Peerelu.

Ale – piszę to wszystko nie jako kronikarz szkoły, ale jako publicysta ze zgrozą obserwujący postawy i zachowanie dzisiejszej młodzieży szkolnej.

Ja wiem, że „dwa razy nie wchodzi się do tej samej rzeki“, że *pan-ta rei*, że inność powojennych pokoleń jest zjawiskiem naturalnym. Ale – kiedy po serii wiadomości o rozbojach, ba! zabójstwach wśród młodzieży szkolnej, przeczytałem gdzieś o pomysle powrotu do mundurków szkolnych, pomyślałem sobie, że ktoś szuka lekarstwa, choćby na niektóre schorzenia – w przeszłości. Może ma rację! Chodziłem do szkoły w takim samym mundurku w jakim chodzili – młody Scheibler, Grohman, czy Jasio Rzewuski, spokrewniony z Heinzłami. Na co dzień i na szkolnym balu! Kojarzy mi się to z ostrzeżeniem, jakiego nam udzielił przed baleem wychowawca: „Poproście rodziców o białe rękawiczki. Przecież nie można spoconymi rękami dotykać sukienek tych koleżanek. Te sukienki kosztują“.

Dziś – wiadomo, że dzieci przywożone samochodami do szkoły, pyszną się przed biedakami jakością swoich „ciuchów“. Dzieciak, który jadł szkolne, darmowe obiady, odmówił korzystania z tego dobrodziejstwa, kiedy zobaczył, jak kolega z bogatego domu pluje do wazy z zupą Dyrektorka toruńskiej szkoły, wslawionej niedawno brutalnymi aktami uczniów na nauczyciela, zaprezentowała się w telewizji, jako osoba o nader niskim stopniu inteligencji.

Warto chyba ustalić w drodze porównań, co dzisiejsza młodzież straciła w porównaniu z przedstawionym wyżej typem szkoły przedwojennej. By jej to zwrócić.

Jerzy Urbankiewicz
– nestor dziennikarzy łódzkich,
autor kilkunastu książek; kawalerzysta, oficer WP,
w czasie wojny w służbie AK, więzień Workuty,
prezes Stowarzyszenia Okręg Wileński Armii Krajowej.

45 lat tradycji

Szkoła Podstawowa nr 153

W roku 1945 trzeba było pracę oświatową w Łodzi zaczynać prawie od początku. W pierwszym okresie polityka oświatowa ówczesnych władz skierowana była na upowszechnienie oświaty w zakresie szkoły 7-letniej i likwidację analfabetyzmu. Wyszukiwano zasadę powszechności, bezpłatności, publiczności oraz jednolitości nauczania na wszystkich stopniach systemu oświaty szkolnej oraz pozaszkolnej.

Do 1948 r. w wielu miastach, również i w Łodzi, próbowano organizować klasy ósme. Jednak piętrzące się trudności natury materialnej i kadrowej wpłynęły na przerwanie realizacji tych zamierzeń. Instrukcja Ministerstwa Oświaty z dnia 8 maja 1948 r., nakazywała likwidację 8-klasowych szkół podstawowych i wprowadzała w sposób jednoznaczny szkoły 7-letnie.

Późniejszy zaś dekret o obowiązku szkolnym z 23 marca 1956 r., przesunął granicę wieku do lat 16. W maju 1957 r. obradował Zjazd Oświatowy. Rozpatrywano na nim pomysł wprowadzenia 10-letniej lub 8-letniej szkoły podstawowej. Ostatecznie jednak zwyciężyła koncepcja 8-letniej szkoły. W tym okresie liczba dzieci w wieku lat 7 – 13 objętych w Łodzi nauczaniem wzrastała bardzo szybko. Zjawisku temu miał towarzyszyć stopniowy wzrost liczby szkół podstawowych w różnych dzielnicach miasta.

Jedną z takich szkół zaprojektowano dla Bałut, przy ulicy Obrońców Westerplatte 28. Projekt budynku powstał w Przedsiębiorstwie Projektowania Budownictwa Miejskiego – Miastoprojekt w 1956 roku.

Pod koniec 1956 r. rozpoczęto budowę nowego budynku szkolnego, a zakończono ją w marcu 1958 r. Do użytku przekazano go 7 czerwca tego samego roku kierownikowi szkoły. Został nim Waclaw Słomkowski. Szkole nadano numer 153.

Pierwszą Radę Pedagogiczną w nowo otwartej szkole zwołano 30 sierpnia 1958 r. Oprócz Waclawa Słomkowskiego i jego zastępców – Apolonii Tylińskiej i Jadwigi Kuźniak -wzięło w niej udział 28 nauczycieli.

1 września 1958 r. rozpoczął się pierwszy rok szkolny. Przed nowo oddanym budynkiem o godzinie 8.00 zebrały się klasy I – VII. Klasy I – III udały się pod opieką nauczycieli do nieistniejącego już dziś kina „Pionier” przy ulicy Franciszkańskiej, gdzie powitały nowy rok szkolny. Po inauguracyjnym powitaniu Apolonii Tylińskiej, dzieci obejrzały kilka wyświetlonych bajek. W tym samym czasie klasy IV – VII zebrały się w sali gimnastycznej, gdzie odbyła się uroczysta akademii.

W nowej placówce powstało 26 oddziałów, a liczba wszystkich uczniów wynosiła 978. W budynku tym umieszczono także wieczorową szkołę podstawową.

Początkowo szkoła posiadała niewielką ilość pomocy naukowych. Później zaczęto stopniowo wyposażać ją w potrzebne sprzęty i pomoce. Utworzono świetlicę szkolną, bibliotekę, pracownię fizyczną i biologiczną.

Bardzo ważną datą dla Szkoły Podstawowej nr 153 stał się dzień 18 października 1959 r., kiedy to nadano jej imię Marii Skłodowskiej – Curie. Uroczystość ta odbyła się przed budynkiem szkolnym. Przekazano szkole sztandar zakupiony z funduszy Komitetu Rodzicielskiego i ze składek uczniów.

Od 1962 r. w szkole prowadzono nauczanie dwóch języków obcych: języka rosyjskiego i języka niemieckiego.

W roku szkolnym 1963/64 zorganizowana została klasa eksperymentalna. Była nią Va, utworzona z wyselekcjonowanych uczniów dobrych i bardzo dobrych z ubiegłorocznych klas czwartych. Tworząc tę klasę rada pedagogiczna miała na względzie rozwijanie zdolności u dzieci wyróżniających się w nauce.

W roku szkolnym 1964/65 nowym kierownikiem placówki została Cyryla Wdowczak. Szkoła posiadała już wtedy własne boisko do piłki ręcznej i siatkówki oraz bieżnię i skocznnię.

W roku szkolnym 1966/67 wprowadzono klasę ósmą dla rocznika przyjętego do szkoły we wrześniu 1959 r. Sukcesywnie następowała także realizacja nowych programów dla tych uczniów. Nową strukturę ustroju szkolnego wprowadziła ustawa o rozwoju systemu oświaty i wychowania z 15 lipca 1961 r.

W latach siedemdziesiątych podjęto próbę reformy szkolnictwa. Przewidywała ona oparcie systemu edukacji narodowej na dziesięcioletniej szkole średniej. W Szkole nr 153 zaczęto wprowadzać w życie niektóre z założeń reformy. Projekt upadł ze względu na krytykę nowej koncepcji i kryzys ekonomiczny. Ostatecznie pozostawiono ośmioklasową szkołę podstawową.

W 1972 r. stanowisko dyrektora objęła Anna Rozpiórska, a od września 1986 r. Małgorzata Romańska, która pełni tę funkcję do chwili obecnej.

Kolejną reformę szkolnictwa podjęto w latach dziewięćdziesiątych. Okres edukacji w szkołach podstawowych skrócono do lat sześciu i wprowadzono 3-letnie gimnazja. Placówka przy ul. Obr. Westerplatte 28 pozostała szkołą podstawową.

Organizacje i koła zainteresowań.

W ciągu 45 lat istnienia Szkoły Podstawowej nr 153, jej uczniowie brali udział w szeregu konkursach i olimpiadach oraz aktywnie uczestniczyli w życiu środowiska lokalnego. Oprócz samorządu szkolnego działało w niej od początku kilka organizacji uczniowskich m. in.: Związek Harcerstwa Polskiego, Polski Czerwony Krzyż, Szkolna Kasa Oszczędności, Szkolne Koło Sportowe itp.

Samorząd przeprowadził wiele konkursów m. in. o tematyce morskiej, historycznej czy wiedzy obywatelskiej. Aktywnie włączył się do akcji „Dzieci – dzieciom” i zbiórki pieniężnej na „Fundusz Olimpiad” oraz na cel „Wszystkie dzieci są nasze”. Przejął także patronat nad grobami żołnierzy na cmentarzu na Dołach. Organizacja ta otrzymała wyróżnienie w roku 1977 za współpracę z klubem „Aktywus” działającym przy MDK.

Bardzo prężnie działała też utworzona w 1958 roku Spółdzielnia Uczniowska. Pierwszy zysk jaki osiągnęła ze sprzedaży różnych artykułów spożywczych był przeznaczony na budowę Szkół Tysiąclecia i na sztandar dla szkoły. W roku szkolnym 1960/61 Spółdzielnia została wyróżniona w dzielnicy Bałuty i przyznano jej nagrodę pieniężną. W 1962 r. zajęła I miejsce w dzielnicy, a II w Łodzi, za całokształt swojej pracy.

PCK w międzyszkolnym konkursie czystości zdobyło pierwszą lokatę, a za swoją działalność i III miejsce w dzielnicy otrzymało nagrodę rzeczową oraz dyplom.

W 1962 r. wyróżniono także pracę SKO, która zajęła IV miejsce w skali ogólnołodzkiej.

Uczniowie chętnie uczestniczyli w zajęciach SKS. Dzięki jego pracy szkoła w latach 60-dziesiątych osiągnęła I miejsce w usportowieniu młodzieży, a V pozycję w propagowaniu kultury fizycznej wśród uczniów szkół podstawowych m. Łodzi. Dziś koło to nosi nazwę UKS „Żaki” i ma na koncie szereg sukcesów, m. in. w latach 2001–2003 chłopcy zdobyli Mistrzostwo Województwa oraz I miejsce w Wojewódzkich Igrzyskach Młodzieży Szkolnej w hokeju na trawie, oraz w II Turnieju Halowej Piłki Nożnej.

Uczniowie pod kierunkiem nauczycieli wygrywali również wiele olimpiad, konkursów szkolnych i pozaszkolnych, np.: literackich organizowanych przez gazetę młodzieżową i Urząd Miasta Łodzi, ekologicznych i związanych z ruchem drogowym. W 2000 r. uczennica klasy III została „Omnibusem Roku”, a w 2001 r. „Gazeta Wyborcza” ufundowała wycieczkę do Krakowa dla uczennicy z klasy II za najpiękniejszy tekst życzeń z okazji Dnia Matki.

Pierwsze miejsca dzieci zajęły również w międzyszkolnych konkursach plastycznych: „Odpoczywamy zgodnie z naturą”, „Wakacje pod żaglami”, „Dziecko i pies”, komiks o tematyce baśniowej, „Przyroda i ja”, „Moje miasto, rower i ja” i w wielu innych.

W latach sześćdziesiątych szkoła podjęła współpracę z wieloma zakładami pracy m. in. z drukarnią z ulicy Kominiarskiej, która zaopatrywała placówkę w książki i papier oraz ze Spółdzielnią Inwalidów z ulicy Franciszkańskiej. Potem nawiązano kontakt z zakładami „Harnama” i z „Wtórpołem”. Przedsiębiorstwa te zapewniały autokary na wyjazdy, dofinansowywały nagrody, wycieczki i kolonie dla dzieci.

Szkoła utrzymywała i utrzymuje kontakt z Młodzieżowym Domem Kultury, mieszczącym się przy ulicy Zawiszy Czarnego, okolicznymi przedszkolami, Państwowym Domem

Dziecka z ulicy Marysińskiej, Komitetem Osiedlowym (obecnie Rada Osiedla) oraz schroniskiem dla zwierząt przy ulicy Marmurowej. Placówka współpracuje też z kuratorami sądowymi, V Komisariatem Policji, świetlicami terapeutycznymi, hostelem dla maltretowanych matek. Na terenie szkoły przyjmuje Ambasador Kampanii „Dzieciństwo Bez Przemocy”. Na stałe Szkoła wzięła pod swoją opiekę „Ochronkę” prowadzoną przez siostry zakonne z ulicy Brauna.

Elementy regionalizmu i ekologii w programie szkoły.

Dzięki udanej lokalizacji Szkoły Podstawowej nr 153 uczniowie mają możliwość uczestniczyć w zajęciach terenowych, na których elementy ekologii łączą się z regionalizmem. Miejscem, z którym szkoła jest związana od początku swego istnienia, jest park im. **Szarych Szeregów**. W 1963 r. dzieci po raz pierwszy pracowały społecznie na rzecz powstającego parku w rejonie ulic Przemysłowej, Górniczej, Brackiej.

Uroczystość jego otwarcia i nadania mu imienia „Promienistych” odbyła się 12 maja 1963 r. Dla szkoły było to ważne wydarzenie, oznaczało bowiem objęcie przez młodzież patronatu nad tym parkiem.

3 września 1969 r. w Parku im. Promienistych wmurowano akt erekcyjny pod Pomnik Martyrologii Dzieci. Miał on powstać ku czci dzieci, które zginęły podczas II wojny światowej w obozie utworzonym przez niemieckiego okupanta w rejonie ulic Przemysłowej, Górniczej, Brackiej, Emilii Plater. Pomnik dłuta Jadwigi Janus odsłonięto 9 maja 1971 r. Obecnie park nosi nazwę Szarych Szeregów.

Za opiekę nad parkiem i pomnikiem szkoła otrzymała w 1973 r. Odznakę Opiekuna Miejsc Pamięci Narodowej. Potrzeba silniejszego związania programu nauczania z regionalnym osadzeniem, każe wspomnieć o innych obiektach znajdujących się w okolicach szkoły.

W pobliżu znajduje się park Helenów, który ma bogatą historię. Został on założony przez braci Anstadtów – niemieckich przemysłowców, właścicieli browaru. Nadali mu nazwę Helenów, od imienia żony jednego z braci. Oficjalne otwarcie nastąpiło 26 stycznia 1885 r. W parku odbywały się „zabawy łyżwowe”, pokazy sztucznych ogni i zabawy przy muzyce. Zbudowano na jego terenie pawilon teatralny, halę sportową, mały ogród zoologiczny, tor kolarski i korty tenisowe. Okres świetności parku skończył się wraz z wybuchem I wojny światowej. Po II wojnie został znacjonalizowany i popadł w zaniedbanie.

Nadal można jednak zobaczyć w parku Helenów grotę zbudowaną ze skał wulkanicznych sprowadzonych z Włoch, kompleks dawnych lokali gastronomicznych, fontanny, a także stare drzewa będące dziś pomnikami przyrody.

Innym interesującym – dla wzbogacenia wiedzy regionalnej – miejscem, które znajduje się niedaleko szkoły jest cmentarz żydowski, zwany potocznie Kirkutem. Założony został na Dołach w 1893 roku i jest dziś miejscem spoczynku

250 tys. Żydów. Do dnia dzisiejszego przetrwało wiele kamiennych pomników i grobowców. Najbardziej imponujące jest jednak mauzoleum Izraela Kalmanowicza Poznańskiego. Są tam też wyraźne ślady Holocaustu – rozległy sektor ofiar getta, a także mogiły łódzkich harcerzy rozstrzelanych przez hitlerowców i grób kobiet zamordowanych w Stutthofie. Na tym cmentarzu pochowani są rodzice Artura Rubinsteina i Juliana Tuwima. Obecnie Kirkut z zagonami żółtego wrotyczu i kępami rdzawej nawłoci, przetykany pochylonymi kamieniami nagrobków, tworzy dla zwiedzających go uczniów jedyny w swoim rodzaju pejzaż – obraz czasu, który przeminął.

Szkoła Podstawowa im. Marii Skłodowskiej-Curie organizuje także rajdy i wycieczki do Łagiewnik, gdzie utworzono Park Krajobrazowy Wzniesień Łódzkich. Dzięki kontaktowi z nadleśnictwem dzieci pod okiem leśników poznają rośliny i zwierzęta żyjące na tym terenie. Tu też na każdym kroku uczniowie stykają się z historią. Żeby wspomnieć o pofabrykanckich willach łódzkich przemysłowców m.in. Heinzlów czy klasztorze oo. Franciszkanów.

Dzięki obserwacji najbliższej okolicy, młode pokolenie może zdobywać wiele wiadomości z przyrody i historii, i lepiej identyfikować się ze swoją „małą ojczyzną”. Wiedza ta łączy się z dziejami naszego miasta.

Jolanta Głuszkowska

- nauczycielka przyrody w Szkole Podstawowej nr 153 w Łodzi.

Grażyna Pychowska

- nauczycielka przyrody w Szkole Podstawowej nr 153 w Łodzi.

BIBLIOGRAFIA

Tadeusz Podwysocki (red.) – Szkolnictwo łódzkie w 30-leciu PRL, Łódź 1974 r.
Archiwum Szkoły Podstawowej nr 153 w Łodzi, protokoły rad pedagogicznych z lat 1958-1987, dokumentacja z uroczystości nadania szkole imienia.

Andrzej Świecki – Oświata i szkolnictwo w Polsce Ludowej, Warszawa 1968.
Przewodniki po Łodzi.

„Warikoff i Kwaśniewski”

Pierwsza w Polsce lecznica dla zwierząt

Otwarcia lecznicy dla zwierząt nie odnotowano w historii Łodzi jako wydarzenia szczególnie ważnego. Nie przypuszczano, że przetrwa ona ponad 100 lat i jako najstarsza z istniejących tego typu placówek weterynaryjnych w Polsce, znajdzie się w rejestrze obiektów zabytkowych miasta.

Założycielami lecznicy byli dwaj lekarze weterynarii: Hugo Warikoff i Alfred Kwaśniewski – obaj nie byli rodowitymi Łodzianami.

Hugo Warikoff pochodził z Estonii. Urodził się w 1860 roku w Lustifer powiat Oberpahlen. Dyplom lekarza weterynarii uzyskał w 1881 roku w Instytucie Weterynarii w Dorpacie. Przez dwa lata był asystentem klinicznym Instytutu i w roku 1883 zdobył stopień magistra nauk weterynaryjnych. W tymże roku został delegowany do Warszawy w związku z wybuchłą na Pradze epidemią księgosuszu. Następnie przez krótki czas pełni obowiązki nadetatowego lekarza weterynarii w Guberni Kurskiej i w 1884 roku przyjeżdża do Łodzi, gdzie zostaje kierownikiem targowiska zwierzęcego i lekarzem punktowym. Lekarze punktowi zwani też lekarzami traktu sprawowali nadzór

historia





nad zdrowiem transportowanych zwierząt i nad produktami pochodzenia zwierzęcego.

Alfred Kwaśniewski, starszy od Warikoffa o osiem lat, urodzony w Kongresówce, dyplom lekarza weterynarii otrzymał w Warszawskiej Szkole Weterynaryjnej w 1878 roku. Osiadłszy w Łodzi objął stanowisko miejskiego lekarza weterynarii.

Projekt utworzenia w Łodzi lecznicy dla zwierząt połączonej z wzorową kuźnią angielską wyszedł od Warikoffa. Lecznice na ulicy Milscha 14 (obecnie ulica Kopernika 22), zarejestrowaną pod numerem hipotecznym 821e, otwarto w 1891 roku. Według wydanego w 1898 r. Przewodnika „Führer durch Łódź”, będącego zarazem rodzajem książki adresowej, była jedyną w Łodzi.

Zarówno lecznica jak i kuźnia rozwijały się z powodzeniem, prosperowały pomyślnie i były wysoko cenione, nie tylko w Łodzi. Wzory podków normalnych i ortopedycznych prezentowane przez Warikoffa na Wystawie Przyrodniczo – Lekarskiej X Zjazdu Lekarzy i Przyrodników we Lwowie w 1907 roku, oraz na Wystawie Przemysłu i Rolnictwa w Częstochowie w 1909 r., zdobyły srebrne medale.


Hugo Warikoff zmarł w 1914 roku. Lecznica i kuźnia pozostały w rękach rodziny, o czym świadczą wpisy w „Informatorze m. Łodzi na rok 1920”, opracowanym i wydanym przez Wydział Statystyczny Magistratu m. Łodzi.

Do dziś dnia przetrwał na dachu lecznicy jej symbol – koń, wspomniany przez Juliana Tuwima w „Kwiatach Polskich”.

Na frontonie lecznicy znajduje się podobizna jej założyciela i napis: „Pierwsza w Polsce Lecznica dla Zwierząt. Hugo Warikoff”.

*Ewa Żuchowska – zoolog; obecnie na emeryturze.
42 lata przepracowała w Ogrodzie Zoologicznym w Łodzi.*

historia

z cyklu: *czarne dziury, białe plamy* 

Między oportunizmem a przyzwoitością

Weryfikacja polityczna członków KŁ PZPR w stanie wojennym

Gustaw Romanowski

str. 134

Zniszczenie socrealistycznej maskary

Wybuch w Pasażu ZMP

Janusz Wróbel

str. 141

Dokumenty - Informacja nr 6/82

str. 148

Między oportunistycznym a przyzwoitością

Weryfikacja polityczna członków KŁ PZPR w stanie wojennym

Od pierwszych dni stanu wojennego kierownictwo partyjne, poza tak znanymi środkami represji jak internowanie osób niewygodnych czy godzina policyjna uruchomiło szereg dodatkowych opresyjnych mechanizmów, które oprócz zastraszenia społeczeństwa doprowadzić miały także do zaplanowanej choć zróżnicowanej w metodach pacyfikacji niektórych środowisk uznawanych za opiniotwórcze. Jednym z takich pomysłów była tzw. „weryfikacja postaw polityczno-ideowych” przeprowadzona podczas kilku pierwszych tygodni stanu wojennego. Jej celem nadrzędnym było uniemożliwienie choćby ograniczonej wymiany poglądów między środowiskami lub grupami społecznymi przy jednoczesnym zablokowaniu możliwych kanałów przepływu informacji.

Na pierwszy ogień poszli dziennikarze

Jako pierwsi w Łodzi weryfikacji poddani zostali dziennikarze prasy, radia i telewizji. Niezależnie od internowania w dniu 13 grudnia 1981 r. pięciorga przedstawicieli tego środowiska, już następnego dnia – a więc na trzy tygodnie przed rozpoczęciem oficjalnych przesłuchań weryfikacyjnych – nie dopuszczono do pracy 32 łódzkich dziennikarzy uniemożliwiając im nawet wejście do lokali redakcyjnych. W pierwszej dekadzie stycznia 1982 r. zespoły weryfikujące (złożone zresztą z samych dziennikarzy cieszących się zaufaniem partyjnego pionu propagandy) przeprowadziły przesłuchania 80 procent czynnych zawodowo w Łodzi dziennikarzy wydając tajne opinie o swoich kolegach. Opinie te następnie stały się podstawą poufnych werdyktów wojewódzkiej komisji weryfikacyjnej (złożonej z przedstawicieli pionu partyjnej propagandy, wojskowej administracji stanu wojennego oraz Służby Bezpieczeństwa). Treści tych werdyktów nie komunikowano już zainteresowanym dziennikarzom. Przedstawiano je natomiast w sposób poufny ich pracodawcom, dla których stawały się nakazem wykonawczym.

W wyniku tej procedury mającej wszystkie cechy sądu kapturowego pozbawiono pracy 27 dziennikarzy. Wobec 21 z nich wydano jednocześnie zakaz uprawiania zawodu dziennikarskiego. W stosunku do 14 łódzkich dziennikarzy zakaz ten określono jako bezterminowy, co w 1982 r. oznaczało dożywotnią banicję z zawodu.

Odwołano wybranego, mianowano komisarycznego

Tuż po dziennikarzach zarządono weryfikację członków Komitetu Łódzkiego PZPR, największego organu przedstawicielskiego miejscowej organizacji partyjnej. Choć przebiegała ona w sposób znacznie łagodniejszy niż wobec środowiska dziennikarskiego to także tu nie zabrakło pewnego szczególnego dramatyizmu.

Już 15 grudnia 1981 r. tajną i nagłą decyzją został pozbawiony swego stanowiska Zdzisław Szczepański, sekretarz propagandy KŁ PZPR, wybrany na tę funkcję ledwie kilka miesięcy wcześniej. Decyzji tej nie uzasadniono. Na opróżnione w ten sposób miejsce powołano komisarycznie Andrzeja Hampla, dziennikarza „Dziennika Łódzkiego”. Szczepański, 40 – letni nauczyciel historii – który do aparatu partyjnego dostał się na fali reformatorskiej działalności w tzw. strukturach poziomych – po odwołaniu z tej funkcji – odebranych nie tylko zresztą przez niego jako nieuzasadniona represja – ciężko się rozchorował. Nie przetrzymał stresu i zmarł na początku 1982 r.

Zarówno sposób jego odwołania, brak uzasadnienia tej decyzji jak i niespodziewana śmierć lubianego – zwłaszcza przez młodszy aktyw partyjny – sekretarza wywołały u pewnej części członków KŁ gniewną frustrację. Miało się to ujawnić podczas niektórych rozmów weryfikacyjnych.

Rozmowy zaufanych z niepewnymi

Rozmowy „wyjaśniające” z członkami KŁ PZPR zarządzone zostały przez Sekretariat łódzkiej organizacji partyjnej w styczniu 1982 r. Powołano pięć stałych zespołów weryfikacyjnych i kilka doraźnych formowanych w razie potrzeby odbycia dodatkowych rozmów z tymi członkami partyjnego gremium, którzy okazywali się szczególnie oporni na przyjęcie argumentów propagandowych stanu wojennego. W zespołach znalazły się osoby szczególnego zaufania ścisłego kierownictwa partii i aktywiści manifestujący od początku swoją niechęć do „Solidarności”. Skład tych zespołów weryfikacyjnych nie miał charakteru poufnego. Wprost przeciwnie: partii zależało aby osoby przeprowadzające „rozmowy” były dobrze znane w swoich środowiskach pracowniczych i zawodowych, co miało wywołać wrażenie, że procedury te są w pełni demokratyczne i jawne. Do zespołów powołano: Mariana Anysza, Henryka Jodelisa, Stanisława Kosińskiego (Zespół I); Pawła Dyktyńskiego, Marka Morzyska, Wiesława Janczarka (Zespół II); Irenę Matusiewicz, Jadwigę Nowakowską, Janusza Siemienieckiego (Zespół III); Kazimierza Kaczorowskiego, Grażynę Kotnowską, Zbigniewa Nowakowskiego (Zespół IV); Józefa Grzegorzycy, Lucjusza Włodkowskiego, Zbigniewa Olczaka (Zespół V). Ponadto rozmowy końcowe (podejmowane powtórnie) z nie poddającymi się łatwo propagandzie stanu wojennego członkami KŁ prowadziły dwa zespoły statutowe Komisji Organizacyjnej KŁ w składzie: Grażyna Kotnowska, Sławomir Witczak, Janina Struchała, Urszula Gocał oraz Jan Cieślak, Anna Błaszczuk, Jan Szamotołski, Jerzy Wilczyński, Krystyna Grzelewska. Dodatkowo do odbycia rozmów weryfikacyjnych z członkami

Egzekutywy KŁ wyznaczono sekretarzy KŁ: Marię Wawrzyńską, Andrzeja Hampla i Jarosława Pietrzyka.

Jednak do tych ostatnich rozmów nie doszło wskutek wyraźnego sprzeciwu pozostałych członków Egzekutywy dotkniętych taką metodą sprawdzania ich lojalności.

Pierwsze wydalenia z partii

W chwili ogłoszenia stanu wojennego Komitet Łódzki liczył 122 członków. Jednak jeszcze w grudniu 1981 r. jego skład zmniejszył się o pięć osób. Między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem za głoszenie prosolidarnościowych poglądów wydaleniu zostali z PZPR Jerzy Katarasiński, dziennikarz „Odgłosów”, Mirosław Kostecki, inżynier ze zgierskiego „Poloprenu” i Jolanta Kramarz, inżynier chemik ze zgierskiej „Boruty”. Wydażeń dokonała zaocznie Wojewódzka Komisja Kontroli Partyjnej opierając się na poufnych wnioskach. Ta najsurowsza statutowo kara oznaczała nie tylko pozbawienie pracy na dotychczasowym stanowisku ale i definitywne przekreślenie drogi awansu. Oznaczała więc w owym czasie śmierć publiczną. Oprócz tych środków represyjnych ten sam organ wykreślił ze składu komitetu dwóch jego członków, którzy zdążyli wcześniej złożyć rezygnację z PZPR w swoich macierzystych POP.

Kryterium: stosunek do „Solidarności”

Rozmowy „weryfikujące postawy członków Plenum” zostały przeprowadzone od 15 do 19 stycznia 1982 r. Przepytywani mieli przedstawić: 1) swoją ocenę zdarzeń od sierpnia 1980 do 13 grudnia 1981 (szczegółności określić swój stosunek do działań „Solidarności” i tzw. „grup antysocjalistycznych”) oraz: 2) określić swój stosunek do stanu wojennego. Z każdej rozmowy członkowie zespołu sporządzali protokół zaopatrując go w końcowej części wnioskami.

Jak się można było spodziewać większość przepytywanych odpowiadała zgodnie z oczekiwaniami zespołów weryfikacyjnych. Na pierwsze pytanie najczęściej padały odpowiedzi będące kalką partyjnej propagandy: „nie doceniliśmy naszych przeciwników politycznych”, „dobrze było poczekać aż liderzy „S” uzewnętrzną się i wtedy uderzyć”, „zbyt dużo było tolerancji dla opozycji jeszcze przed sierpniem 1980”, „działalność „S” i sił antysocjalistycznych prowadziła do katastrofy narodowej i należało położyć temu kres”, „politykierstwo „S” nie mogło doprowadzić do czegoś dobrego”, „S” mówiła, że chce rozmawiać z władzą ale to „lipa”, „wydarzenia z sierpnia 1980 r. to nie tylko gniew robotników ale zaplanowana z wyrachowaniem akcja przez siły antysocjalistyczne”. Na drugie pytanie najczęściej odpowiedzi brzmiały: „stan wojenny powinien być wprowadzony dużo wcześniej” i „tak dłużej być nie mogło”. Niektórzy manifestowali aprobatę jeszcze wyraźniej: „stan wojenny to duża ulga, oceniam jego wprowadzenie jako jedyne rozsądne wyjście” (to zdanie lekarza i ordynatora jednego z łódzkich ZOZ-ów).

Donosy i zacieranie śladów

Inni przy tej okazji wykazywali nadgorliwość donosząc bez skrępowania. Np. I sekretarz z Łódzkiej Fabryki Zegarów „Poltik” po wyrażeniu radykalnej opinii („stan wojenny powinien nastąpić już w lipcu 1980 r.”) doniósł na dyrektora zakładu („zlikwidował pokój Egzekutywy a gabloty po partyjnym sztandarze przekazał „S”). To mu jednak nie wystarczyło. Wychodząc znacznie poza zakres obowiązkowych odpowiedzi zaatakował niespodziewanie dyrektora Szpitala im. J. Korczaka („... a ob. Kawiorski bazował na aktywistach „S” i chciał zmienić nazwę szpitala na św. Anny”).

Spotkało się to z uznaniem zespołu weryfikacyjnego. „To wartościowy członek PZPR” – napisali w końcowych wnioskach członkowie zespołu.

Szczególną uwagę zwrócono podczas rozmów weryfikacyjnych na członków „Solidarności”, którzy znaleźli się w składzie KŁ PZPR. W grudniu 1981 r. było ich w składzie tzw. Plenum dwunastu i po ogłoszeniu stanu wojennego nikt z nich nie zadeklarował sam „spontanicznej” decyzji wystąpienia z NSZZ „S”, co było w tym czasie utartą praktyką stosowaną w wielu zakładach pracy. Ale już podczas rozmów w styczniu 1982 r. postawy partyjnych członków „S” wyraźnie się spolaryzowały. Pod wpływem zmasowanej propagandy i podsycanej obawy większość tej niewielkiej grupy załamywała się przyznając rację autorom stanu wojennego. „W początkowym okresie ruch „S” był słuszny. Aktualnie po bliższym zapoznaniu się z celami „S” złożyłem deklarację o wystąpieniu ze związku. Stanem wojennym byłem bardzo zaskoczony ale uważam, że było to jedyne wyjście” – stwierdzał jeden z przepytanych. Inny ze stresowej sytuacji szukał wyjścia udając naiwność: „Członkiem „S” zostałem przypadkowo. Po prostu wpisałem się na jakąś listę zbiórki pieniężnej, co zostało wykorzystane przez Komisję Zakładową „S” jako wpisanie się na członka związku. Stwierdzam, że popełniłem błąd godząc się na pozostanie w „S”. Stan wojenny wg mojej opinii winien być ogłoszony znacznie wcześniej. Gotów jestem zrezygnować z przynależności do związku”. Te wyznania kończą wnioski zespołu: „Wyegzekwować wypisanie się ze związku „S”. Pozostawić w składzie Plenum”.

Niektórzy tłumaczyli swoją przynależność do „S” cynicznie: „Do „S” zapisałem się z wyrachowania. Miałem na tym tle konflikt z łódzkim MKZ. Postanowiłem aktualnie zrezygnować z NSZZ „S”. Jeszcze inni nie ukrywali kto stał za ich decyzją wstąpienia do „S”: „Po sierpniu 1980 osobiście wstąpiłem do „Solidarności” bo miałem takie p o l e c e n i e. Dostałem się nawet do władz regionu. Nigdy nie zgadzałem się z polityczną działalnością „S”. Stan wojenny przyjąłem z zadowoleniem” – informował pewien członek K.Ł. „Sprawdzić, czy rzeczywiście wstąpił do „S” na polecenie; jeśli się potwierdzi pozostawić w składzie Plenum” – podsumował tę wypowiedź zespół weryfikacyjny.

„Nie wystąpię z „Solidarności“

Tylko czworo członków KŁ PZPR będących jednocześnie członkami „S” odmówiło jednoznacznie wystąpienia ze związku. Warto wymienić ich nazwiska gdyż ówczesnie był to niewątpliwie akt cywilnej odwagi. „Potrzebna jest w kraju organizacja niezależna jak „S” gdyż tylko tak można doprowadzić do odnowy partii. Nie widzę zjawisk negatywnych w tym ruchu” – mówił Janusz Stachowski, inżynier z EC-2. „Nie wystąpię z „S” i dlatego rezygnuję z członkostwa w KŁ PZPR – stwierdzał Lech Dudkiewicz, mistrz z „Maltextu” (po kilku miesiącach zagrożony utratą pracy złożył u dyrektora oświadczenie, że wobec uniemożliwienia działalności „S” przez władze stanu wojennego uważa, że przestał być członkiem zawieszzonego związku).

Karol Chorąziak, brygadzysta z Wytworni Sprzętu Motoryzacyjnego przysporzył zespołom weryfikującym najwięcej kłopotów. Kategorycznie odmawiając wystąpienia z „S” zagroził, że w razie dalszego zmuszania go do takiej decyzji wystąpi z PZPR a za nim uczynią to wszyscy członkowie partii w jego zakładzie pracy. „ Nie chcę być chorągiewką na dachu jak inni członkowie KŁ, którzy lekko podjęli decyzję o opuszczeniu „S”. Jeśli w „S” byli źli ludzie to w partii byli i są nadal i nikt ich nie ukarał” – podkreślał. Przesłuchujący go zespół robił wszystko aby „uratować tego przedstawiciela klasy robotniczej dla partii”, stąd odbyto z nim kilka rozmów, które jednak nie wpłynęły na zmianę stanowiska. – „Rozmowa z w/w tow. była trudna, przeplatana brzydkimi słowami z jego strony, zespół nie mógł nic wytłumaczyć, działania partii jako jej członek absolutnie nie rozumie, nie może też reprezentować godnie funkcji członka KŁ” – zapisał protokołant końcowe wnioski zespołu. Chorąziak odmówił stawienia się przed Wojewódzką Komisją Kontroli Partyjnej. W rezultacie usunięto go z partii ale nie represjonowano w pracy.

Takie represje spotkały natomiast Krystynę Franzmann, inżyniera technologa ze „Skogaru”. „Pracuję wśród załogi i nie zauważyłam nic złego w działalności „S”. Jeśli ten związek będzie (istniał), będę do niego należała. Mam ogromny żal do partii za ocenę ludzi” – mówiła 15 stycznia 1982 r. do weryfikujących. Kilka dni wcześniej złożyła rezygnację z funkcji partyjnej w „Skogarze” (była jednocześnie I sekretarzem KZ). „Ze względu na zdecydowaną odmowę wystąpienia z „S” dalsza przynależność do Plenum KŁ raczej nie wskazana” – zaznaczyli w końcowych wnioskach członkowie zespołu weryfikującego. W lutym 1982 r. otrzymała w „Skogarze” wypowiedzenie z pracy pod pretekstem fikcyjnej redukcji jej etatu. Dwa miesiące później chciała wejść na pierwsze posiedzenie plenarne KŁ PZPR. Mimo, że formalnie nadal była członkiem tego partyjnego gremium nie wpuszczono jej do gmachu komitetu. Po utracie pracy założyła prywatną pracownię odzieżową. – Prowadziłam ją niespełna rok, bo otrzymałam taki domiar podatkowy, że straciłam wszystkie oszczędności. Ściagała mnie „karząca ręka partii”, mimo, że formalnie nie złożyłam legitymacji PZPR żeby nie ułatwiać zadania moim egzekutorom – wspomina po latach. Potem udało jej się znaleźć pracę w firmie zagranicznej w innym mieście. Tam dotrwała do emerytury.

Rozmowy w Komitecie, informacje w SB

W porównaniu z procedurą weryfikacyjną dziennikarzy rozmowy z członkami KŁ PZPR nazywane „wyjaśniającymi”, „naprowadzającymi” lub „wspomagającymi” można by uznać za sielankę. Ta różnica wynikała zapewne z braku jednoznacznych wytycznych co do końcowego celu owych rozmów z wybranymi w 1981 r. na fali odnowy delegatami tzw. partyjnych dołów. Stąd wyraźne wahania członków zespołów weryfikujących, ich częste niezdecydowanie i dążenie do unikania formułowania jednoznacznie restrykcyjnych, radykalnych wniosków.

Nie wszyscy członkowie owych zespołów dysponowali zresztą takim samym zasobem informacji na temat przepytanych. Np. składające się na „całość wiedzy o postawie” informacje wytworzone przez SB (włącznie jej departament II odpowiedzialny także za „ochronę partii”) były dostępne tylko niektórym funkcjonariuszom PZPR. Dlatego utrzymane w umiarkowanym, perswazyjnym stylu rozmowy w Komitecie pozornie nie przekładały się bezpośrednio na represyjne posunięcia podejmowane później w miejscu pracy lub na inne metody nękające osoby „na których zawiodła się partia”. Te pozory miały być ilustracją hasła „walki i porozumienia” ogłoszonego przez kierownictwo partyjne stanu wojennego.

Gustaw Romanowski

Źródła:

Biuletyny KŁ PZPR z okresu grudzień 1981 – lipiec 1982
„Rozmowy z członkami KŁ PZPR” – akta Wydziału Organizacyjnego
KŁ PZPR (Archiwum Państwowe w Łodzi,teczka 1902).
Relacje przepytanych.

Zniszczenie socrealistycznej maskary

Wybuch w pasażu ZMP

27 października 1952 r. o godz. 9 wieczorem strażnik miejski Ignacy Szperling objął służbę na pasażu Związku Młodzieży Polskiej (dziś aleja Artura Rubinsztajna). Umundurowany i uzbrojony w karabin strażnik miał za zadanie ochraniać znajdujące się tam dekoracje i gabloty z materiałami propagandowymi oraz pomnik przedstawiający robotnika i robotnicę dzierżących w dłoniach czerwony sztandar, młot i gołębia – symbol pokoju. Ten typowo socrealistyczny monument był tworem grupy łódzkich artystów (m. in. rzeźbiarza Wacława Wołosewicza – późniejszego autora pomnika Reymonta w Łodzi). Wzniesiono go w 1950 r. z okazji wystawy gospodarczej mającej ukazywać osiągnięcia i perspektywy socjalistycznego budownictwa. Usytuowany w centrum miasta pasaż ZMP spełniał ważną rolę w działaniach propagandowych łódzkiej organizacji partyjnej i właśnie dlatego był chroniony przez okrągłą dobę.



W kilkadziesiąt minut po rozpoczęciu służby, gdy Szperling znajdował się zaledwie kilkanaście metrów od pomnika nastąpił silny wybuch. W jego wyniku rozsypała się betonowa podstawa monumentu, a on sam został poważnie uszkodzony. W pobliskich domach wypadły z okien szyby. Kompletnie zaskoczony i zdezorientowany strażnik zdjął z ramienia karabin i oddał w powietrze pięć strzałów. Ludzie znajdujący się w pobliżu zaczęli w przerażeniu uciekać. Okrzykiem „halt”, który chyba jeszcze bardziej przeraził przechodniów pamiętających dobrze lata niemieckiej okupacji, strażnikowi udało się zatrzymać tylko jednego mężczyznę który nadbiegł od strony ul. Piotrkowskiej. Wkrótce na miejsce zdarzenia przybyła zaalarmowana milicja i funkcjonariusze Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego (UBP) w Łodzi. Zaczęło się energiczne śledztwo zmierzające do wykrycia sprawców wybuchu.

Specjalny zespół śledczy

Od początku nadano mu wielką wagę, o czym świadczy powołanie specjalnego zespołu śledczego MO i UBP. Uznano, że wybuch musiał mieć tło polityczne. Śledczy doszli do przekonania, że zamachowcy zamierzali zniszczyć pomnik dlatego, że symbolizował trud ludzi pracy realizujących zadania planu sześcioletniego. Dodatkową okolicznością wskazującą na polityczne motywy działania sprawców było to, że wybuch nastąpił w miejscu wykorzystywanym przez komunistów w celach propagandowych, a dzień wcześniej odbyły się wybory do Sejmu PRL, będące nie tyle zwykłym aktem wyborczym co wielkim spektaklem propagandowym, mającym wykazać całkowite poparcie narodu dla partii komunistycznej.

Funkcjonariusze безпеki nie mając zbyt wielu punktów zaczepienia od początku zabrali się ostro do śledczej obróbki strażnika miejskiego. Już w nocy z 27 na 28 października poddano go kilkakrotnym przesłuchaniom. Szperling niewiele miał do powiedzenia. Choć był zaledwie kilkanaście metrów od miejsca wybuchu nie mógł nic konkretnego powiedzieć o ewentualnych sprawcach wysadzenia pomnika. Mówił mało składnie o jakiejś kobiecie, która minęła go w pasażu na chwilę przed wybuchem, ale nie mogła być to informacja popychająca śledztwo do przodu. Ubegy rozczarowani małą przydatnością jego zeznań już 29 października wszczęli przeciwko niemu śledztwo, a 3 listopada zatrzymali go w areszcie UBP. 4 listopada prokurator wydał nakaz aresztowania, uzasadniając swą decyzję – trudno powiedzieć na jakiej podstawie – tym, że Ignacy Szperling „brał udział wraz z innymi w uszkodzeniu przy pomocy materiałów wybuchowych pomnika wystawionego w alei ZMP”. Najwidoczniej uważano, że pobyt w celi zmusi nieszczęsnego strażnika miejskiego do ujawnienia nieznanych okoliczności sprawy. Dalsze przesłuchania do niczego jednak nie doprowadziły i 8 grudnia UBP wydał postanowienie o umorzeniu śledztwa w stosunku do Szperlinga.

Niewiele wniosły zeznania innych ludzi, w tym zatrzymanego przez strażnika mężczyzny i funkcjonariusza UB, którzy przypadkowo znaleźli się w pobliżu.

Nieco więcej materiału dały zeznania pary młodych ludzi spacerujących po Piotrkowskiej. Zauważyli oni trzech mężczyzn, z czego dwóch stało obok pomnika, a trzeci wsparty był o cokół. Wkrótce potem nastąpił wybuch. Trochę konkretów wniosły też oględziny miejsca wybuchu przez saperów. Orzekli oni, że najprawdopodobniej eksplozję spowodował ładunek trotylu zdetonowany zapalnikiem używanym w Wojsku Polskim. Wiele wskazywało na to, że sprawcy wysadzenia pomnika doskonale potrafili posługiwać się materiałami wybuchowymi.

Wiele do myślenia dała zespołowi śledczemu informacja, że w przeddzień wybuchu w pasażu ZMP, przy pobliskiej ul. Sienkiewicza, w pobliżu lokalu wyborczego, miał miejsce inny wybuch również przeprowadzony przy użyciu materiałów wybuchowych używanych przez wojsko. Obie te sprawy mogły się ze sobą łączyć.

Inwigilacja środowiska studenckiego

Władze potraktowały wysadzenie pomnika w Łodzi z ogromną powagą. Jak już wspomniano powołano specjalną grupę operacyjną złożoną z 8 pracowników operacyjnych wydziałów I, III, i V Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Łodzi oraz Wydziału III miejskiej Komendy Milicji Obywatelskiej. Już 29 października opracowali oni *Plan operacyjnych przedsięwzięć zmierzających do wykrycia i ujęcia sprawców wysadzenia statuy na pasażu alei ZMP w Łodzi*. Ten ściśle tajny dokument zatwierdził płk Teodor Duda, szef łódzkiej bezpieki. Plan przewidywał skierowanie głównego wysiłku śledczego na środowisko młodzieżowe. Przypuszczano, że z wybuchem może mieć coś wspólnego nielegalna organizacja młodzieżowa działająca w środowisku harcerskim. Zwrócono uwagę również na studentów Wyższej Szkoły Ekonomicznej, gdzie – według informacji UB – miała działać jakaś organizacja nielegalna oraz na organizację „Orzeł” składającą się z kilkunastu młodych ludzi działającą na terenie dzielnicy Chojny. Szczególną uwagę zamierzano jednak skierować na studentów Wydziału Chemicznego Politechniki Łódzkiej. Sprawdzić miano czy studenci tego wydziału nie prowadzą eksperymentów z materiałami wybuchowymi. Zamierzano również wrócić do zamkniętej już sprawy wybuchu w domu akademickim. Środowisko studenckie budziło zainteresowanie bezpieki także z tego powodu, że w zeznaniach pary przechodniów znalazła się informacja, iż jeden z młodych mężczyzn, którego widziano przy pomniku, nosił czapkę studencką koloru ciemnego, co mogłoby wskazywać na studenta Politechniki.

Jak daleko posunięte były podejrzenia kierowane w stronę środowiska studenckiego świadczy fakt, że zamierzano ustalić nazwiska wszystkich studentów Wydziału Chemicznego oraz dokonać doraźnych werbunków tajnych informatorów w tym środowisku oraz nawiązać poufne kontakty wśród członków Związku Młodzieży Polskiej „celem ustalenia poprzez nich podejrzanych typów na tym Wydziale”. Ponadto

postanowiono „na wszystkich podejrzanych studentów przeprowadzić szczegółowe wywiady, celem sprawdzenia ich alibi w dniu 27 X 1952 r. w godzinach wieczornych tj. w tym czasie kiedy został wysadzony pomnik”.

Oczywiście wrócono ponownie do wszystkich spraw związanych z zaginięciem lub kradzieżą materiałów wybuchowych. Tego rodzaju przypadek miał miejsce w przedsiębiorstwie Film Polski, gdzie kilka miesięcy wcześniej zginęły 3 kg trotylu. Zainteresowano się również wszelkimi możliwymi śladami prowadzącymi z Łodzi do śląskich kopalni, gdzie używano materiałów wybuchowych. Plan przewidywał ponadto podjęcie działań profilaktycznych w celu zabezpieczenia przed wysadzeniem obiekty, jak to określono eufemistycznie „[...] podatne do podobnej dywersji”. Komisarzatom MO polecono aż do odwołania „założenie posterunków ukrytych” wokół tych obiektów.

Wydarzenia w Łodzi spotkały się z żywym zainteresowaniem Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, które żądało od łódzkiej bezpieki szczegółowych sprawozdań z przebiegu śledztwa.

Pomimo zaangażowania dużych sił i środków bezpieki i milicji, śledztwo długo nie dawało żadnych rezultatów. Do niczego nie doprowadziła inwigilacja środowiska studenckiego. Nic nie dało również ponowne podjęcie starych spraw związanych z użyciem materiałów wybuchowych. Aresztowania wśród znanych władzom osób podejrzanych o działalność antypaństwową również nie przyniosły efektów. Wywoływało to wściekłość szefa łódzkiej bezpieki i zniecierpliwienie jego zwierzchników w Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. Sprawa wysadzenia pomnika nie dawała im spokoju. Żyli i pracowali w przekonaniu, że w Łodzi wciąż działa dobrze zakonspirowana antykomunistyczna organizacja dysponująca materiałem wybuchowym, która w każdej chwili mogła ponownie uderzyć.

Wpadli przez złodzieja

Do wykrycia sprawców wysadzenia pomnika w pasażu ZMP przyczynił się przypadek. W maju 1953 r. w punkcie usługowo-handlowym zajmującym się naprawą instrumentów muzycznych zjawili się młodzi ludzie, którzy przynieśli trąbkę oferując właścicielowi jej sprzedaż. Instrument przyjęto w komis i umieszczono na wystawie. Traf chciał, że wstąpił tam muzyk, który rozpoznał trąbkę jako swoją własność. Zawiadomiono milicję, która zobowiązała właściciela warsztatu do natychmiastowego powiadomienia władz gdy zjawią się młodzieńcy, którzy przynieśli instrument. W ten sposób milicji udało się aresztować młodego człowieka, który wkrótce przyznał się, że uczestniczył we włamaniach do świetlic i lokali Związku Młodzieży Polskiej na terenie Łodzi. Podczas jednego z tych włamań przywłaszczył sobie trąbkę. Przyciśnięty w śledztwie i licząc na łagodniejsze potraktowanie ujawnił nazwiska swoich kolegów – autorów wysadzenia pomnika.

Ogółem aresztowano 8 osób: Stanisława Siergieja, Mariana Wiszniewskiego, Wiesława Kaczora, Mariana Opalę, Bogusława Rżanka, Jana Jeżyńskiego, Kazimierza Florczyka i Edwarda Frątczaka. Wszyscy byli ludźmi młodymi, urodzonymi w latach 1934-1936, a więc w chwili wysadzenia pomnika mieli 15 - 18 lat. Na stałe przebywali w Łodzi, ale ich rodziny zamieszkiwały przed wojną w różnych stronach kraju. Najstarszy, Stanisław Siergiej pochodził z Wilna i prawdopodobnie z domu wyniósł głęboko antykomunistyczne poglądy. Wszyscy chłopcy wywodzili się ze skromnych robotniczych rodzin. Jedni pracowali już w fabrykach, inni uczyli się w technikumach zawodowych.

Bezpieka poddała aresztowanych chłopców intensywnemu śledztwu. Przesłuchiwano ich przez długie godziny, „rozpracowywano” ich otoczenie i rodziny. Do cel aresztu śledczego gdzie przebywali, skierowano tak zwanych „agentów celnych”, czyli współpracowników bezpieki rekrutowanych spośród więźniów. Mieli oni za zadanie zbliżyć się do aresztowanych, pozyskać ich zaufanie, skłonić do zwierzeń i ujawnienia szczegółów działalności, które zataili przed oficerami śledczymi. Nie wiemy, czy stosowano podczas przesłuchań tortury co było wówczas często stosowaną praktyką. W latach 1952-1953 bezpieka dysponowała ogromnym zestawem środków nacisku, od łagodniej perswazji do brutalnych tortur, które mogła stosować wobec aresztowanych bez obawy, że może spotkać się to ze sprzeciwem prokuratorów czy też sędziów.

Niszczyli komunistyczne symbole

Intensywne śledztwo ujawniło wiele szczegółów. Otóż okazało się, że dziełem grupy Stanisława Siergieja, było nie tylko wysadzenie pomnika, ale również spowodowanie wybuchu przy ul. Sienkiewicza w Łodzi, gdzie mieścił się lokal wyborczy. Co więcej, okazało się, że chłopcy dokonali szeregu włamań, głównie do lokali organizacyjnych Związku Młodzieży Polskiej i świetlic wykorzystywanych przez organizacje komunistyczne. Niszczyli tam sztandary ZMP, portrety przywódców komunistycznych i darli dzieła Stalina i Lenina. Wyjaśniło się również skąd mieli trotyl. W domu gdzie mieszkał Siergiej stacjonowali przez pewien czas saperzy Ludowego Wojska Polskiego. Chłopiec zaprzyjaźnił się z nimi i często towarzyszył na ćwiczeniach i podczas służby. Doszło do tego, że saperzy pokazali mu jak uzbrajać ładunki trotylu. W końcu skorzystał z nieuważgi żołnierzy i skradł kilka kostek trotylu, lont i zapalniki.

Po zdobyciu materiału wybuchowego Siergiej i jego koledzy zamierzali wypróbować jego siłę na jakimś obiekcie w mieście. Od początku myśleli o komunistycznym pomniku lub dekoracji spełniającej funkcje propagandowe. Najpierw wybrali dużą dekorację stojącą w parku Sienkiewicza ukazującą osiągnięcia Planu Sześcioletniego. Ostatecznie jednak zrezygnowali z podłożenia ładunku w tym miejscu, gdyż w pobliżu znajdowało się zbyt wielu ludzi, którzy mogli paść ofiarą eksplozji. W końcu wypróbowali ładunek przy ul. Sienkiewicza a potem podłożyli trotyl w cokole

pomnika na pasażu ZMP. Lont podpalili 18-letni Stanisław Siergiej tak sprawnie i szybko, że strażnik znajdujący się zaledwie o kilkanaście metrów od pomnika niczego nie zauważył.

Bezpieka od początku przyjęła założenie, że aresztowani chłopcy działali z pobudek politycznych i takie zarzuty im postawiono. Oficerom śledczym nie wystarczyło, że przyznali się do wysadzenia pomnika, chcieli jeszcze, aby ujawnili nazwę i strukturę nielegalnej organizacji, którą tworzyli, a także powiązania z innymi organizacjami i ewentualnych politycznych inspiratorów.

Z tym był jednak kłopot. Chłopcy wiedzieli dobrze, że tego rodzaju zeznania pogrążą ich całkowicie w oczach bezpieki i skończy się to wysokim wyrokiem. Zaprzeczali więc konsekwentnie jakoby tworzyli nielegalną organizację o charakterze politycznym i zbrojnym. Starali się swoją działalność ukazać jako chuligański wybryk, bez politycznych motywów. Władze nie dały jednak temu wiary i twardo obstawały przy zarzutach stworzenia antykomunistycznej organizacji zbrojnej, chociaż nie potrafiły nawet jej nazwać.

Śledztwo zakończyło się w połowie 1953 r., a jesienią Siergiej i jego towarzysze stanęli przed sądem. Chociaż minęło od czasów wojny blisko 10 lat sprawy polityczne były nadal rozpatrywane w Polsce przez sądy wojskowe, orzekające w oparciu o drakońskie dekryty, przewidujące surowe kary za najmniejsze przewinienia zakwalifikowane jako polityczne.



Drakoński wyrok

Proces chłopców odbył się przed Wojskowym Sądem Rejonowym w Łodzi oskarżeni częściowo przyznali się do winy, nie zaprzeczali faktowi wysadzenia pomnika i włamaniom do lokali ZMP, nie przyznawali się jednak do zarzutu uczestniczenia w antykomunistycznej konspiracji. W tym samym kierunku szły również wysiłki ich obrońców, którzy podkreślali młody wiek oskarżonych, ich robotnicze pochodzenie, starali się nawet udowodnić, że nie do końca zdawali sobie sprawę z podejmowanych przez siebie czynów.

Na niewiele się to jednak zdało. Sąd – któremu przewodniczył mgr Wacław Bohatyrewicz – uznał, że „Siergiej i jego koledzy celowo chcieli w okresie wyborów wywołać zamieszanie i wprowadzić ferment oraz przekonać opinię publiczną, że na terenie Łodzi istnieje podziemna organizacja.”

Wyrok zapadł 26 października 1953 r. Stanisław Siergiej skazany został na 9 lat więzienia, Florczyk i Kaczor otrzymali po 5 lat więzienia, Jeżyński 4, a pozostali (Opala i Wiszniewski) od 2 do 3 lat więzienia. Frątczakowi, który otrzymał 2 lata, karę na mocy amnestii zmniejszono o połowę, a Rżankowi w całości darowano.

Sprawcy wybuchu w pasażu ZMP powędrowali na kilka lat do więzienia. Większość z nich trafiła do specjalnych zakładów karnych na Śląsku. Pracowali w kopalniach węgla. Była to praca ciężka i niebezpieczna, ale dawała szansę na skrócenie wyroku, gdyż za każdy dzień pracy w kopalni zaliczano dwa dni odsiadki. Szczęśliwie się złożyło, że epoka stalinowska dobiegała końca. Już w 1955 r. niektórzy z oskarżonych wyszli na wolność. Przywódca grupy Stanisław Siergiej wyszedł z więzienia w połowie 1956 r. na krótko przed październikiem 1956 r. który przyniósł zasadniczą liberalizację rządów komunistycznych.

Wydawać by się mogło, że cała ta sprawa skończyła się mimo wszystko szczęśliwie. Chłopcy nie stracili życia, choć w ponurym okresie stalinizmu za znacznie mniejsze przewinienia wymierzano kary śmierci. Nie wolno zapominać jednak o tym, że osoby skazane przez komunistyczne sądy za przestępstwa polityczne nie miały łatwego życia nawet po wyjściu z więzienia. Zarówno Siergiej, jak i jego koledzy po powrocie z więzienia ukończyli wieczorowe technikum. Jednak na studia ich nie przyjęto. Dla „wrogów komunizmu” nie było miejsca na politechnice.

Poczucie krzywdy i stres wywołany ubeckim zakazem uniemożliwiającym realizację aspiracji życiowych spowodowały, że autorzy zamachu w Pasażu ZMP żyli krótko. Stanisław Siergiej zmarł w 1977 roku. Większość jego kolegów nie dożyła nawet 50 lat. Dziś z tamtej ósemki żyją tylko Bogusław Rżanek, Wiesław Kaczor i Jan Jeżyński.

Janusz Wróbel

Doktor historii. Pracownik łódzkiego oddziału IPN.

DOKUMENTY

Komitet Łódzki PZPR
Wydział Polityczno-Organizacyjny

Informacja nr 6/82
dotyczy: sytuacji społeczno-politycznej.

W trakcie licznych spotkań z aktywnym partyjnym obok problemów polityczno-społecznych wyrażano szereg opinii o funkcjonowaniu propagandy w stanie wojennym. Uważa się, że stan wojenny nie powinien być przeszkodą w dostarczaniu pełniejszej informacji. Wiadomości podawane w środkach masowego przekazu zdaniem wielu towarzyszy są słycone, a momentami wpadają w ton propagandy sukcesu np. często w mieście, w zakładzie pracy nie widać efektów podawanych przez telewizję, a dotyczących poprawy zaopatrzenia, porządku publicznego. Za godne kontynuowania uznano wkładki w „Głosie Robotniczym”, publikujące dokumenty obnażające działania „Solidarności”. Proponuje się także, by w „Głosie Robotniczym” powołano do życia rubrykę pt. „Życie partii”, która informowałaby o bieżących sprawach partii.

Kadra kierownicza przedsiębiorstw informuje o problemach wynikających z braku łączności telefonicznej i teleksowej, co w wielu wypadkach powoduje wysokie straty w produkcji a zarazem podraża koszty stanu wojennego. Nie słabnie krytyka pod adresem władz miasta w sprawie zniesienia reglamentacji na tłuszcz. Zdecydowana większość załóg pracowniczych opowiada się za utrzymaniem reglamentacji na ten artykuł.

W niektórych grupach społecznych coraz częściej można spotkać się z opinią, że niektóre posunięcia władz, typu spotkania ministra Cioska z władzami związkowymi, zwalnianie internowanych powodują, iż atmosfera, jaką niósł w pierwszych dniach stan wojenny ulega pewnemu rozprężeniu.

Niniejszym przekazujemy instrukcję na temat prowadzenia walki przeciwko władzom państwa. Egzemplarz niniejszej instrukcji znaleziony został w dniu 6. 01. 82 w Elektrociepłowni 2, w budynku dyrekcji.

*Z-ca kierownika Wydziału Polityczno-Organizacyjnego KŁ PZPR
Maria Czerska*

Instrukcja

13 grudnia 1981 roku władze PRL wypowiedziały wojnę własnemu narodowi. Już dziś musimy wszyscy stanąć do walki o wszystkie prawa Polaków, zdeptane przez wprowadzenie stanu wojennego. Można także pomagać okupantowi własnego kraju. Tym, którzy wybiorą pierwszą z tych dróg doradzamy co następuje:

1. W razie strajku pozostań wśród robotników, nie organizuj komitetu strajkowego, nie powinno być przywódców.
2. W stosunkach z władzami bezpieczeństwa udawaj naiwnego, nic nie wiesz, jesteś zdezorientowany.
3. „Solidarność” powinna być nadal obecna we wszystkich zakładach pracy, nie daj się więc w bezmyślny sposób wyeliminować poprzez nieprzemyślaną brawurę.
4. Nie mścij się na pierwszym lepszym; twoim wrogiem jest milicjant, zbyt ni gorliwiec wśród robotników i kolaborant.
5. Pracuj powoli, krytykuj bałagan i nieudolność szefów, pozostaw podejmowanie wszelkich decyzji komisarzom wojskowym i kolaborantom, zasypuj ich pytaniami, mów im o swych wątpliwościach, nie myśl za nich, udawaj głupiego.
6. Nie wyprzedzaj decyzji wojskowych i kolaborantów poprzez serwilistyczną postawę, brudna robota to jest ich zadanie, stwarzając próżnię wokół łobuzów i zasypując ich pytaniami w drobnych sprawach przyczynisz się do wykruszenia aparatu wojskowego i policyjnego.
7. Wykonuj dokładnie najbardziej idiotyczne instrukcje. Nie próbuj rozwiązywać problemów, zostaw to wojskowym i kolaborantom, bo to głupota przepisów jest twoim najwierniejszym sprzymierzeńcem. Pamiętaj jednocześnie, by przyjść z pomocą kolegom w pracy i sąsiadom w każdej sytuacji nie przejmując się zarządzeniami.

historia – czarne dziury, białe plamy

8. Jeśli jakiś łobuz każe ci postąpić niezgodnie z przepisami żądaj rozkazu na piśmie, narzekaj, zatruwaj mu życie, bo komisarz wojskowy wcześniej czy później będzie chciał mieć święty spokój. Będzie to początek końca dyktatury.
9. Zgłaszaj się jak najwcześniej o urlop zdrowotny lub zwolnienie w celu opiekania się dziećmi.
10. W życiu prywatnym bojkotuj otwarcie kolaborantów i łajdaków.
11. Pomagaj rodzicom aresztowanych i w ogóle wszystkich ofiar.
12. Załóż w miejscu pracy fundusz pomocy społecznej.
13. Bierz czynny udział w szerzeniu propagandy szeptanej, przekazuj dalej wszelkie informacje o bieżącej sytuacji i o przykładach oporu.
14. Maluj hasła na murach, rozlepiaj plakaty, rozdawaj ulotki i niezależne druki, ale pamiętaj zawsze i o przestrzeganiu środków ostrożności.
15. W swojej działalności zachowaj zawsze dwie zasady, że nie musisz wiedzieć więcej niż jest to absolutnie niezbędne, i że najważniejszą rzeczą jest dziś walczyć o wyzwolenie narodu, zniesienie stanu wojennego i szanowanie swobód obywatelskich i zawodowych.

Powyższy tekst jest dalekopisem do KC PZPR – Wydział Informacji Partyjnej, dokąd codziennie z komitetu łódzkiej PZPR musiały napływać informacje o sytuacji w mieście. Cytowana Instrukcja powstała w pierwszych dniach stanu wojennego w podziemnych strukturach „Solidarności”.

Łodzianie

Leokadia Jurdzińska i „jej“ Teatr Ziemi Łódzkiej

Czar trwa ...

Małgorzata Golicka - Jabłońska

str. 153

Andrzej Borucki

Socjolog z pasją

Magdalena Rylska

str. 156

Maria Dowbor-Lewandowska

Mistrzynie i wychowawca

Józef H. Wiśniewski

str. 158

THE HISTORY OF THE

ROYAL SOCIETY OF LONDON

AND

THE

ROYAL SOCIETY OF EDINBURGH

AND

Czar trwa...

Leokadia Jurdzińska i „jej” Teatr Ziemi Łódzkiej

łodzianie



Trzymam w ręce cieniutką broszurkę w beżowej kartonowej okładce. Wewnątrz - stroniczki pisane na maszynie i tytuł: *Czar trwa...* wyrysowane mazakiem. Obok podtytuł: *„Wspomnienia z okresu pracy Leokadii Jurdzińskiej w Teatrze Ziemi Łódzkiej.”*

I nazwisko autorki: *Anna Wojciekian*. Emerytowana nauczycielka języka polskiego w Technikum Elektrycznym przystąpiła do spisania wspomnień w zastępstwie zmarłej w grudniu 1973 roku aktorki. Kierowała nią miłość i przyjaźń do Leokadii Jurdzińskiej – w życiu prywatnym własnej ciotki, a także ogromne zafascynowanie teatrem.

Anna Wojciekian nie opuściła żadnej premiery w Teatrze Ziemi Łódzkiej, który mieścił się w budynku przy ul. Kopernika 8 (obecnie ma tam swoją siedzibę Teatr Studyjny), opiekuje się również spuścizną po zmarłej aktorce.

Z własnych wspomnień, programów teatralnych, recenzji i notatek nakreśliła sylwetkę Leokadii Jurdzińskiej, kobiety serdecznej, pełnej ciepła i życzliwości do ludzi. W jej domu, w trudnych, powojennych czasach znajdowało schronienie wielu bezdomnych aktorów.

Aktorka wraz z mężem Romanem Urbańskim (aktorem i reżyserem) rozpoczęła karierę artystyczną w latach międzywojennych, w teatrze operetkowym. Łódzka publiczność oglądała ją m. in. w „Baronie Cygańskim“ Straussa i w „Skalmierzankach“ Kamińskiego. Po wojnie Leokadia Jurdzińska koncertowała na Ziemiach Odzyskanych. W roku 1946 sprawowała funkcję kierownika artystycznego w Teatrze Miejskim w Słupsku. Następnie pojechała w przeciwległy rejon Polski i na kilka sezonów zaangażowała się do Teatru Ziemi Opolskiej.

W 1952 r. aktorka wróciła do Łodzi, gdzie podjęła pracę w Teatrze Ludowym, późniejszym Teatrze Ziemi Łódzkiej. W teatrze tym przepracowała 20 lat, grając w bogatym repertuarze. *„Określiłam już usposobienie mojej ciotki, która była w życiu osobą bardzo wylewną i serdeczną – pisze Anna Wojciekian – tym więcej zaskakiwały mnie w jej wykonaniu postacie drapieżne, bezwzględne do jakich, obok wcześniej wspomnianej Rukienie z „Pieją koguty“ należy właśnie Kanibacha z „Burzy“. Dlaczego mnie zaskakiwały? Bo była w nich świetna. To chyba najlepsze role Jurdzińskiej. Może psycholog powiedziała, że był to rodzaj wentylu duchowego, czy jak to się modne mówi „odreagowania“.*

(...) A może potwierdza się tutaj stara prawda, że literatura tworzy najciekawszych bohaterów negatywnych i autor w takich rolach otrzymuje bogatszy materiał do odtworzenia“.

Z długiej listy ról zagranych przez Leokadię Jurdzińską wymienię w tym miejscu rolę Dulskiej w dramacie Zapolskiej, czy późniejszą, bo z 1965 r. rolę SS-manki w tragedii obozowej „Śpiących nie budzić“ Zofii Pienkiewicz-Malanowskiej. Autorka sztuki napisała na programie następującą dedykację: „Panią Jurdzińską przepraszam za brzydką postać, a dziękuję za pracę nad nią“.

Leokadii Jurdzińskiej bliski był również repertuar komediowy, zwłaszcza sztuki Fredry czy Gogola. Widzowie pamiętali ją jako Orgonową w „Damach i huzarach“ Fredry, ciotkę Julię w „Domu Kobiet“ Nałkowskiej, Warszawą w „Kłopotach z mężczyznami“ Jurgielewiczowej, tytułową „Ciotunię“ Fredry i wiele innych, których nie sposób wymienić.

Aktorzy z Teatru Ziemi Łódzkiej występowali w siedzibie Teatru przy ul. Kopernika. Wiele jednak dni w miesiącu spędzali na występach w terenie. Grali w domach kultury, w świetlicach, w małych miasteczkach i wsiach

Z okazji jubileuszu Jurdzińskiej w 1962 roku obliczono, że tylko w ciągu 9 lat wystąpiła na scenie objazdowej 1400 razy, przejechała 200 tysięcy kilometrów i spędziła 5000 godzin w autokarze.

Publiczność doceniała aktorską pasję Leokadii Jurdzińskiej i w 1964 r. – w konkursie ogłoszonym w województwie łódzkim – uznała ją za najbardziej lubianą aktorkę.

„Leokadia Jurdzińska-Urbańska to naprawdę artystka z powołania – pisał w „Dzienniku

Łódzkim“ w 1962 r. słynny „Jagosz“, czyli Mieczysław Jagoszewski. – *Dzięki różlicznym swym kreacjom zaskarbiła sobie szczerą sympatię publiczności. Cieszy się też miłością kolegów, kochających ją za jej uczynność, prawość i złote serce*“.

Annie Wojciekian umiłowanie teatru udało się przekazać swoim uczniom, i to tak dalece, że kilku absolwentów technikum wybrało studia polonistyczne. Zapewne był w tym jakiś udział Leokadii Jurdzińskiej, którą wspólnie z nauczycielką podziwiali na deskach teatru.

Leokadia Jurdzińska odeszła 28 grudnia 1973 r. po dwudziestu latach pracy w Teatrze Ziemi Łódzkiej.

Pisząc o swojej ciotce – aktorce Anna Wojciekian wspomina także innych, ulubionych aktorów TZŁ. Ciepło pisze o Danucie Cwynarównie, Barbarze Olszańskiej, Marii Niedźwiedzkiej, Dominice Bartosiewicz, Walentynie Sakkilari, oraz o aktorach: Jerzym Staszewskim, Eugeniuszu Rawskim, Remigiuszu Rogackim, Michale Szarganie, Stanisławie Mareckim i innych.

Wspomnienia Anny Wojciekian są pisane z potrzeby serca i wewnętrznego nakazu ocalenia od zapomnienia ulubionego teatru i swojej ciotki – aktorki, co uważa za swój obowiązek. Im więcej takich przyczynków, tym ciekawsze i bogatsze będą późniejsze opracowania historyczne.

Małgorzata Golicka-Jabłońska

Socjolog z pasją

Andrzej Borucki



7 listopada 2003 roku odszedł od nas Andrzej Borucki. Bez niego Instytut Socjologii UŁ, z którym związany był od 1959 r. – nie będzie już taki sam – podkreśla – profesor Wielisława Warzywoda-Kruszyńska.

– Pustka, jaką pozostawił po sobie Andrzej Borucki, związana jest z jego osobowością. Miał wielu znajomych z różnych środowisk i łatwość nawiązywania kontaktu z ludźmi. Wszyscy wspominają go bardzo ciepło. Był bardzo dobrym człowiekiem, kolegą, na którego pomoc zawsze można było liczyć – mówi prof. Jolanta Kulpińska. Andrzej Borucki urodził się 2 kwietnia 1931 roku. W 1955 r. zaczął studia magisterskie po ich

wznowieniu na kierunku socjologii UŁ. Wcześniej, bo latach 1949-52 studiował już nauki społeczne. Zajmował się problemami struktury klasowej. Był związany z badaniami nad strukturą i kondycją inteligencji polskiej. Począwszy od pierwszych fascynacji studenckich, pozostał wierny tej tematyce przez długie lata pracy naukowej. Uczestniczył w projekcie prof. Jana Szczepańskiego, w którym ten podjął wyzwanie zbadania instytucji, które tworzą i kształtują inteligencję. Wybór Boruckiego padł na znane do dnia dzisiejszego gimnazjum im. Marszałka J. Piłsudskiego, czyli powojenną „Trójkę”, w parku Sienkiewicza. To było jedno z niewielu gimnazjów publicznych, które ukończyło niemało osób bardzo zasłużonych dla Łodzi. Badaniem socjologicznym objętych zostało kilka pokoleń absolwentów tego gimnazjum. Borucki prześledził ich kariery i opisał wprowadzając tu kontekst dobrej szkoły jako instytucji. Właśnie to zagadnienie stanowiło temat jego pracy doktorskiej. Uczestniczył także w innych badaniach nad inteligencją, między innymi był członkiem zespołu, który organizował w latach 1956-57 konkurs na pamiętniki inteligentów.

Andrzej Borucki bardzo dużą wagę przywiązywał do pracy dydaktycznej. Przez lata swojej pracy na uczelni niezmiennie wykładał „Wstęp do socjologii” i „Mikrostruktury społeczne”. Prawie każdy student „przechodził więc przez jego ręce”. Studenci wspominają go jako wymagającego wykładowcę. Mawiano, że był „piłowaty”, że kładł nacisk na bardzo dokładne przytaczanie definicji, nawet jakby kosztem pewnej wyobraźni w tym zakresie. Wymagał osadzenia przyswajanej wiedzy w szerszym kontekście teoretycznym.

Przez długie lata był wicedyrektorem Instytutu do spraw dydaktycznych. W latach 60-tych przyszło mu pełnić funkcję rzecznika dyscyplinarnego do spraw studenckich, przy rektorze Uniwersytetu Łódzkiego.

Było to niełatwe zadanie, gdyż sprawy dyscyplinarne, szczególnie w 1968 roku, bardzo silnie osadzone były w ówczesnym kontekście politycznym. Pomimo bardzo skomplikowanej sytuacji Andrzej Borucki zawsze pozostawał rzecznikiem studentów i starał się, by relegacji z uczelni było jak najmniej.

Kilka lat temu opracował i opublikował dzieje Wydziału Ekonomicznego aż do 1965 roku, kiedy to przekształcono go w Wydział Ekonomiczno-Socjologiczny. W podobny sposób chciał przeanalizować i opisać wypadki roku 1968. Tego już jednak nie zdążył.

Ostatnim większym przedsięwzięciem Andrzeja Boruckiego było przeprowadzone z grupą studentów i współpracowników badanie sytuacji zawodowej i etycznej inteligencji u schyłku systemu PRL. Wyniki tych badań opublikowane zostały w 1980 roku.

Andrzej Borucki miał wiele pasji. Zapalony taternik, członek Klubu Wysokogórskiego, w którym aktywnie działał nawet wtedy, kiedy stan zdrowia nie pozwalał mu już na wspinaczkę. W gronie współpracowników i kolegów uchodził za osobę niezwykle sumienną i wymagającą, przede wszystkim dla siebie samego. Do końca pozostał bardzo aktywny, wykazując wszechstronne zainteresowania mimo słabnących sił. Jego kłopoty zdrowotne zaczęły się po bardzo ciężkim wypadku, po którym stan zdrowia stopniowo, acz nieodwołalnie pogarszał się. Długotrwała choroba a potem rehabilitacja ograniczały energię naukowca. Nawet otaczający współpracownicy i studenci nie zdawali sobie sprawy, jaką trudność sprawiało mu już funkcjonowanie w życiu zawodowym.

W najbliższym czasie miał rozpocząć wykłady z socjologii w Wyższej Szkole Kupieckiej. Tych planów nie zdążył już zrealizować.

Magdalena Ryłska

– absolwentka Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego.

Mistrzyni i wychowawca

Maria Dowbor-Lewandowska



Do tej enklawy sportu, ukrytej wśród bujnej zieleni przywabił mnie nieregularny werbel uderzeń piłek na korcie. W samym centrum parku, przy wysokim budynku mieści się hala do treningów zimowych, obok wznosi się budynek z siedzibą Zarządu Miejskiego Klubu Tenisowego w Łodzi, kawiarenka i przytulny bufet. Panuje tu miła, familiarna atmosfera. Gdy zapytałem o panią Marię, wskazano mi korty. Na wielu pasach boiskowych trwał trening seniorów, juniorów i nastolatków. Nad głowami szybowały podbijane raketami piłki. Wypatrywałem najmłodszych, okazało się, że grają na boiskach przed wiatą dla publiczności, odgradzoną wysoką siatką z planszami

sponsorów. Właśnie odbywała się selekcja kandydatów do uprawiania tego pięknego sportu. Trenerzy – młodzi, ale doświadczeni tenisiści nauczali adeptów – kilkuletnie dziewczynki i chłopców właściwego trzymania rakiet. Na następnym boisku dzieci biegały – tak właśnie bada się ich kondycję fizyczną. Tam dostrzegłem panią Marię Dowbor-Lewandowską – szefową szkolenia podstawowego MKT w Łodzi, mającego za siedzibę piękny park im. Księcia Józefa Poniatowskiego. Nieopodal kortów stał przed wojną pomnik ks. Józefa, zniszczony przez Niemców w 1939 roku. Pod monumentem „Księcia Pepi” znajdował się obszerny plac – miejsce spotkań kombatanatów i manifestacji patriotycznych, z okazji świąt narodowych. Bywałem tu jako dziecko w dniach: 3 Maja, 15 Sierpnia i 11 Listopada. Gdy kończyły się defilady kombatanatów, można tu było spotkać ludzi w mundurach legionowych, halerczyków, uczestników powstań śląskich i innych ważkich wydarzeń historycznych. Przy okazji zaglądałiśmy z rodziną na korty, gdzie odbywały się turnieje tenisowe. W pobliżu, ale tuż za parkiem mieściła się ogromna hala tenisowa, po wojnie przerobiona na studio filmowe, gdy tenis jako „burżuazyjny sport” nie mógł się cieszyć miem u władz komunistycznych.

Tej hali – należącej przecież do sportowców – nigdy im już nie oddano. Niewielka hala w obecnej siedzibie MKT, nie dorównująca tamtemu obiektowi, została tu zbudowana

jako pomieszczenie „tymczasowe” i tak zostało już na zawsze. Dziś ten budynek wymaga generalnego remontu i modernizacji, a klub nie może doczekać się od lat odpowiednich dotacji. Dlatego w ubiegłym roku musiał wynajmować na potrzeby treningów dzieci większe sale w szkołach, nadające się do gry w tenisa. Podwyższa to koszty uprawiania tego popularnego sportu, bo staje się on właściwie rozrywką dla bogatych, którzy mogą bez przeszkód opłacać lekcje tenisa. Pani Maria boleje, bo jest wielką społecznicą i stara się te biedniejsze dzieci także przygarniać do klubu. Ale możliwości ma niewielkie, gdyż placówka musi działać bez deficytu. Ta wybitna sportsmenka nie może się pogodzić z taką sytuacją. Sama doszła do znakomitych wyników bez ponoszenia wydatków na treningi.

Pani Maria pokazuje mi tablice z dyplomami, gabloty z pucharami nadanymi za liczne zwycięstwa: w mistrzostwach Polski i turniejach ligowych – zarówno seniorów, jak i juniorów. Ile w tym pani zasług? – pytam.

Pani Maria jest osobą skromną, nie chce się przechwalać, ale gdybyśmy policzyli jej uczniów i podopiecznych byłyby ich tysiące, bo „trenerką” zajęła się już w 1966 roku. Iluż to młodych sportowców wyszkoliła i... wychowała. Nie wstydzmy się o tym mówić, bo to ważna sprawa. Pośród jej wychowanków nie znajduje się żaden narkoman, ani człowiek z marginesu społecznego. Czy to doceniają? Pani Maria uśmiecha się – *dla mnie najwyższą miarą uznania byłby przydział funduszy na doprowadzenie naszej skromnej hali do stanu używalności przez cały rok, byśmy nie musieli tułać się po wynajmowanych salach!*

Przyjrzyjmy się teraz drodze życiowej pani Marii.

– *Ja mam sport chyba w genach, bo mój ojciec Bohdan Dowbor był przed wojną w Wilnie prezesem AZS-u, mama także grała w tenisa. Po osiedleniu się po wojnie w Łodzi, zaczęłam od najmłodszych lat uprawiać sport. Rodzice prowadzali mnie na korty już w wieku 9 lat. Jako 10-letnia dziewczynka rozegrałam pierwszy mecz. Uprawiałam też koszykówkę i siatkówkę w ŁKS-ie, tu także dochodziłam do mistrzowskiej formy. W 1962 roku wywalczyłam vice-mistrzostwo Polski na korcie i w tymże roku uzyskałam vice-mistrzostwo Polski w hali. Potem przysły trzykrotne mistrzostwa Polski w deblu; moimi partnerkami były: Danuta Szmidt-Celińska, Barbara Olszowska (obecnie Kowalska) i Danuta Ryłska. Wyszłam za mąż za Jana Lewandowskiego, który miał duże osiągnięcia jako koszykarz ŁKS, mój syn Michał też jest sportowcem. Uprawiając wyczynowo sport nie zaniedbywałam wykształcenia. Po maturze studiowałam na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi UŁ, specjalizowałam się w antropologii. Po uzyskaniu dyplomu zajęłam się szkoleniem trenerskim, wiele zawdzięczam Ryszardowi Szejnbornowi. Już od 1966 roku prowadziłam szkółki dziewczęce w MKT. W 1970 roku studiowałam w AWF uzyskując I klasę trenerską. Moim hobby była metodyka szkolenia, toteż wybrano mnie na członka Komisji Metodyki Polskiego Związku Tenisowego. Pragnę dodać, że byłam również kapitanem polskiej reprezentacji kobiecej w tenisie.*

Niestety, stan zdrowia uniemożliwił mi uprawianie tenisa wyczynowo, odtąd tym bardziej intensywnie zajęłam się pracą trenerską, teraz sprawuję nadzór nad wszystkimi trenerami naszego klubu.

Dodajmy, że pani Maria, która nie opuszcza żadnego treningu sama angażuje się w prace treningową, szczególnie zwracając uwagę na szkolenie dzieci. Uważa bowiem, że najważniejsza jest poprawna i systematyczna gra najmłodszych, aby mogli w przyszłości dojść do lepszych osiągnięć sportowych.

Jak już wspominaliśmy władza ludowa w pierwszych latach po wojnie nie była łaskawa dla tej dyscypliny sportu. Uważano, że tenis to „burżuazyjny sport” tylko dla bogatych. A przecież przed wojną tenis uprawiali także ludzie mniej zamożni. Przykładem niech będzie chociażby Jadwiga Jędrzejewska, wielokrotna mistrzyni Polski i zwyciężczyni wielu turniejów międzynarodowych, która zaczynała pracę na korcie od podawania piłek mistrzom. Trzeba było włożyć więc wiele wysiłku, przewyciężyć moc oporów, bo tenis nie był „oczkiem w głowie” władz komunistycznych. Stąd dzisiejsze zaniedbania w zakresie nakładów na rozwijanie tej dyscypliny sportu.

Na modernizację i remont hali MKT potrzeba dziś 4 mln złotych. Około 30 procent tej kwoty można byłoby uzyskać z budżetu centralnego. Zatwierdzono już projekty, wykonano ekspertyzy i jest nakaz nadzoru budowlanego, by wykonać wspomniane prace. Resztę kwoty potrzebnej na remont mogłaby wydatkować gmina Łódź. Podobno w tegorocznym budżecie przewidziano pół miliona złotych na te prace, ale do realizacji nie doszło, choć klub sportowy MKT pracuje bez długów.

Nasza mistrzyni Maria Dowbor-Lewandowska, w przypadku zrealizowania tych zamierzeń byłaby w pełni usatysfakcjonowana. Należy się jej to choćby z tytułu jej wieloletniej pracy wychowawczej i własnego wkładu w rozślawianie naszego miasta i kraju. Należy się także jako mistrzyni sportu. W latach jej młodości, czynnego uprawiania tenisa mieliśmy możliwość oklaskiwania jej na kortach, brania z niej przykładu. Godziłoby się zrobić coś dla sprawienia jej radości, a także przecież – *pro publico bono*.

Józef H. Wiśniewski

– poeta, dziennikarz, publicysta; rodowity łodzianin.

religie, kościoły, wyznania

Prekursorzy religijnej tolerancji

Kościół Chrześcijan Baptystów

Maria Rylska

str. 163

THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES

OF AMERICA

FROM 1776 TO 1865

BY

W. H. RICHMOND

NEW YORK

1865

THE HISTORY OF THE

REPUBLIC OF THE UNITED STATES

OF AMERICA

FROM 1776 TO 1865

BY

W. H. RICHMOND

NEW YORK

Prekursorzy religijnej tolerancji

Kościół Chrześcijan Baptystów

Słowo baptyści pochodzi od greckiego *baptidzein* – co oznacza „chrzczyć, zanurzać, chrzczyć przez zanurzenie”. Stanowi to nawiązanie do chrztu Jezusa, który przyjął z rąk Jana Chrzciciela. Początkowo określenie „baptyści” było przezwiskiem, później zaczęło funkcjonować jako nazwa grupy wyznaniowej.

Historia Kościoła baptystów ściśle związana jest z okresem Reformacji. W Europie pojawił się wówczas nurt zwany anabaptyzmem. Odmianę tego ruchu w Polsce nazywano Braćmi Polskimi. Fale sprzeciwu wobec innowierców były powodem częstych ucieczek wyznawców nowego ruchu religijnego z krajów im nieprzychylnych. Powodowało to również wewnętrzne rozłamy wśród wiernych. Podobnie było też z anabaptyzmem. Zdziesiątkowani, znaleźli schronienie we Fryzji, gdzie przyjęli nową nazwę – mennonici.

Pierwsza wspólnota baptystyczna zaczęła się tworzyć 1608 r., w Amsterdamie. Osiedliła się tam grupa angielskich uchodźców przed prześladowaniami religijnymi. Tworząc nowy kościół połączyli się oni z bliskimi ideowo mennonitami. Na czele jednego z pierwszych zborów baptystycznych stanął John Smyth.

Kilka lat później, w 1611 roku w miejscowości Spaterfield, niedaleko Londynu powstał kolejny zbor, którego duchowym przewodnikiem został Tomasz Helwys.

Był to okres kształtowania się doktryny i zasad wiary baptystów. Duży wpływ na jej obraz miały studia nad Pismem Świętym oraz czerpanie z tradycji anabaptystycznej, przekazywanej przez mennonitów. Baptyści głosili, iż: „zbor jest przejawem Kościoła Powszechnego, składa się z ludzi przeżywających swą wiarę w Chrystusa poprzez nawrócenie od świeckiego i cielesnego życia i myślenia, do Boga, który obdarza ich łaską wiary poprzez nowe narodzenie przez swoje Słowo”.

Baptyści występowali z nowatorskimi, wręcz zaskakującymi na tamte czasy postulatami. Chcieli: rozdziału kościoła od państwa, wolności sumienia

i tolerancji religijnej. Powodowało to sprzeciw społeczny, dlatego wielu baptystów musiało emigrować do Ameryki, gdzie mogli liczyć na większą tolerancję. Stworzyli tam nawet państwo Rhode Island, oparte na propagowanych przez siebie zasadach.

Po raz pierwszy nazwy ruchu użył w XVII w. kanclerz królewski, określając tak grupę religijną w Anglii, co spowodowało, że termin ten rozpowszechniony w prasie stał się nieodłącznym mianem nowo tworzącej się religii.

BABTYZM W POLSCE

Za „pioniera“ ruchu na ziemiach polskich uważa się Gotfryda Fryderyka Alfa, wiejskiego nauczyciela, mieszkającego we wsi Adamów, w pobliżu Pułtusza, który prowadził zajęcia wnikliwego czytania i analizy biblii dla miejscowego laikatu. Stopniowo zaczęła się wokół niego gromadzić większa grupa ludzi przyciągniętych jego nauką i umiejętnością interpretacji „słowa bożego“. Choć cieszył się powszechnym szacunkiem i akceptacją, podjęto decyzję o zwolnieniu go z posady nauczyciela i uniemożliwiono prowadzenie studiów nad Pismem Świętym w Kościele luterańskim a w rezultacie zmuszono do opuszczenia powiatu. Gotfryd F. Alf nie zmienił swych przekonań i 28 listopada 1858 roku w Adamowie przyjął starorytualny chrzest przez zanurzenie.

KOŚCIÓŁ BABTYSTÓW W ŁODZI

Kiedy dziewiętnastowieczna Łódź stała się centrum przemysłu bawełnianego, oprócz Polaków zamieszkiwali ją Niemcy, Żydzi, Rosjanie, Czesi. Wśród rzeszy przybywających tu „za chlebem“, znaleźli się Jan Rohner – z zawodu księgowy oraz tkacz – Henryk Pufahl. Obaj należeli do ruchu badaczy Pisma Świętego. W niedługim czasie zebrali wokół siebie krąg biblijny, czyli grupę studiujących biblię. Podczas pobytu w Kościele baptystycznym w Kicinie, Rohner zafascynowany stylem życia zgodnym z biblią postanowił przyjąć chrzest przez zanurzenie. Wraz z nim w przyfabrycznym stawie przy ul. Widzewskiej – z rąk pioniera baptyzmu polskiego – Gotfryda F. Alfa – chrzest przyjęło pięć osób. Rohner został wybrany pierwszym kaznodzieją zboru w Łodzi. Funkcję tę pełnił w latach 1868-73. W ciągu roku liczba wiernych wzrosła do 71 osób. Nabożeństwa przeniesiono z domu Rohnera, z ul. Widzewskiej, na Nawrot 36. Z czasem placówka ta okazała się mała, dlatego dokupiono nieruchomość wraz z domem przy Nawrot 27. Kaznodzieją był wówczas Julius Fogiel.

Lata 1877-1887, pomimo licznych ataków ze strony Kościoła luterańskiego, były okresem dynamicznego rozwoju wspólnoty baptystów. Pastorem był wówczas Karol Ondra.

Rok 1878 oficjalnie uważa się za początek zboru baptystów w Łodzi. Wspólnota liczyła wtedy 252 osoby, ale z każdym rokiem liczba wiernych



religie, kościoły, wyznania

DOKTRYNA

Kościół baptystyczny pod względem doktryny religijnej zaliczany jest do religii chrześcijańskich. Jego początki sięgają okresu poreformacyjnego. Podobnie, jak pozostałe religie chrześcijańskie, teologia baptystyczna ma charakter monoteistyczny. Jeden Bóg występuje w Trzech Doskonałych Osobach, jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Jedynym, niepodważalnym autorytetem nauki o Bogu i jego obietnicach danych człowiekowi, jest Pismo Święte.

W Kościele baptystycznym stosuje się jedynie obrzędy ustanowione przez Jezusa Chrystusa. Pierwszym i najważniejszym jest wczesnochrześcijański chrzest przez zanurzenie, będący świadectwem nawrócenia. Sakrament przyjmowany jest w wieku dojrzałym, jest więc świadomą decyzją i potwierdzeniem aktu wiary.

Drugim, obok chrztu, obrzędem ewangelicznym jest pamiątka Wieczerzy Pańskiej. Stanowi ona część nabożeństwa zborowego. Przyjmowana jest według nowotestamentowej formuły, pod dwiema postaciami, chleba i wina.

Według nauki Kościoła Chrześcijan Baptystów, zbawienie człowieka może dokonać się „jedynie z łaski przez wiarę”.

Ważnym elementem kultu jest spontaniczna modlitwa. Nie polega ona na wypowiedzianiu sformułowań, nauczonych wcześniej. Skierowana jest do Trójjedynego Boga. Baptyści nie uznają natomiast kultu Maryi, świętych oraz zmarłych. Jedyną modlitwą odmawianą w trakcie nabożeństwa jest Modlitwa Pańska.

Miejszem kultu religijnego jest budynek kościelny, który nie posiada charakteru świątyni. Oprócz odprawianych nabożeństw jest również miejscem spotkań i zebrań.

Wierni spotykają się dwa razy w tygodniu na nabożeństwie. Spotkania czwartkowe to przede wszystkim czytanie i analiza Pisma Świętego oraz śpiewanie, natomiast nabożeństwo niedzielne ma charakter dużo bardziej uroczysty. W obrzędach Kościoła baptystycznego brak jest ceremoniału mszalnego i liturgii. Nabożeństwa celebrowają pastory, lub liderzy, wybrani ze społeczności wiernych. Pastorów nie obowiązuje celibat, nie są również szczególnie wyróżnieni spośród grona wiernych.

Dniem świętym jest niedziela, która stanowi symboliczne nawiązanie, pamiątkę Zmartwychwstania Pańskiego.

wzrastała. Dlatego też podjęto decyzję o zbiórce funduszy na budowę kościoła, który pomieściłby około 700 osób. Budowa ruszyła w 1880 roku i już 25 czerwca 1882 roku dokonano uroczystej inauguracji nowego domu modlitwy. Był to czas krzepnięcia Kościoła baptystów. W 1884 roku miał miejsce najliczniejszy chrzest, gdy do wspólnoty wstąpiło 44 nowych członków.

W latach 1888-1904 na czele zboru stanął Albert Gutsche. Był to czas wielkich zmian i przedsięwzięć we wspólnocie. Podarowano wówczas wiernym dom przy ulicy Aleksandrowskiej 4, w którym w krótkim czasie powstał dom starców. Rozbudowano również obecny dom zborowy, przy ulicy Nawrot 27. Przy zborze działały orkiestry oraz chóry: mieszany, męski i żeński. W 1897 dokonano kolejnej rozbudowy domu modlitwy, gdyż zbor liczył już ponad 1900 wiernych.

W latach 1907-1911 działało w Łodzi, przy Nawrot 26 Seminarium Teologiczne. Przed I wojną światową, w okolicach Łodzi, powstało wiele nowych ośrodków baptystów. Jednak nie wszystkie przetrwały. Tak było np. z domem wybudowanym w Aleksandrowie Łódzkim, który po wojnie zamieniony został na dom kultury. Zbor przy Nawrot 27 w czasie I wojny światowej pełnił funkcję szpitala. W 1920 roku założono wydawnictwo diecezjalne „Kompas”. W 1924 ponownie otwarto Seminarium Teologiczne, które w 1928 roku przeniesiono na ulicę Lipową. Niestety, po II wojnie światowej budynek seminarium zburzono.

W okresie międzywojennym zbor prowadził bardzo intensywną działalność charytatywno-opiekuńczą. W grudniu 1923 roku miało miejsce otwarcie szpitala „Bethel” przy ul. Podleśnej 15, gdzie na fachową pomoc i leczenie mogli liczyć również nie ubezpieczeni.

Po II wojnie światowej baptystom odebrano ich własność. Kościół przy ul. Nawrot przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, a potem Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. W kościele urządzono Dom Kultury Milicjanta. W 1988 roku Rada Kościoła Chrześcijan Baptystów podjęła próbę odkupienia budynku, jednak wobec oporu władzy nie przyniosło to zamierzonego rezultatu. Dopiero długie i trudne dochodzenie doprowadziło do odzyskania w 1994 roku dawnego domu modlitwy. Przystąpiono do remontu, aby w 1998 roku uroczystie przenieść się do dawnego zboru. W 2000 roku zakończono w nim gruntowny remont.

Obecnie posługę duchową w łódzkim zborze baptystów pełnią: pierwszy pastor – prezbiter Mirosław Szachiewicz, drugi pastor – Piotr Arendt oraz wikariusz – Marcin Buska.

Kościół baptystów to nie tylko działalność religijna, ale również dzieło pomocy potrzebującym i różnego rodzaju akcje charytatywne. Szczególną opieką objęte są dzieci i młodzież. Organizowane świetlice i kluby oferują różnorodne zajęcia, zabawy, jak i bezinteresowną pomoc w nauce. Prowadzone są zajęcia plastyczne, muzyczne i sportowe. Kościół organizuje również wyjazdy wakacyjne i zimowe.

Od niedawna prowadzone są kolonie i obozy dla osób niepełnosprawnych. Warto dodać, iż niektóre z nich mają charakter rehabilitacyjny. Wszystkie prezentowane możliwości spędzania wolnego czasu są propozycją skierowaną również do osób bezpośrednio nie związanych z baptyzmem.

Formą pracy wychowawczo-religijnej wśród środowisk baptystycznych i osób utrzymujących stały kontakt z kościołem są regularne, ogólnopolskie spotkania i konferencje młodzieży, kobiet, nauczycieli oraz innych grup zawodowych i społecznych.

Zbór baptystyczny podejmuje działalność charytatywną i pomoc dla ludzi doświadczonych przez los. W 1995 roku rozpoczęła działalność Stacja Opieki „Bethel”, gdzie sprawowana jest opieka nad 140 pacjentami.

W kościele działa chór pod dyrekcją Dawida Bera.

Od kilku lat prowadzona jest charytatywna akcja pod nazwą „Gwiazdkowa niespodzianka”, która kierowana jest do dzieci łódzkich z najbardziej ubogich rodzin.

Maria Ryłska – absolwentka polonistyki UŁ.

osiedla, domy, ulice

Łódź, Stuttgart i Juliusz Jung
Ulica Moniuszki w duchu Goethestraße
Krzysztof Stefański
str. 171

THE UNIVERSITY OF CHICAGO

PHYSICS DEPARTMENT

PHYSICS 350

LECTURE 1

MECHANICS

1.1. Kinematics

1.2. Dynamics

1.3. Energy

1.4. Momentum

1.5. Angular Momentum

1.6. Oscillations

1.7. Waves

1.8. Relativity

1.9. Quantum Mechanics

1.10. Statistical Mechanics

1.11. Thermodynamics

1.12. Electromagnetism

1.13. Optics

1.14. Modern Physics

1.15. Miscellaneous

1.16. Appendix

1.17. Bibliography

1.18. Index

1.19. Glossary

1.20. Acknowledgments

1.21. Contact Information

1.22. Copyright

1.23. License

1.24. Disclaimer

PHYSICS 350

PHYSICS DEPARTMENT

PHYSICS 350

LECTURE 1

MECHANICS

1.1. Kinematics

1.2. Dynamics

1.3. Energy

1.4. Momentum

1.5. Angular Momentum

1.6. Oscillations

1.7. Waves

1.8. Relativity

1.9. Quantum Mechanics

1.10. Statistical Mechanics

1.11. Thermodynamics

1.12. Electromagnetism

1.13. Optics

1.14. Modern Physics

1.15. Miscellaneous

1.16. Appendix

1.17. Bibliography

1.18. Index

1.19. Glossary

1.20. Acknowledgments

1.21. Contact Information

1.22. Copyright

1.23. License

1.24. Disclaimer

Łódź, Stuttgart i Juliusz Jung

Ulica Moniuszki w duchu Goethestraße

Łódź – przemysłowa metropolia położona na nizinach centralnej Polski, której dzieje sprowadzają się praktycznie do ostatnich niespełna dwustu lat, i Stuttgart – malowniczo położone niemieckie miasto o bogatej historii, stolica księstwa, (a od początku XIX wieku do I wojny światowej królestwa Wirtembergii) – choć odległe mają również punkty styczne. Z Wirtembergii napływali osadnicy pojawiający się w okolicach Łodzi jeszcze przed przemysłową karierą miasta. Królewski Stuttgart, podobnie jak i nasze miasto, rozwinął się znacznie w ciągu XIX wieku jako ośrodek przemysłowy – choć nie tak monokulturowy jak Łódź – i do dzisiaj pozostaje znaczącym ośrodkiem produkcyjnym, siedzibą koncernu Daimler-Benz, fabryk samochodów Mercedes i Porsche, zakładów Boscha czy Kodaka. Rozwój przemysłu w XIX stuleciu sprawił, że w Stuttgarcie powstawała w tym czasie interesująca architektura o znamienitych dla tego okresu formach historycznych, gmachy fabryczne, czy też wille przemysłowców. I właśnie w dziedzinie architektury odnajdujemy zaskakujące zbieżności między tymi dwoma, wydawałoby się tak różnymi od siebie miastami.

Zapomniane zasługi Meyera

Jednym z najciekawszych zespołów urbanistyczno-architektonicznych dawnej Łodzi był tzw. Pasaż Meyera – obecna ulica Stanisława Moniuszki. Ta miła uliczka w centrum miasta o wdzięcznej, harmonijnej zabudowie powstała jako prywatne przedsięwzięcie jednego z najbardziej znaczących przemysłowców Łodzi ostatniej ćwierci XIX wieku, Ludwika Meyera. Zespół ten od dawna budził zainteresowanie i należał do najwcześniej opracowanych założeń zabytkowych miasta. W 1977 roku opublikowany został na ten temat artykuł w fachowym czasopiśmie „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki”, w którym odtworzono dzieje powstania i ukształtowania Pasażu Meyera, przypisując jego autorstwo architektowi miejskiemu Łodzi Hilaremu Majewskiemu¹.

Luwik Meyer (1841-1911) był znanym łódzkim przedsiębiorcą związanym z branżą przemysłu bawełnianego. Karierę rozpoczął od pracy w zakładach Edwarda Haentschla, położonych w centrum miasta na rogu ulic Piotrkowskiej

osiedla, domy, ulice



i Krótkiej (obecnie Romualda Traugutta). Wkrótce ożenił się córką swojego pryncypała, a w 1874 r. na spółkę z Juliuszem Kunitzerem, przejął jego fabrykę. Niedługo później został samodzielnym właścicielem przedsiębiorstwa.

W połowie lat siedemdziesiątych XIX wieku Meyer począł skupować sąsiadujące z fabryką, której stał się współwłaścicielem, a następnie właścicielem, działki, położone pomiędzy ul. Piotrkowska, a Dziką (dzisiejsza Sienkiewicza), być może planując na tym terenie rozbudowę zakładów. Jego plany uległy jednak później zmianie. Zapewne Meyer uświadamiał sobie, że rozbudowa zakładów przemysłowych w centrum miasta nie jest najlepszym pomysłem, a te atrakcyjnie położone place można wykorzystać w znacznie ciekawszy sposób.

Już w końcu lat siedemdziesiątych XIX wieku przedsiębiorca przeniósł swoje zakłady do osady Mania, położonej w zachodniej części Łodzi, na terenie Lasu Miejskiego, jednocześnie szukał możliwości wykorzystania znajdujących się w jego rękę śródmiejskich terenów. Należące do niego posesje znajdowały się na śródkowym odcinku głównej arterii miasta i w naturalny sposób z biegiem lat, w miarę przekształcania się Łodzi z fabrycznej osady w duże miasto, ich atrakcyjność rosła. Wpływ na to miało też wybudowanie w niedalekiej odległości dworca kolei żelaznej.

To znakomite usytuowanie sprawiło, że w 1888 r. Meyer przebudował dawny budynek frontowy zakładów bawełnianych na rogu Piotrkowskiej i Krótkiej na słynny „Grand Hotel”, który do dzisiaj uchodzi za najelegantszy hotel w mieście.

Jednak już kilka lat wcześniej fabrykant rozpoczął inwestycję o nietypowym charakterze: wytyczenie na sąsiadujących z późniejszym „Grand Hotelem” działkach, rozciągających się pomiędzy ulicami Piotrkowską i Dziką, prywatnej ulicy i zabudowanie jej eleganckimi willami z mieszkaniami do wynajęcia. Uważa się, że wpływ na podjęcie tej inwestycji miały pogłoski o możliwości przeniesienia do Łodzi władz gubernialnych z Piotrkowa Trybunalskiego. Meyer liczył na wynajęcie luksusowych mieszkań wysokim carskim urzędnikom. Informacje na ten temat rozchodziły się w mieście co pewien czas, ale do 1914 roku żadnych decyzji w tej sprawie rosyjskie władze nie podjęły. Niezależnie od tego dynamiczny rozwój miasta w ciągu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku, którego liczba mieszkańców przekroczyła 100 tysięcy, dawał wystarczające powody do podjęcia tego rodzaju decyzji.

Pierwsze projekty zabudowy tego terenu powstały w 1883 roku i zapewne już wówczas rozpoczęły się prace budowlane. Równocześnie wytyczono ulicę nazwaną wkrótce Pasażem Meyera. Informacje prasowe wskazują, że zabudowa Pasażu Meyera powstała w latach 1884-85. Latem 1884 donoszono, że stanowiący istotny jej element pałac L. Meyera jest już na ukończeniu, a jesienią roku następnego pisano, że „przed zimą cztery wille będą już pod dachem”. Przewidywalnie w ciągu 1886 roku trwały prace wykończeniowe.

Co ciekawe, zatwierdzone przez Piotrkowski Urząd Gubernialny projekty budynków wzniesionych przy Pasażu Meyera, jak i całościowy jego plan sytuacyjny, pochodzą z 1887 roku i sygnowane są przez architekta miejskiego Majewskiego (co było podstawą to przypisania mu autorstwa obiektów)². Wskazuje to, że urzędowa akceptacja planów nastąpiła w momencie, gdy budynki były już gotowe i *de facto* było to potwierdzenie istniejącego stanu rzeczy. Nie była to sytuacja wyjątkowa – często bowiem w dziejach architektury łódzkiej spotykamy sytuacje pomijania urzędowych procedur i stosowania polityki „faktów dokonanych” czyli, używając dzisiejszych sformułowań, „samowoli budowlanej”. Wiązało się to z kolei faktem, że projekty wielu łódzkich budowli wykonywane były przez architektów niemieckich, nie mających odpowiednich uprawnień do działalności na terenie Cesarstwa Rosyjskiego – rodziło to problemy z ich urzędowym zatwierdzeniem. Do kwestii tej jeszcze powrócimy.

Przy Pasażu Meyera stanęła willa właściciela, otoczona obszernym ogrodem, oraz trzy wille, w tym dwie podwójne, bliźniacze, z mieszkaniami do wynajęcia. Architektura budowli operowała formami dojrzałego renesansu włoskiego, połączonymi z akcentami czerpanymi z tradycji francuskiej (wysokie dachy). Od strony ul. Dzikiej (Sienkiewicza) wzniesione zostały dwie dwupiętrowe kamienice, w jednej z nich ulokowana została łódzka poczta. Od ul. Piotrkowskiej zabudowa Pasażu sąsiadowała

z „Grand Hotelem”, choć samo skrzyżowanie Pasażu z Piotrkowską zajęły budynki nie będące własnością Meyera. Po stronie północnej skrzyżowania, obok hotelu, przedsiębiorstwo Ludwika Geyera wystawiło elegancki budynek, zwieńczony kopułą na narożu, z pomieszczeniami do wynajęcia, gdzie później zlokalizowany został bank.

Bliźniacza ulica w Stuttgarcie

We wcześniejszych opracowaniach poświęconych łódzkiej architekturze często podkreślano unikatowość Pasażu Meyera, jego oryginalny charakter³. Nie zadawano sobie przy tym trudu wskazania na zbliżone rozwiązania w architekturze polskiej czy europejskiej. Tymczasem przeprowadzone w tej mierze poszukiwania pozwoliły na odnalezienie zespołu architektonicznego, który uznać można za wzorzec dla łódzkiego pasażu – jest nim zabudowa ulicy Goethego (Goethestraße) w Stuttgarcie.

Już wcześniej wspomniano o przemysłowym rozwoju stolicy Wirttembergii i charakterystycznej dla tego okresu architekturze miasta. Jednym z tego przejawów była zabudowa Goethestraße, położonej na zachodnich obrzeżach centrum miasta krótkiej ulicy, zbliżonej długością do łódzkiego Pasażu Meyera, ale nieco szerszej. W latach 1872-74 firma „Stuttgarter Immobilien- und Baugeschäft” wybudowała przy niej zespół jedenastu wolnostojących domów mieszkalnych o charakterze willi, w tym pięć willi bliźniaczych. Projekty budynków wykonali mało znani miejscowi architekci Paul Pfäfflin i Adolf Gnauth. Budowle te otrzymały – podobnie jak i wille w Pasażu Meyera – ujednoliconą formę architektoniczną, łączącą motywy dojrzalego renesansu włoskiego i francuskiego. Bliźniacze wille są mniejsze od łódzkich, pozbawione wewnętrznych dziedzińców. Domy te były następnie sukcesywnie sprzedawane prywatnym właścicielom⁴. Zespół przy Goethestraße nie zachował się – został w całości zniszczony w trakcie bombardowań w czasie II wojny światowej, a ulicę zabudowano nowymi budynkami o formie modernistycznej.

Już pobieżny rzut oka na archiwalne zdjęcia zabudowy ulicy Goethego w Stuttgarcie pozwala na zauważenie wyraźnych analogii, tak w kompozycji całego zespołu, jak i w architekturze willi mieszkalnych, z łódzkim Pasażem Meyera. Oczywiście są różnice. Ulica Goethego została zabudowana w sposób bardziej ujednoliczony, na całej swojej długości, łącznie z narożnikami. Pozwoliło to na pomieszczenie przy niej łącznie 11 domów, położonych blisko siebie. Większa przestrzeń jaką dysponowano umożliwiła niewielkie odsunięcie ich od ulicy.

Juliusz Jung – architekt znakomity

Podobieństwa są jednak na tyle duże, że trudno tutaj mówić o przypadkowej zbieżności. Pojawia się pytanie, w jaki sposób nastąpiło przeszczepienia urbanistyczno-architektonicznego wzorca ze Stuttgartu na teren łódzki? Tu konieczne jest przywołanie postaci Juliusza Junga – architekta, który przybył do Łodzi właśnie ze Stuttgartu i mógł być

ważnym ogniwem w przeszczepieniu na nasz grunt tamtejszych interesujących rozwiązań. Architekt ten, jeszcze kilkanaście lat temu był postacią niemal nie dostrzeganą w opracowaniach dotyczących łódzkiej architektury. Dokładniejsze badania łódzkiej prasy i archiwaliów z końca XIX wieku pozwoliły na przypisanie mu wielu ważnych dla łódzkiej architektury gmachów. Jung był zatrudniony od 1883 roku w fabryce Izraela K. Poznańskiego i projektował obiekty należące do zakładów, jak i do rodziny Poznańskich, m. in. kamienicę przy ul. Piotrkowskiej 51, willę Hertza przy obecnej al. Kościuszki 4, pałac przy ul. Ogrodowej oraz szpital żydowski fundacji Poznańskich przy obecnej ul. Sterlinga. Do dzieł, których miał być autorem należy również dom zakładów Geyera na rogu ul. Piotrkowskiej i Moniuszki. Dorobek Junga pozwala uznać go za jednego z najważniejszych twórców łódzkich końca XIX wieku⁵. Mimo, że pracował w Łodzi przez wiele lat nigdy nie zakorzenił się tu na trwałe, pozostał obywatelem niemieckim, a pod koniec swojego życia powrócił do Stuttgartu i tam zmarł.

Jung nie przyjął nigdy obywatelstwa rosyjskiego, a co za tym idzie nie uzyskał też odpowiednich uprawnień do projektowania na terenie Łodzi. Dlatego większość wyżej wymienionych budowli w łódzkich aktach archiwalnych figuruje jako dzieła architekta miejskiego Hilarego Majewskiego i jemu były przypisywane. To samo dotyczy również zabudowy Pasażu Meyera. Jak wspomniano Jung przybył do Łodzi na stałe ze Stuttgartu w 1883 (choć już wcześniej mógł tu przyjeżdżać na krótko) – z tego samego roku pochodzi pierwszy zachowany fragmentarycznie projekt domu, jaki miał stanąć przy Pasażu Meyera i wówczas zapewne ruszyły już prace budowlane. Zbieżność dat jest aż nazbyt wyrazista. Pozwala to na stwierdzenie, że właśnie Jung podsunął Meyerowi pomysł stworzenia prywatnej ulicy z zespołem willi, na wzór stuttgarckiej

osiedla, domy, ulice



Goethestraße, którą doskonale znał. On też zapewne był autorem projektów – ani on, ani zamawiający u niego plany fabrykant nie zadbali przy tym o formalne ich zatwierdzenie, co – jak już wcześniej wspomniano – było w Łodzi nagminne. Dopiero po wykończeniu zespołu, w 1887 roku, wykonano urzędowe plany, które podpisał formalnie architekt miejski. Na tej podstawie przypisano niesłusznie autorstwo Hilaremu Majewskiemu.

Odnalezienie wzoru dla łódzkiego Pasażu Meyera pozwala więc wskazać również jego prawdopodobnego autora i czyni postać Junga tym bardziej istotną dla obrazu łódzkiej architektury końca XIX wieku. Związki między Łodzią, a Stuttgartem okazały się być bliższe niż się pozornie wydało. Łódzki zespół był być może skromniejszy niż jego niemiecki pierwowzór. Ma jednak wielki walor – mimo znacznych zmian i zniekształceń w zabudowie nadal istnieje, podczas gdy zabudowa stuttgarckiej Goethestraße zniknęła. Tym silniejszy ciąży na nas obowiązek zachowania go w możliwie jak najlepszym stanie, jako cennego zabytku dawnej Łodzi i świadectwa jej międzynarodowych koneksji.

Krzysztof Stefański

– prof. dr hab., historyk sztuki; kierownik Zakładu Historii Architektury XIX i XX wieku w Katedrze Historii Sztuki Uniwersytetu Łódzkiego. Autor wielu książek i artykułów z dziedziny historii architektury.

- 1 Maria Augustyniak, Pasaż Meyera w Łodzi. Z dziejów XIX-wiecznej zabudowy miasta, „Kwartalnik Architektury i Urbanistyki” 1977, z. 1. Tekst powtórzony pod tym samym tytułem w Hilary Majewski i jego krąg. Katalog wystawy zorganizowanej w Muzeum Historii Miasta Łodzi we wrześniu 1981 roku (pod redakcją Antoniego Szrama i Jerzego Weinberga), Łódź [1981].
- 2 Archiwum Państwowe w Łodzi, Rząd Gubernialny Piotrkowski, Wydział Administracyjny, sygn. 94.
- 3 Irena Popławska, Hilary Majewski – architekt łódzki [w:] Sztuka 2 połowy XIX wieku. Materiały Sesji Stowarzyszenia Historyków Sztuki. Łódź, listopad 1971, Warszawa 1973, s. 129.
- 4 Christine Breig, Die Villen- und Landhausbau in Stuttgart 1830-1930. Ein überblick die unterschiedlichen Umsetzungen und Veränderung des Bautypus Villa in Stutgart, Stuttgart-Leipzig 2000, s. 184-185; Gebhard Blank, Stuttgarter Villen im 19. Jahrhunderts. Eine Begleitschrift zur Ausstellung im Wilhelm-Palais vom 18. März bis 16. August 1987, Stuttgart 1987, s. 10.
- 5 Krzysztof Stefański, Jak zbudowano przemysłową Łódź. Architektura i urbanistyka miasta w latach 1821-1914, Łódź 2001, s. 141-143; Jacek Strzałkowski., Architekci i budowniczy w Łodzi do 1944 r., Łódź 1997, s. 71.

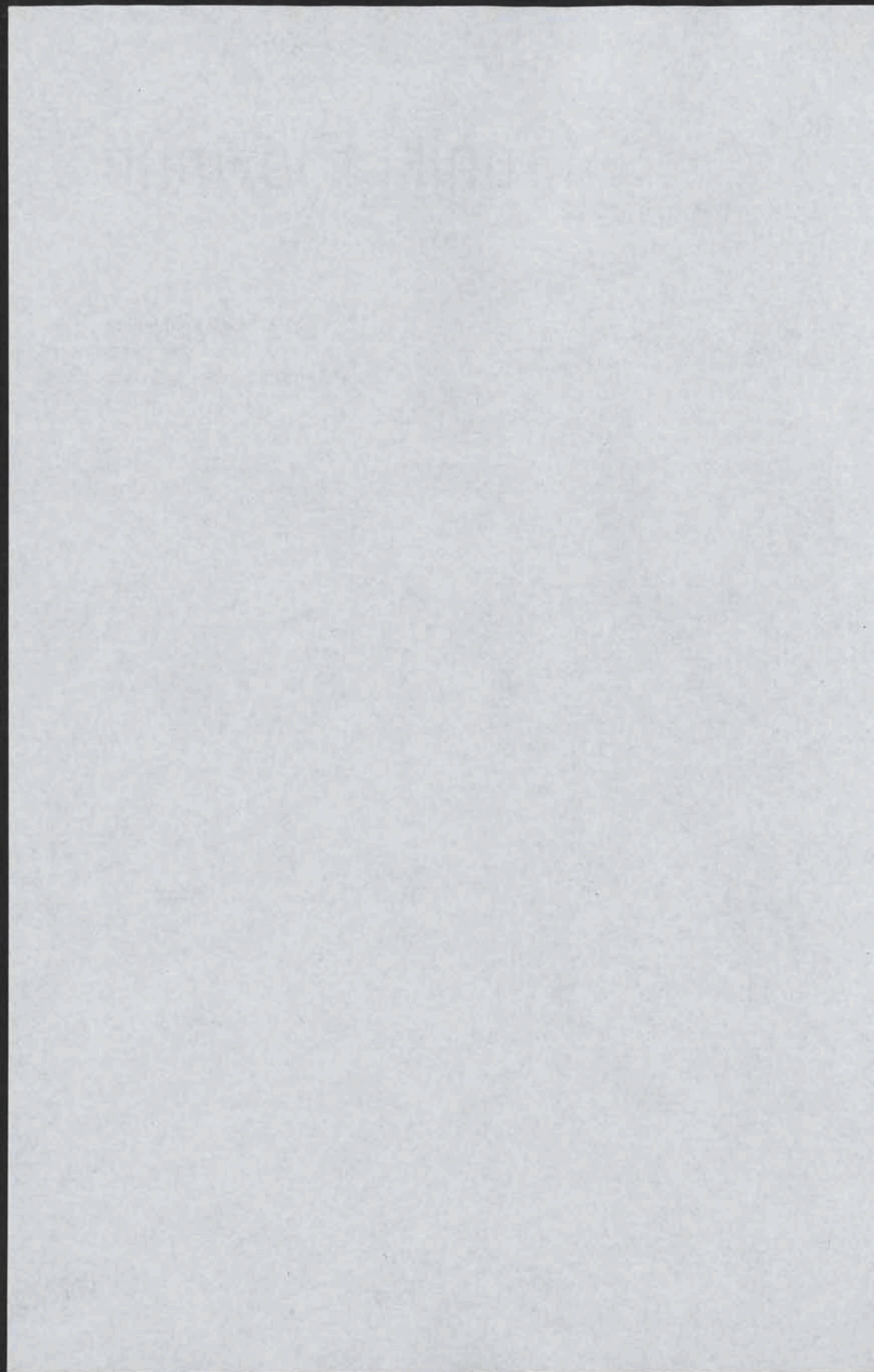
kroniki rodzinne

Szlachecka progenitura

Zakrzewscy

Małgorzata Golicka-Jabłońska

str. 179



Szlachecka progenitura

Zakrzewscy

A było to tak

Wspomnienia, listy, dokumenty

Tymi słowami zaczynają się dzieje rodziny Zakrzewskich spisane w Łodzi w 1988 roku. przez Teresę Zakrzewską – Skoczylas*. Kronika pisana z myślą o wnuczce i następnych pokoleniach została doprowadzona do czasów obecnych.

Redakcję „Kroniki” interesowały najwcześniejsze lata związane z historią rodu sięgające ubiegłego wieku.

Po mieczu – rok 1802

„Historię rodziny od strony ojca, czyli jak to się dawniej mówiło „po mieczu”, zachowaną w przekazie ustnym i niewielkiej ilości dokumentów można rozpocząć od 1802 roku. Moi pradziadkowie posiadali grunty, na których w przyszłości miała rozbudować się Łódź. Należały do nich: plac Hallera, dawniej Zylinów-

ka, Klapitka, Mania, Polesie, Przymiarki koło kolei Kaliskiej, Kusy Kąt, Doły, Pogorzel koło Helenowa, Morgi – obecnie ulica Smugowa. Działki należące do nich znajdowały się również na ulicy Drewnowskiej, Podrzecznej, Aleksandryjskiej – dziś Bojowników Getta. Prapradziad Antoni Zakrzewski (1802-1874) był szlachcicem. Ożenił się z Marią Jeżewicz (1810-1867). Ich syn, Franciszek Zakrzewski (1830-1906) posiadał na



* Teresa Zakrzewska-Skoczylas, animatorka życia kulturalnego w Łodzi, długoletni pracownik Łódzkiego Domu Kultury, dyrektor Domu Kultury przy fabryce transformatorów „Elta”, oraz Domu Kultury RSM „Lokator”. Łodzianka roku 1976.

Zarzewiu folwark. Ożenił się z Anielą z Lipowskich (1844-1917) z Kalisza. Jej rodzice zmarli na cholera. Pradziadek Franciszek ukończył szkołę ojców pijarów w Łowiczu. Pamiątką po nim jest śliczna rogowa tabakierka inkrustowana masą perłową i srebrem. Prababcia w opowiadaniach cioci, w przeciwieństwie do wesołego męża Franciszka, była osobą kostywną i oschłą. Doczekali się 6 synów: Antoniego, Franciszka, Józefa, Władysława, Walentego i Andrzeja, który później został moim dziadkiem.

Pradziad Ludwik Kuciński (1813 – 1904) pochodził w Litwy. Rodzina po Powstaniu Listopadowym wyemigrowała z „kraju lat dziecinnych“, zmieniła nazwisko z Sumirskich na Kucińskich i osiedliła się w Łodzi. Na Litwie pozostawili podobno wielkie majątki. Rodzina w Pabianicach posiadała dokumenty wskazujące na jej hrabiowskie pochodzenie. Pradziadek ukończył gimnazjum. Ożenił się z Antoniną Kozulską (rok urodzenia nieznan – zm. 1876) z którą miał 6 dzieci: Franciszka, Szczepana, Konstancję, Julię, Eleonorę i Ludwikę moją babkę, której niestety zupełnie nie pamiętam. Prababka Antonina umarła w 1876 i pradziadek ożenił się powtórnie z wdową Pauliną Staszewską z d. Piasecką. Pradziadek Ludwik oprócz ziemi uprawnej, posiadał także działki, które sprzedawał pod budowę. Sprzedał także jakąś część Poznańskiemu przy Ogrodowej pod budowę fabryki. Miał też warsztaty tkackie, a później restaurację.

Na najstarszym, zachowanym rodzinnym zdjęciu, przedstawiającym obywateli Starego Miasta – fundatorów kościoła Najświętszej Marii Panny przy ulicy Zgierskiej są obaj moi pradiadkowie: Ludwik Kuciński i Franciszek Zakrzewski. Wspomagali budowę finansowo oraz użyczyli furmanów, wozów i koni.

Pradiadkowie zbudowali 5 domów. Franciszek Zakrzewski postawił dwa domy przy ul. Stodolnianej – dzisiejsza Zachodnia, jeden przy Podrzecznej 25 i przy Drewnowskiej 31. Kuciński Ludwik zbudował jeden dom przy Aleksandryjskiej 22 (dziś Bojowników Getta).

Tyle o pradiadkach obywatelach, Starego Miasta zwanych „tykami“. Dziadkowie ze strony ojca żyli z tego, co im pozostawili ojcowie. Korzystając z ogromnego zapotrzebowania na tereny pod budowę fabryk stale rozwijającej się Łodzi przemysłowej sprzedawali ziemię i czerpali dochody z komornego z pozostawionych przez rodziców domów. Na pytanie: z czego tak naprawdę żyli ci ubrani w sakpałta wąsaci obywatele z fotografii ciotka Frania oburzała się – jak to z czego, z kapitału, z procentów od kapitału. A co właściwie robili? Załatwiali interesy, pilnowali swoich majątków, jeździli i bawili się.

W przeciwieństwie do swoich ojców, którzy jeszcze sami uprawiali ziemię, prowadzili warsztaty, budowali domy w rozwijającym się mieście, pokolenie moich dziadków hołdowało bardziej konsumpcyjnemu modelowi życia.

Pokolenie to nie wykorzystało szansy i własną pracą nie pomnożyło stanu posiadania.

Nie stanęło do konkurencji z napływającymi zewsząd cudzoziemcami, którzy często zaczynali od jednego tylko warsztatu. Moi antenaci powoli tracili majątki – dorobek życia rodziców i przyczyniali się do stałego podupadania rodzin.

Dziadek Andrzej Zakrzewski (1867-1902) ożeniony z Ludwiką Kucińską (1869-1931) miał 4 dzieci: Franciszkę, Walentego, Bolesława i Stefana – mojego ojca. Wszystkie dzieci przyszły na świat w domu przy ul. Podrzecznej 25. Dom posiadał charakterystyczny dla tego okresu parterowy front i pobudowane w okresie wielkiej budowlanej prosperity dwie trzypiętrowe oficyny. Dachy kryto blachą.

Dziadek Andrzej, podobno przystojny, lubił żartować, popić, pohulać i przepuścić pieniądze. Taka wesoła pohulanka była przyczyną jego śmierci. W restauracji w czasie zabawy siłowali się z kolegami. Poszło o zakład, kto silniejszy. Przeciwnik posadził dziadka tak mocno na beczce z piwem, że odbił mu kość ogonową. Po pewnym czasie wdała się śmiertelna gangrena. Dziadek umarł w 1902 r. w wieku zaledwie 35 lat. Mój ojciec miał wtedy 9 miesięcy. Wraz z trójką rodzeństwa wychowywała go ciężko chora na astmę matka. Jak głoszają przekazy rodzinne Stefek Zakrzewski był dzieckiem „żywym jak srebro“, roztrzepanym i zapominalskim. Ta żywiołowość cechowała go do końca życia.

Zanim poszedł do państwowej szkoły, musiał na prywatnych lekcjach u pani Maciejewskiej na ulicy Franciszkańskiej nauczyć się czytać, pisać i rachować. Tych umiejętności wymagano na egzaminie wstępnym do szkoły. Regularną naukę rozpoczął w szkole pana Urbańskiego (róg ulicy Smugowej i Franciszkańskiej). W 1910 r. zaczął się uczyć na prywatnych lekcjach gry na skrzypcach, którą kontynuował przez wiele lat. To zamiłowanie do muzykowania starał się zaszczyć swoim dzieciom. Skrzypce ojca, choć już mocno zniszczone przez różne koleje losu, są u mnie do dnia dzisiejszego.

W tym samym roku poszedł do Gimnazjum Zgromadzenia Kupców przy ul. Dzielnej 68 (obecnie Narutowicza). Po strajkach szkolnych w Królestwie Polskim i rewolucji 1905 r. władze zaborcze nadały szkole status polskiej szkoły. Ten nowoczesny budynek był wyposażony w pracownię naukowe, bibliotekę i salę gimnastyczną. Religii nauczano zgodnie z deklarowanym wyznaniem, a w skład grona pedagogicznego wchodził ksiądz rzymsko-katolicki, pastor i rabin.

W 1914 roku w momencie wybuchu I Wojny Światowej szkołę zamknięto i ojciec przeniósł się do Miejskiej Szkoły Polskiej nr 16 przy ul. Gubernatorskiej 16 (dzisiejsza Abramowskiego). W 1918 podjął naukę w Miejskim Seminarium Nauczycielskim im. Estkowskiego w Łodzi.

Ojciec wychowany został w tradycjach patriotycznych. Naturalne więc było, że w 1920 roku, jako ochotnik wstąpił do 201 pułku piechoty A. O. Znalazł się w armii generała Żeligowskiego i od 1 lipca czynnie uczestniczył w walkach. Z frontu wrócił pod koniec listopada 1920 r. i natychmiast podjął przerwana naukę w seminarium nauczycielskim, które ukończył 8 czerwca 1922 roku. Pierwszą pracę nauczycielską podjął w siedmioklasowej Szkole Podstawowej nr 25 w Łodzi.

Po kądzieli – rok 1821

Rodzina mojej matki reprezentuje późniejszą historię Łodzi, kiedy to napływający z różnych stron Polski mieszkańcy znęcani możliwością pracy w wielkim mieście, tworzyli łódzki proletariats.

Prapradziad Bogumił Gawroński urodzony w 1821 roku, ożeniony z Marią z Gruszczyńskich mieszkał w Turku w pow. kaliskim. Jego syn Ignacy (1842 – 1885) brał udział w Powstaniu Styczniowym. Należał do partii powstańczej Taczanowskiego i w bitwie pod Ignacowem w powiecie konińskim został ranny. Z pola bitwy zabrał go zakonnik, franciszkanin, otoczył opieką i wyleczył z ran.

Jak wynika z dokumentu z 1938 r. wydanego przez ówczesne Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego przechowywanego w Archiwum Akt Dawnych w Warszawie przy ul. Jezuickiej 1, pod numerem 12 9/38 Ignacy Gawroński zgłosił się dobrowolnie do władz rosyjskich, ale podczas składania przysięgi na wierność carowi zareagował śmiechem. Z akt generała policmajstra nr 5397 i 6270 str 584 i akt naczelników wojennych nr 4964 wynika co następuje: „Ignacy Gawroński rozporządzeniem naczelnego wojennego oddziału kaliskiego z dnia 7 kwietnia 1864 r. został skazany na zesłanie w głąb Rosji i przebywanie w guberni orenburskiej na Uralu, pod nadzorem policyjnym“. Wiązony w Kaliszu przebywał tam do 10 kwietnia 1864 r, stąd przeniesiono go do Cytadeli w Warszawie, skąd z partią 29 zesłańców powędrował na zsyłkę. Po 6 latach pobytu na Syberii pradziadek poślubił współuczestniczkę walk powstańczych Wiktorię Żuchowską (1841-1917) z którą miał 3 synów: Ignacego, Władysława i Stanisława. Jednak zsyłka bardzo wyczerpała jego organizm. Wkrótce po powrocie dziadek zmarł. Matką i młodszym rodzeństwem opiekował się Ignacy, który przywiózł rodzinę do Łodzi w 1889. Był to rok wielkiego rozwoju przemysłowego.

Kilka lat wcześniej, w 1884 r. pradziadek Władysław Zajfert z prababką Julią i dziećmi Heleną, Marią i Anną – moją babką, oraz synami Stanisławem i Wincentym przyjechali do Łodzi. Niedługo po przyjeździe głowa rodziny zmarła. Prababcia z dziećmi popadły wówczas w biedę, dzielając los tysięcy innych rodzin, które przybyły do Łodzi – miasta nadziei. Mieszkały we wsi Bałuty, gdzie przybysze mogli się osiedlać i gdzie były tańsze czynsze. Bałuty cieszyły się złą sławą, gdyż administracja carska przeznaczyła tę dzielnicę na miejsce stałego osiedlania się byłych kryminalistów. Raptowny rozwój Bałut, dzielenie pierwszych terenów na coraz mniejsze działki spowodował, że dość szybko stały się dzielnicą o ogromnym zagęszczeniu ludności i fatalnym stanie sanitarnym. W 1860 roku – mieszkało tam 422 osób, w 1891-20 000, a w 1914 – już 100 000 osób.

W takim środowisku żyły dwie rodziny ze strony matki: Gawrońscy i Zajfertowie. W 1901 r. Stanisław Gawroński wziął ślub z Anną Zajfert. Z tego małżeństwa doczekali się czworga dzieci. Były to: Zofia (ur. w 1903 r. – moja matka) Longina, Stanisława i Czesław.

Pamiętnik mojej matki Zofii „Lamenty mojego serca”- rok 1915.

Z pamiętnika wylania się obraz przerażającej biedy, pogłębianej jeszcze postawą dziadka Stanisława, który niefrasobliwie zmieniał pracę.

Cały dom utrzymywała babka Andzia (1886-1939). Pracowała kilkadziesiąt lat jako tkaczka w fabryce Kindermana, przy ulicy Kilińskiego, późniejszych ZPB im. Szymona Harnama, których ostatnia nazwa brzmiała „Rena-Kord”.

Dobrze pamiętam mieszkanie dziadków w kamieniczce przy Franciszkańskiej 81, za którą zaraz zaczynały się pola. Do bramy wybrukowanej kamieniami wchodziło się po desce, która przykrywała rynsztok. Jeśli była źle umocowana, niebezpiecznie podskakiwała. Mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze. W ciemnym korytarzu stały zawsze beczki z kiszoną kapustą przykryte gazetami, z których bił w nos smród. Na korytarzu pełno było drzwi pomalowanych na kolor ciemnej czerwieni na tzw. mahoń, które prowadziły do jednoizbowych mieszkań. U dziadków przepierzenie zrobiono z kredensu i szafy, między którymi wisiała pluszowa kotara w kolorze bordo, oddzielająca pokój od kuchni. W pokoju stały dwa łóżka, stół, krzesła i etażerka z figurą Matki Boskiej. Między oknami wisiało lustro.

Babcia Andzia była kobietą cichą, łagodną, o miękkich, skromnie gładko upiętych włosach. Śpiewała często ludowe piosenki, które jej rodzice przywieźli z Kurpii. W pracy ceniona była za solidność i rozwagę. Babcia często występowała jako delegatka robotnicza w spornych sprawach. W latach rewolucji 1905 r. udzielała się politycznie. Lecz to nie ona, ale dziadek Stanisław zasłużył sobie na oficjalne uznanie. Jako członek PPS brał udział w kolportowaniu ulotek i przenoszeniu broni. W 1920 roku – o czym mówi dyplom Komitetu Obrony Państwa, jako członek straży obywatelskiej Łodzi pełnił służbę w trudnych dla ojczyzny chwilach. W 1938 r. został odznaczony Medalem Niepodległości.

Być może pamiętnik mojej matki zbyt jednostronnie ukazuje postać dziadka Stanisława. Głębokie ubóstwo, za jakie obwiniała swego ojca wykrzywiło jej spojrzenie na tę postać. Być może był tylko ofiarą panujących stosunków społecznych. W 1939 roku tuż przed wybuchem wojny umarła babcia Andzia i wraz z jej śmiercią przestał istnieć dom dziadków. Dziadek umarł w 1953 r. i został pochowany na Dołach.

Ślub rodziców – rok 1923

Moi rodzice pobierali się w 1923 roku. Fakt, że ojciec chce się ożenić z dziewczyną z biednej, robotniczej rodziny wstrząsnął posiadaczami kamienic. Choć prawdę mówiąc, majątek jego mocno już wówczas podupadł. Protest rodziny, a szczególnie siostry ojca – Franciszki był bardzo gwałtowny. Biedna mama, dosyć się napłakała zanim małżeństwo doszło do skutku. Przepaść jaka dzieliła dwa domy była ogromna. Z jednej strony rodzina obywateli staromiejskich, właściceli kamienic i syn z nowozdobytym wykształceniem. Z drugiej strony moja matka, dziecko proletariatusy, której dzieciństwo

upłynęło z kluczem na szyi. Śródowno, dzielnica, w której mieszkała, brak jakiegokolwiek wykształcenia – wszystko było przeciwko niej. Tylko ojciec zobaczył w niej coś więcej, niż wspaniałą urodę. Wielką wrażliwość, delikatność uczuć, umysł żywy i żądny wiedzy. Pierwsze lata małżeństwa wypełniała ustawiczna praca nad wykształceniem matki. Zachowały się zeszyty, w których odrabiała ćwiczenia zadane przez ojca i pełne zachwyty wypracowania. Spełniły się jej marzenia zdobywania wiedzy, ale cierpiała ambicja. W każdym razie jej wysiłki zostały nagrodzone.

Szczęśliwe dzieciństwo – rok 1926 – 1933

„Urodziłam się na Bałutach 17 XI 1926 w małym drewnianym domku na ul. Zielonej 21, jako drugie dziecko po moim bracie Macieju – pisze Teresa Zakrzewska. Trzy lata później rodzice przeprowadzili się na Radogoszcz, na róg ul. Zgierskiej i Zielnej. Mimo skromnych możliwości finansowych rodzice starali się stworzyć przytulny dom. W 1933 przeprowadziliśmy się na Julianów, na ulicę Zgierską 87, róg Pocztowej. Na parterze domu mieściła się poczta. W domu mieszkało kilka rodzin nauczycielskich. Komorne było dość wysokie, wynosiło 45 złotych. Budynek był trzypiętrowy i skanalizowany, jeden z niewielu w tej dzielnicy. Woda i zlewy znajdowały się na korytarzach. Na każdym piętrze, na czterech lokatorów były dwie wspólne łazienki i dwie ubikacje. To

już było coś! Podwórko mieliśmy ogromne, z lipą pośrodku. Ogród był ogrodzony siatką, do którego nam wstęp był wzbroniony. W oficynie mieszkał gospodarz z rodziną, dozorca i dwóch lokatorów. Dziś stoją tam bloki osiedla Zgierska-Stefana. Tylko budynek frontowy, w którym jak dawniej mieści się poczta, broni się jeszcze. Po dawnych uliczkach nie ma śladu.

W okresie mojego dzieciństwa stały tam drewniane parterowe domki o spadzistych dachach, z których brzegów zimą zwiślały ogromne sople lodu, a latem spływała rozgrzana smoła. Gdzieś tam widniały parterowe lub jedno piętrowe murywane kamieniczki, w których mieściły się reprezentacyjne sklepy, jak sklep z artykułami piśmiennymi pana Geubera, lub wspaniałe wykładane kafelkami sklepy mięsny pana Wagnera, apteka i cukiernia pana Kmicika. Szczyty tych kamienic



zdobiły wielkie reklamy typu: *Radion sam pierze* z dużym słońcem, *pasta Globi czyści buty*, przyprawa do zup *Maggi*, *Kawa Enrillo*, *Proszek do pieczenia dr Oetkera*. Wszystkie te kolorowe reklamy ożywiały szarość ulicy. Główna ulica była brukowana kocimi łbami. W jedną stronę biegła do Bałuckiego Rynku, w drugą do Radogoszcza, i tam nabierała charakteru dzielnicy willowej. Rosło tam więcej drzew. Tuż obok biegła ul. Julianowska z kolonią skarbowców z murowanymi domkami o spadzistych dachach krytych czerwoną dachówką. Domy otaczały ogrody pełne krzewów magnolii, migdałków i jaśminów. Dalej drewniany kościółek pod wezwaniem Serca Jezusowego i zaraz dalej piękna ulica Biegańskiego wysadzana kasztanami. Za dużym grubym murem znajdował się park przemysłowca Heintzla. Park był zamknięty i tylko czasami, za opłatą, wpuszczano wycieczki szkolne. W 1937 r. Zarząd Miejski wykupił park i udostępnił zwiedzającym.

W naszej części Zgierskiej płynęły cuchnące rynsztoki, które po każdym ulewnym deszczu zmieniały się w rwące potoki. Ulice: Piwna, Jasna, Bednarska, Pocztowa, Sadowa, Stefana, Wspólna, Chrobrego, Sędziowska, Murarska, Chopina, Dolna, Żeglarska czy Flisacka pełne były życia. Na dachach komórek, które znajdowały się na każdym podwórku, gołębiarze kijami ze szmatką płoszyli stadka gołębi. Przed domami chłopaki biegali z obręczami z beczek albo z fajerkami, lub całymi watahami urządzali wyprawy wojenne. My, dziewczyny bawiłyśmy się piłkami, skakałyśmy przez skakanki, a najczęściej grywałyśmy kolorowym szkiełkiem w klasy. Cała ta wiara zbiegała się hurmem kiedy na podwórku pojawili się handlarze lub artyści. Handlarze byli różni. Mógł to być Żyd w jarmułce i chałacie. Wołał: „handeł, handeł, stare szmaty skupuję.“

Potem zjawiał się luciarz: „garnki, miski lutuję“. Następny był szlifierz; zdejmował z pleców swój drewniany warsztacik i wołał: „noże, noże do ostrzenia“. Wtedy kobiety i dzieci przynosiły noże, tasaki albo nożyczki. Zabierał warsztacik na plecy, a dźwięki uderzania metalu o metal słychać było jeszcze długo. Przychodził też szklarz ze skrzynką na plecach pełną szyb.

Największą radością byli jednak artyści podwórkowi. Wtedy w oknach pojawiali się dorośli, którzy rzucali występującym zawinięte w papierki drobne pieniądze.

Czasami był to tylko kataryniarz w starym, podartym kapeluszu i wypłowiałym ubraniu, z pstrą katarynką. Na drążku stawał papugę, kręcił korbką katarynkę, wygrywając różne operetkowe melodie, a papuga wyciągała losy. Czasami, jeśli szczęście sprzyjało można było wygrać jakąś tandetną błyskotkę.

Innym razem była to grupa cyrkowców, którzy rozkładali szybko dywanik, zrzucali z siebie liche paletka pokrywające ich dziwaczne cyrkowe stroje i zaczynali występ. Żonglerka, akrobacja, sztuki cyrkowe. Wokół nich zawsze było ciasno. Za taką grupą cyrkowców potrafiliśmy biec przez kilka ulic i oglądać występ jeszcze kilka razy. Potem cyrkowcy obchodzili zgromadzoną publiczność potrząsając kapeluszeniami albo

tamburynami, do których zbierali datki. Cygan, z niedźwiedziem na łańcuchu był równą atrakcją co i niedźwiedź, prawdę mówiąc i jednego i drugiego trochę się balliśmy.

Bywali również zawodowi muzycy pozbawieni pracy w grupach po trzech, czterech, czy pięciu. Grywali piękne utwory, zawsze smutni w długich płaszczach, z podniesionymi kołnierzami, z zażenowaniem kłaniali się kapelusze i dziękowali za datki. Chodzili też starzy, obdarci dziadowie i babki, którzy starczymi głosami śpiewali różne pieśni i zbierali do przepastnych toreb zawieszonych u pasa chleb i pieniądze.

Lata szkolne, harcerstwo – lata 1933-1939

W 1932 roku poszłam do szkoły powszechnej im. Stanisława Kostki. Nowowymbudowana szkoła mieściła się na Julianowie przy ulicy Wspólnej 5/7 i patronowała jej marszałkowska Piłsudska.

Szkolę prowadzono według najnowocześniejszych wzorów. Została wyposażona w gabinety: fizyczny, przyrodniczy i geograficzny. Pamiętam – pisze autorka *Kroniki* – żywe zwierzęta w klatkach: wiewiórkę, nieruchawe żółwie, zaskrońca, jeże jedzące z apetytem jabłka.

W szkole był gabinet lekarski ze stale dyżurującą panią higienistką, piękna sala gimnastyczna z przyrządami do ćwiczeń, ze sceną i garderobami. Była biblioteka i warsztaty dla chłopców, oraz pomieszczenia kuchenne służące do nauki gospodarstwa domowego dla dziewcząt. Raz w tygodniu odbywały się takie zajęcia. Zaczynało się od planowania obiadu, zrobienia sprawunków, przygotowaniu produktów, gotowaniu, pieczeniu i wreszcie wydaniu obiadu na pięknie nakrytych stołach dla wszystkich nauczycieli i uczennic z klasy przygotowującej obiad. Wszystkie fartuszki, ściereczki, rękawice wykonałyśmy wcześniej na zajęciach robót ręcznych. Na zapleczu szkoły za boiskiem uczniowie uprawiali ogródek kwiatowo-warzywny. Mieliśmy swoją spółdzielnię uczniowską, kiosk, bufet, urządzaliśmy dochodowe imprezy i loterie. Patronowała nam we wszystkim nasza wychowawczyni pani Ziolkowska – Rudnicka, późniejsza matka Zofii Rudnickiej – Debichowej.

W każdą niedzielę szliśmy całą szkołą na nabożeństwo do małego drewnianego kościółka, pod wezwaniem Serca Jezusowego przy ul. Zgierskiej. W latach sześćdziesiątych wybudowano na miejscu kościółka piękny kościół murowany z dzwonnica. Najprzyjemniejsze były powroty, bo spotykaliśmy się wszyscy razem: ojciec, który prowadził swoją klasę z ul. Sędziowskiej, Maciej i ja. Cała trójka szła jeszcze na mały spacer i biegliśmy do domu, gdzie mama czekała z niedzielnym obiadem.

Ojciec był nauczycielem niezwykle czynnym i kochanym przez młodzież. Wymagający i surowy w ocenie, zawsze sprawiedliwy, wymagający od siebie więcej niż od innych. Prowadził kolonie i obozy letnie, kursy wieczorowe dla dorosłych, działał w akcji dożywiania dzieci, był aktywnym członkiem Związku Nauczycielstwa

Polskiego. Ta wielość zajęć powodowała, że przychodził do domu późno wieczorem z teczką wypchaną zeszytami i dziennikami szkolnymi. Zmęczony całodzienną bieganiem szybko zjadał spóźniony obiad i tak mi został w pamięci. Stół z jasną lampą, przy stole ja z bratem odrabiamy lekcje i ojciec z pochyloną głową i śmiesznym lokiem na czole nad uczniowskimi zeszytami.

W 1935 r. ojciec założył i prowadził drużynę harcerską im. Karola Chodkiewicza, przy szkole podstawowej im. Prausa, w której uczył.

W latach 1933-1938 towarzyszyliśmy ojcu na obozach harcerskich w Brzezinach Kaliskich. Ojciec z bratem byli na obozie, a ja z mamą w pobliżu na wsi. Głęboko w pamięć zapadły mi ogniska harcerskie. Wysoki, jasny głos mamy wybijał się ponad wszystkie, kiedy śpiewaliśmy:

„Szare, namiotowe płótna łączą nas,
I te jasne w słońcu roześmiane dni,
I ten szumiący stary, ciemny las,
I krzyż harcerski, co na piersiach lśni“.

Blask ognia oświetlał młode, pełne radości twarze ojca i matki. I tak ich razem śpiewających zapamiętałam.

Były to ostatnie chwile mojego radosnego, beztroskiego dzieciństwa.

24 sierpnia 1939 r. o godzinie 6 rano ojciec dostał kartę mobilizacyjną do 31 Pułku Strzelców Kaniowskich w Sieradzu. Zginął 5 września w bitwie z Niemcami, we wsi Piaski za Zduńską Wolą. ¹

1 września 1941 r. na grobie ojca na cmentarzu na Radogoszczu jego uczniowie Stanisław Gajek i Franciszek Prozek, oraz Gienek Lisiak i Mietek Wołos - członkowie związanej w Łodzi podziemnej organizacji „Promieniści” – złożyli przysięgę na wierność Ojczyźnie. ²

W 1990 roku, pięćdziesiąt jeden lat po śmierci, ojciec staraniem harcerzy z drużyny, którą założył został odznaczony Krzyżem „Za zasługi dla ZHP z Mieczami”.

Do druku opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

- 1 Okoliczności śmierci Stefana Zakrzewskiego opisał Piotr Kukuła w książce *Maszerują strzelcy*, Wydawnictwo Łódzkie, s. 104-106
- 2 Fakt ten opisuje Stanisław Gajek w książce *Promieniści*, Wydawnictwo Łódzkie, s. 15

Z łódzkiego raptularza

L I S T O P A D

2 listopada

→ 49 850 zł zbierano podczas kwesty na Starym Cmentarzu przy ulicy Ogrodowej w dniach 1 i 2 listopada. Pieniądze przeznaczone zostaną na renowację kolejnych zabytkowych nagrobków.

→ Msza św. za zmarłych twórców kultury celebrowana przez ks. abp. Władysława Ziółka otworzyła VII Festiwal Kultury Chrześcijańskiej organizowany przez ks. Waldemara Sondkę – duszpasterza środowisk twórczych w Łodzi. Przez dwa tygodnie można było obcować z wybitnymi artystami, ze sztuką służącą refleksji i spojrzeniu w głąb siebie.

3 listopada

→ Po siedmiu miesiącach negocjacji Jan Kulczyk poprosił oficjalnie o zgodę na przejęcie łódzkiego Banku Przemysłowego.

4 listopada

→ W Łodzi rozpoczęła pracę Błękitna Linia o numerze 9393 obsługująca klientów Telekomunikacji Polskiej. Jednocześnie zamknięto Biura Obsługi Klientów przy Kościuszki 10 i Chóralnej 2. Pozostawiono jedyne Biuro na Radogoszczu, gdzie można załatwiać sprawy bezpośrednio.

5 listopada

→ Prof. dr hab. Czesław Cierniewski - kierownik Zakładu Biofizyki Uniwersytetu Medycznego, wiceprezes łódzkiego Oddziału PAN i prof. dr hab. Stanisław Penczek -kierownik Zakładu Chemii Polimerów w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych PAN, tytułarny profesor Francuskiej Akademii Nauk otrzymali nagrody premiera Leszka Millera za wybitne osiągnięcia naukowe.

7 listopada

→ W Klubie Garnizonowym odbył się premierowy pokaz filmu dokumentalnego „Stefan Pogonowski” w reżyserii Andrzeja B. Czuldy - o bohaterze Bitwy Warszawskiej. Kapitan WP poległ w bitwie pod Wólką Radzywińską 15 sierpnia 1920 r. Został pochowany w Łodzi na Starym Cmentarzu.

- Oddanie czci pamięci zmarłych Żydów chowanych od 1812 r. na cmentarzu w obrębie ulic Limanowskiego, Wesolej i Bazarowej było tematem spotkania prezydenta Jerzego Kropiwnickiego z przewodniczącym gminy żydowskiej w Łodzi Symchą Kellerem. Podczas wojny cmentarz zdewastowali Niemcy, a po 1945 r. zbudowano w tym miejscu osiedle mieszkaniowe.
- „Marszałek Piłsudski w pamięci pokoleń” – to tytuł wystawy otwartej w Muzeum Tradycji Niepodległościowych. Na wystawie pokazano m.in. eksponaty z prywatnych zbiorów Andrzeja Ostoja-Owsianego i Stanisława Świerkowskiego, oraz obrazy Zenona Joachimiaka z Sulejówka.
- Przy ul. Kościuszki 48 otworzono Centrum Profilaktyki i Leczenia Uzależnień przy Ośrodku Wsparcia Rodzin.

9 listopada

- W intencji zmarłych prezydentów Łodzi odprawiono mszę św. w kościele Ojców Salezjanów Matki Bożej Wspomożenia Wiernych przy ul. Wodnej 36. Dla uczczenia pamięci Grzegorza Palki -pierwszego prezydenta miasta w III Rzeczpospolitej i męża stanu otwarto staraniem Salezjańskiej Wyższej Szkoły Ekonomii i Zarządzania, oraz magazynu „Kultura i Biznes” okolicznościową wystawę. Patronat honorowy objął prezydent Jerzy Kropiwnicki.

10 listopada

- Z okazji Święta Niepodległości Wydział Kultury m. Łodzi zaprosił łodzian na koncert do Teatru Muzycznego. Udział wzięli Antoni Wierzbński (flet), Elżbieta Tyszecka (fortepian), aktorzy ze Studia Piosenki Forum, kabaret Jana Pietrzaka i Kapela Wileńska.
- W Parku Hellenowskim odsłonięto dawno oczekiwany Pomnik Armii „Łódź”.

11 listopada

- Ojcowie Jezuiti uczcili Święto Niepodległości mszą św. i Wieczorem Patriotycznym w wykonaniu artystów Teatru Muzycznego, Teatru Wielkiego i Akademii Muzycznej.
- Łódź uczciła Święto Niepodległości msza świętą celebrowaną przez abp. Władysława Ziółka o godz. 10.00 w Archikatedrze. Następnie przedstawiciele władz złożyli kwiaty przed Grobem Nieznanego Żołnierza i przeszli w pochodzie wraz z łodzianami ulica Piotrkowską do budynku przy ul. Wschodniej, gdzie złożyli kwiaty przed tablicą upamiętniającą pobyt J. Piłsudskiego w Łodzi.
- O godz. 14.30 w Amerykańskim Ośrodku Kształcenia Zawodowego wręczono zasłużonym mieszkańcom Łodzi medale za walkę „O niepodległość Polski i prawa Człowieka”.

13 listopada

→ Prezydent Łodzi Jerzy Kropiwnicki podpisał akt założycielski spółki Łódzki Regionalny Park Naukowo- Technologiczny . „Przedmiotem utworzonej spółki ma być przemysłowe wdrażanie nowych technologii i ich produktów , czyli tego, co popularnie nazywa się wynalazkami, oraz promocja myśli naukowo- technicznej ” - podkreślał prezydent. Prezesem zarządu spółki został Andrzej Tomaszewski.

14 listopada

→ W Teatrze Nowym odbyła się premiera „Mistrza i Małgorzaty” wg Bułhakowa. Przekład -Witold Dąbrowski i Irena Lewandowska. Adaptacja i reżyseria - Andrzej Maria Marczewski, scenografia - Anna i Tadeusz Smoliccy, muzyka - Marek Dyjak.

15 listopada

→ Andrzej Knap - dyrektor artystyczny Teatru Muzycznego w Łodzi obchodził srebrny jubileusz pracy artystycznej. W tym czasie wystawił na scenach 100 oper, operetek i musicali.

17 listopada

→ W Muzeum Archeologicznym i Etnograficznym w Łodzi zorganizowano XXI Tydzień Kultury Japońskiej .Wykłady i spotkania połączone były z pokazami m.in. tradycyjnego sposobu parzenia herbaty i barwienia tkanin. Można było również nauczyć się grać na ludowym instrumencie.

→ Liczący sobie 100 lat dworzec kolejowy na stacji Łódź-Widzew został oddany do użytku po gruntownym remoncie.

18 listopada

→ W szpitalu im. M. Kopernika oddano do użytku najnowocześniejszy w regionie blok operacyjny.

19 listopada

→ XIII Festiwal Mediów „Człowiek w zagrożeniu” zgromadził czołowych przedstawicieli filmów dokumentalnych , którzy przywieźli 51 filmów dotyczących aktualnych problemów społecznych. Głównym organizatorem festiwalu było Muzeum Kinematografii, przy pomocy POS i kin : „Polonia” i „Charlie”.

→ Na sesji Rady Miejskiej radni przyjęli projekt uchwały zgodnie z którym domy towarowe przy ul. Piotrkowskiej będą czynne w dni powszednie w godz. 8.00-20.00, kioski prasowe do godz. 19.00, a sklepy spożywcze od godz. 7.00 do 18.00.

20 listopada

→ Marian Miszański- dziennikarz, tłumacz i pisarz obchodził w Poleskim Ośrodku Sztuki jubileusz 25-lecia pracy twórczej. Podczas spotkania prezentowano ostatnio przetłumaczoną przez jubilata książkę Reynalda Secher pt „Wandea- departament zemsty”, opublikowaną w wydawnictwie „Iskry”.

→ W 50-ą rocznicę śmierci Władysława Strzemińskiego w Galerii Akademii Sztuk Pięknych przy ul. Wojska Polskiego otwarto wystawy „Obrazy i rysunki Władysława Strzemińskiego ze zbiorów Muzeum Sztuki w Łodzi”, oraz „W kręgu Strzemińskiego – z kolekcji Mariusza Rosiaka”.

Odbyła się także sesja naukowa zatytułowana „Władysław Strzemiński- uniwersalne oddziaływanie idei”.

→ Łódź odwiedziła belgijska para książęca: następca tronu książę Filip wraz z żoną księżną Matyldą, której dziadek hr.Leon Komorowski i matka Anna Maria z Komorowskich byli Polakami.Goście zwiedzili Księży Młyn, spacerowali po Piotrkowskiej i uczestniczyli w seminarium na temat renowacji przemysłowej. Następnie księżna odwiedziła „filmówkę”, a książę Manufakturę i fabrykę gąbki Eurofoam w Zgierzu, której właścicielem jest Belg. Parze książęcej towarzyszyło kilkudziesięciu belgijskich przedsiębiorców, oraz minister gospodarki, którzy przyjechali w celu nawiązania kontaktów gospodarczych.

21 listopada

→ W Miejskiej Galerii Sztuki przy ul. Wólczańskiej 31 otwarto wystawę prac uczniów mistrza zatytułowaną „W kręgu Władysława Strzemińskiego : Stanisław Fijałkowski, Stefan Krygier, Lech Kunka i Antoni Starczewski”.

→ Wojewoda-Krzysztof Makowski, prezydent Łodzi-Jerzy Kropiwnicki i marszałek województwa - Mieczysław Teodorczyk podpisali akt erekcyjny pod budowę w Łodzi przy ulicy Zbąszyńskiej centrum logistycznego Polskiej Grupy Farmaceutycznej.

22 listopada

→ Artyści Teatru Wielkiego w Łodzi rozpoczęli akcję „Ratunek”, której celem jest pomoc zadłużonemu Teatrowi. W sobotę i w niedzielę zorganizowali dwa koncerty w foyer Teatru. W programie „Wiwat Moniuszko” wystąpiło 22 solistów, orkiestra, oraz chór i balet. W przerwie odbyła się aukcja podczas której licytowano kostiumy operowe, programy z autografami gwiazd i oprawione deski sceniczne. Wszyscy zaangażowani w to przedsięwzięcie pracowali za darmo. Dochód z biletów wyniósł ponad 12 000 zł, za które zostanie zorganizowany kolejny koncert.

→ W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę policyjnych mundurów i czapek z 80 krajów świata. Kolekcja jest własnością nadinspektora Henryka Tusińskiego wielkopolskiego komendanta policji w Poznaniu. Inna wystawa czasowa w tym samym Muzeum p t : „ Zima-Boże Narodzenie w sztuce haftu ” zgromadziła eksponaty wykonane przez 29 hafciarek ze Stowarzyszenia Miłośników Haftu „Kanwa”.

→ Po raz trzeci główną nagrodę Festiwalu Mediów „Człowiek w zagrożeniu” zdobyła kobieta- reżyser. Tegoroczny Grand Prix otrzymała Beata Janucha za film „Żywoć Michała”.

→ Zespół architektów kierowany przez łodzianina Andrzeja Owczarka zdobył III nagrodę w konkursie Ministerstwa Infrastruktury za projekt Galerii Łódzkiej. Projekt nagrodzono za „ walory twórcze, a szczególnie umiejętne wpisanie obiektu w istniejące otoczenie, interesujący wyraz architektoniczny uzyskany oszczędnymi środkami oraz czytelny układ wewnętrzny.

→ Zakończył się 5 EXPLORERS FESTIWAL – wielkie święto ludzi miłośników gór, sportów ekstermalnych i odkrywców. Nagrody dla „Tych, którzy mają odwagę odkrywać” „ otrzymali : Liv Arnensen z Norwegii - pierwsza kobieta na świecie, która dotarła na biegun południowy, oraz dwaj Polacy: Janusz Kurczab za 40-letni wkład w rozwój polskiego taternictwa, alpinizmu i himalaizmu i Ryszard Wiktor Schramm za niepowtarzalny wkład Polski w odkrywanie nieznanych rejonów Ziemi.

→ Nagroda Camera Extreme 2003 przypadła autorom filmów: Joe Jenningsowi ze Stanów Zjednoczonych i Pascalowi Tournaire z Francji .

→ W I Kongresie Wojewódzkim Chrześcijańskiego Ruchu Samorządowego w województwie łódzkim wzięło udział 500 delegatów.Przewodniczącym Zarządu wojewódzkiego został Krzysztof Chojniak - wiceprezydent Piotrkowa. Zastępcą przewodniczącego został Marek Pyka, sekretarzem - Andrzej Adamowicz, skarbnikiem - Mirosław Pietrucha.

26 listopada

→ 61 pracowników samorządowych otrzymało z województwa łódzkiego otrzymało medale : „Za zasługi dla obronności kraju ” przyznane przez Ministerstwo Obrony Narodowej.

→ Bogusław Sochnacki –znakomity aktor, występujący od 23 lat nieprzerwanie na scenie Teatru S. Jaracza w Łodzi obchodził jubileusz 50-lecia pracy artystycznej. Zgodnie z życzeniem aktora rocznicy nie celebrowano.

27 listopada

→ W Muzeum Tradycji Niepodległościowych otwarto wystawę „Synagoga w dawnej Polsce”.

29 listopada

→ Rozpoczął się Camerimage- Międzynarodowy Festiwal Autorów Zdjęć Filmowych - najbardziej ceniona w świecie impreza filmowa w Polsce. Do Łodzi zjechały filmowe sławy: Peter Weir, James Ivory i David Lynch.

Wydarzeniem Festiwalu była wystawa w galerii Atlas Sztuki fotografii i obrazów Davida Lyncha. Amerykański reżyser został udekorowany przez ministra kultury Waldemara Dąbrowskiego medalem „Zasłużony dla kultury polskiej”.

→ Teresa Żylis-Gara światowej sławy śpiewaczka operowa wystąpiła z recitalem na zakończenie I Festiwalu Sakralnego „Muzyka u Ojców Jezuitów”. Wstęp na koncert był bezpłatny, a zebrane fundusze przeznaczono na remont kościoła.

G R U D Z I E Ń

3 grudnia

→ W pierwszą rocznicę śmierci prof. Adama Szpunara - twórcy łódzkiej szkoły prawa cywilnego, b. rektora Uniwersytetu Łódzkiego, jednego z najwybitniejszych polskich prawników, Katedra Prawa Cywilnego i Katedra Prawa Gospodarczego i Handlowego UŁ organizowała konferencję naukową poświęconą Jego pamięci pt „Odpowiedzialność cywilna”. Honorowy patronat nad konferencją objął prezydent Jerzy Kropiwnicki, w obradach uczestniczyli naukowcy z Polski i zagranicy, oraz przedstawiciele władz państwowych. W Bibliotece Uniwersyteckiej otwarto wystawę fotografii i pamiątek po uczonym.

→ Wydział Edukacji urzędu m. Łodzi przygotował listę 34 przedszkoli i szkół przeznaczonych do likwidacji. Głównym powodem tej decyzji jest niż demograficzny. Ostateczne decyzje w tej kwestii zapadną do końca lutego.

4 grudnia

→ Prezydent Jerzy Kropiwnicki był na początku grudnia gościem mera Lyonu Gerarda Collomba i organizowanego przez miasto Lyon w dniach 4-5 grudnia 2003 światowego szczytu miast i władz lokalnych na temat społeczeństwa informacyjnego. Po trzech spotkaniach kontynentalnych dla mieszkańców Azji w Szanghaju, Ameryki w brazylijskiej Kurytybie i Afryki w Nuakszot w Mauretanii, szczyt europejski w Lyonie postawił sobie za cel skupienie przedstawicieli gmin i wspólnot lokalnych wokół tej problematyki.

5 grudnia

- W Rudzie Pabianickiej otwarto pierwszy rodzinny dom dziecka zfinansowany przez Radosława Wiśniewskiego właściciela firmy Redan, założyciela fundacji Happy Kids. Pod opieką Anny i Leszka Mazurkiewiczów w domu zamieszkało pięcioro dzieci. W uroczystym otwarciu uczestniczył wiceprezydent Karol Chądzyński.
- Pałac Młodzieży im. Juliana Tuwima obchodził złoty jubileusz. Przed pięciu laty placówka zmieniła siedzibę i przeniosła się ze Śródmieścia na Retkinę. W Pałacu działa kilkadziesiąt sekcji artystycznych, sportowych i naukowych, oraz popularny Harcerski Zespół Artystyczny Krajkki.
- Muzeum Sztuki zorganizowało niecodzienną aukcję służącą wzbogaceniu kolekcji. Zakupione podczas licytacji obrazy, rzeźby i fotografie nowi właściciele natychmiast przekazywali w darze Muzeum. Podobna licytacja odbyła się w galerii ARS NOVA. Nazwiska ofiarodawców zostaną umieszczone na tabliczce obok dzieła prezentowanego w Muzeum.

6 grudnia

- Jury festiwalu Camerimage przyznała następujące nagrody.
Złotą Żabę otrzymał Cesar Charlone za zdjęcia do filmu „Miasto Boga”
Srebrną Żabę - Piotr Kukla za zdjęcia do filmu „Bliźniaczki”
Brązową Żabę - Eguardo Serra za zdjęcia do filmu „Dziewczyna z perłowym kolczykiem”.
- Specjalna Złota Żaba przypadła Adamowi Bajerskiemu i Pawłowi Śmietance za zdjęcia do filmu „Zmruż oczy”.
- Polscy studenci otrzymali wszystkie nagrody za zdjęcia do etiud filmowych.
„Złotą Kijankę” - Maciej Sobieraj z łódzkiej filmówki za etiudę „Koma”.
„Srebrną Kijankę” - Maciej Majchrzak także z łódzkiej filmówki za etiudę „Anabiosis” , „Brązową Kijankę” - Konrad Spyra z uczelni w Katowicach za „T-Rex”.
- Wręczono również nagrody specjalne :
nagrodę operatorów dla polskiego aktora otrzymał Jan Machulski. Nagrodę sponsora grupy Atlas za promowanie polskiej kultury zagranicą – Agnieszka Holland.
„Złota Żabę ” za szczególną wrażliwość wizualną otrzymał reżyser James Ivory, a za całokształt twórczości - operator William A.Fraker.

7 grudnia

- Pierwsze nagrody Łódzkich Spotkań Teatralnych zdobyły Chóry Gertrudy Stein (Łódź) za „Technikę punktu świetlnego” i Akcja Zygmunta (Sopot –Goleniów) za spektakl „W Gazie”. Zdaniem jury był to znakomity festiwal.

- Hala sportowa w parku 3 Maja nosić będzie nazwę „Hala Parkowa”.
- Taką nazwę wybrało jury spośród 180 propozycji nadesłanych przez łodzian.
- Agnieszka Wojciechowska, asystentka prezydenta Jerzego Kropiwnickiego będzie pracować w Regionalnym Biurze Województwa Łódzkiego w Brukseli. Szefową Biura jest Dorota Garstka oddelegowana do Brukseli przez Urząd Marszałkowski.

9 grudnia

- Prokuratura Śródmiejska umorzyła wszystkie dochodzenia w sprawie konfliktu w Teatrze Nowym.
- Prof. Krzysztof Selmaj, dr Anna Jurewicz, dr Mariola Matysiak i dr Marcin Mycko z Katedry i Kliniki Neurologii UM w szpitalu im. Barlickiego zostali uhonorowani prestiżową nagrodą im. Jędrzeja Śniadeckiego. Nagrodę przyznała PAN za unikatowe badania nad genetycznym i molekularnym mechanizmem stwardnienia rozsianego.
- Przy ulicy Pomorskiej 18 otwarto Centrum Kultury i Historii Żydów. Placówką kieruje Małgorzata Burzyńska- Keller. Działalność Centrum zainaugurowała wystawa pt. „Likwidacja – łódzkie getto”.
- W synagodze przy ul. Rewolucji 1905 r. odsłonięto tablicę poświęconą pamięci Aleksa Reichera, łodzianina, absolwenta Społecznego Polskiego Gimnazjum Męskiego, rzecznika tolerancji i fundatora stypendium za najlepsze prace uczniowskie z tego zakresu. Od 1939 r. przebywał na Zachodzie.
- Były prezydent Łodzi Krzysztof Jagiełło ma prawo do dyplomu ukończenia studiów wyższych w Uniwersytecie Łódzkim i tytułu magistra. Naczelny Sąd Administracyjny w Łodzi uchylił decyzję rektora uczelni unieważniającą nadanie tytułu. Wyrok jest prawomocny.

12 grudnia

- W Teatrze Nowym odbyła się premiera „Biednych ludzi” w/g powieści F. Dostojewskiego. Przekład – Andrzej Stawar, reżyseria i adaptacja - Stanisław Brejdygant, scenografia- Marcin Januszkiewicz, muzyka-Wojciech Walasik. W rolach głównych: Kamila Wojciechowicz i Andrzej Jurczak.
- W Centralnym Muzeum Włókiennictwa otwarto wystawę gobelinów Ryszarda Kaczmarka z okazji 25-lecia pracy artystycznej.
- „Moje życie w sztuce tańca” – to tytuł wydanych właśnie wspomnień słynnego tancerza i choreografa Feliksa Parnella, zmarłego 23 lata temu. W Muzeum Historii Miasta Łodzi otwarto wystawę pamiątek po Feliksie Parnellu, patronie łódzkiej szkoły baletowej.

→ Przewodniczącemu Rady Miejskiej przekazano projekt budżetu Łodzi na rok 2004. Budżet zakłada wzrost dochodów o 4,3 %, a wydatków o 3,9 %. Deficyt ma wynieść 6,07 % czyli nieco mniej niż w roku 2003. Wraz z budżetem opracowano Wieloletni Plan Inwestycyjny na najbliższe trzy lata.

→ Zwycięzcą IX Ogólnopolskiego Konkursu Poetyckiego im. Jacka Bierezina organizowanego z inicjatywy Łódzkiego Oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich zostali Piotr Kuśmirek z Białegostoku i Bartosz Konstrat z Wólki Bieleckiej.

13 grudnia

→ W 22 rocznicę ogłoszenia stanu wojennego w Polsce odprawiono mszę św. w kościele Ojców Jezuitów, złożono kwiaty przy symbolicznym grobie ks. J. Popiełuszki i przy pomniku Ofiar Stanu Wojennego i Walki o Godność Człowieka przy kościele Podwyższenia św. Krzyża. W obchodach uczestniczyło około 200 osób z prezydentem- Jerzym Kropiwnickim i przewodniczącym łódzkiej „Solidarności” -Waldemarem Krencem

W tym samym dniu Wydział Kultury miasta Łodzi zorganizował w kinie „Przedwiośnie” wieczór, podczas którego przypomniano to wydarzenie widziane oczami satyryków.

14 grudnia

→ Artyści z Moscow City Ballet zatańczyli w Teatrze Wielkim w Łodzi „Dziadka do orzechów” i „Jezioro łabędzie ” Piotra Czajkowskiego.

15 grudnia

→ Towarzystwo Przyjaźni Polsko-Włoskiej i Łódzki Dom Kultury zaprosili łodzian na koncert najpiękniejszych arii z włoskich oper i węgierskich operetek.



Opracowała Małgorzata Golicka-Jabłońska

